Eurowybory od kuchni | Czy istnieje **język śląski**? | **Rosja:** bandyci wracają
Celebrytka **Kaźmierska** | Rewolucja **kielecka** | **Oszust** obu płci | **Urban** na deskach

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 20 (3463), 8.05–14.05.2024

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ILUSTRACJA MARTA RÓŻA ŻAK

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 3,95 EURO

Jak TikTok zabiera nam dzieci

CUBE STORE

NOWY SALON ROWEROWY

SKI TEAM WROCŁAW
UL. GRABISZYŃSKA 167

Rowery Dziecięce do -20%

Najnowsze kolekcje -10%

do 30 RAT RRSO 0% lub 50 RAT bez odsetek Odroczenie spłaty RAT na 3 miesiące!

Ceny promocyjne obowiązują od pierwszej ceny na metce. Promocja nie obejmuje przedsprzedaży rowerów Cube z kolekcji 2025 oraz rowerów z serii Nuroad i Nulane. Szczegóły promocji oraz rowery objęte promocją znajdziesz w regulaminie i na skiteam.pl

SKI team

WARSZAWA: ul. KOR 36/38 | WARSZAWA: ul. Toruńska 107b
POZNAŃ: ul. Bułgarska 117a | KATOWICE: ul. Sportowa 20
WROCŁAW: Grabiszyńska 167 (otwarcie 19.04.2024)

Poniedziałek - Sobota 11:00 - 20:00 | Niedziela: Nieczynne
Niedziele handlowe: 12:00 - 16:00

Kupuj wygodnie na skiteam.pl

COPYRIGHT © POLITYKA Spółka z o.o. SKA. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

POLITYKA w numerze 20 [8.05–14.05.2024]

16 Pora na eurowybory

38 Królowa oglądalności

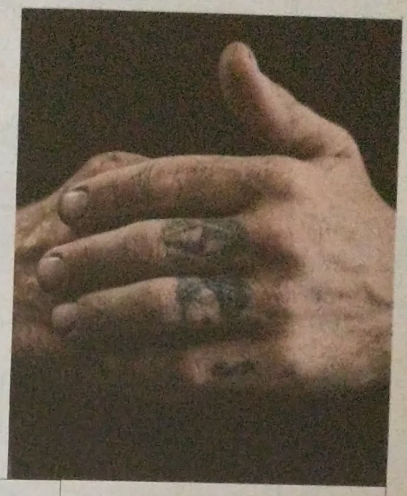

50 ROSJA Bohaterowie zza krat

Tematy tygodnia

12 Aleksandra Żelazińska **Pokolenie TikToka**
16 Rafał Kalukin **Eurowybory: starcie twardych elektoratów**
19 Jan Dziadul **Ślónska godka**

Polityka

22 Ewa Siedlecka **Dylematy wokół prokuratorki Wrzosek**
26 Anna Dąbrowska **Producenci dyplomów MBA**
29 Ministra **Barbara Nowacka** o wyborach, rekonstrukcji rządu i o tym, czego ma uczyć szkoła

Społeczeństwo

32 Juliusz Ćwieluch **Jak prezydentka Agata Wojda zdobyła Kielce**
35 Marcin Kołodziejczyk **Andrzej vel Joanna, czyli polski dreszczowiec psychologiczny**

38 Katarzyna Kaczorowska **Szokująca kariera Dagmary Kaźmierskiej**
41 Psycholog prof. **Michał Bilewicz** o tym, co łączy Polaków, Żydów i meksykańskich Indian

Rynek

44 Joanna Solska **Zabetonowane grunty pod mieszkaniówkę**
47 Cezary Kowanda **Duży kłopot z małymi lotniskami**

Świat

50 Paweł Reszka, Aleksandr Atasuntsev ROSJA **Kryminaliści wracają z wojny**
53 Adrian Brona, Michał Lubina CHINY **Świat według przewodniczącego Xi**
56 Adam Krzemiński IZRAEL **Koszmary Hannariego**

Nauka/projektpulsar.pl

58 Agnieszka Krzemińska **Homo cooperativus**

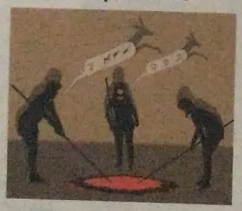

61 Paweł Walewski **Przewlekle zmęczeni**

Historia

64 NAGRODY HISTORYCZNE ZA ROK 2023 **Nominacje w kolejnych kategoriach**

67 O rodzinie i jej roli w dziejach świata opowiada brytyjski historyk **Simon Sebag Montefiore**

Kultura

74 Piotr Sarzyński **Cudzoziemcy w lustrze weneckiego Biennale**
78 Justyna Sobolewska **Co jest hot w literaturze pop**
81 Krzysztof Nowak **Szwedzcy magicy od Eurowizji**
84 Aneta Kyzioł **Teatr Łaźnia Nowa: wyrazisty portret Jerzego Urbana**
86 KAWIARNIA LITERACKA **Krzysztof Siwczyk**
87 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

92–97 • **Uzdrawiająca kłótnia**
• **Kto się boi Taylor Swift**
• **Motywujące kudosy**
• **Modne długie**
• **Zastrzyk szczęścia**
• **Wzory Majów**
• **Wegańskie lody**

Stałe rubryki

• **4** Mleczko i Mizerski • **6** Przypisy • **8** Ludzie i wydarzenia • **70** Afisz • **88** Lis • **89** Koziołek • **90** Hartman • **91** Do i od redakcji • **98** Polityka i obyczaje

COPYRIGHT © POLITYKA Spółka z o.o. SKA. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

[ANDRZEJ MLECZKO]

www.mleczko.pl

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Suski przebadany

Prawem i Sprawiedliwością wstrząsnęła informacja, że poseł Suski mógł być nielegalnie śledzony Pegasusem przez partyjnych kolegów Kamińskiego i Wąsika. Szczerze mówiąc, nie dziwiłbym się zainteresowaniu Wąsika i Kamińskiego znanym z głupawych i prostackich wypowiedzi Suskim. Ludwik Dorn, jeszcze gdy był członkiem PiS, alarmował, że ludzie o umysłowości Suskiego stanowią dla partii zagrożenie, przestrzegał nawet przed „susłoizacją" PiS.

– *Niewykluczone, że Wąsik z Kamińskim próbowali za pomocą Pegasusa ustalić, czy rzeczywiście jest idiotą, czy tylko sprytnie udaje* – mówi mi proszący o anonimowość prominentny polityk PiS. Wiążących ustaleń na temat umysłowości Suskiego na razie nie ma, wiadomo jednak, że mógł nie być jedyną ofiarą Pegasusa wśród polityków PiS. Wezwania do prokuratury w sprawie inwigilacji Pegasusem odebrali m.in. Ryszard Terlecki, Marek Kuchciński i Krzysztof Sobolewski. Kamiński z Wąsikiem stanowczo zaprzeczają, że śledzili najważniejszych polityków własnej partii, w związku z czym w PiS mnożą się różne teorie spiskowe. Mówi się nawet, że Terlecki, Kuchciński i Sobolewski mogli paść ofiarą przypadkowego uruchomienia Pegasusa przez Wąsika i Kamińskiego, którzy w trakcie zabawy w gabinecie stracili nad nim kontrolę, tak jak komendant Szymczyk nad granatnikiem.

W cieniu rewelacji związanych z Pegasusem odbyły się obchody 20. rocznicy przystąpienia Polski do Unii Europejskiej. Wszyscy są zgodni, że te 20 lat to najlepszy okres w całej historii Polski i że członkostwo w Unii przyniosło niebywały skok gospodarczy i cywilizacyjny, który jednak zdaniem Jarosława Kaczyńskiego nie może przesłaniać tragicznego faktu, że Polska w tym czasie w dużym stopniu utraciła swoją polskość oraz suwerenność i jest na najlepszej drodze do stania się zarządzaną przez Berlin i Brukselę kolonią, której mieszkańcom przeznaczono rolę niewykwalifikowanych parobków, będących tanią siłą roboczą dla niemieckiej gospodarki.

Kaczyński zapewnia, że plany likwidacji Polski się nie powiodą, a gwarancją tego ma być starannie wyselekcjonowana, silna intelektualnie ekipa delegatów PiS do Parlamentu Europejskiego. Jej zadania Jarosław Kaczyński określił jasno i precyzyjnie: „Idziemy tam, by powiedzieć temu wszystkiemu »nie«. Ale nie mówimy »nie«, bo jesteśmy dzisiaj na »tak«".

Bez względu na to, co prezes PiS miał na myśli, trzeba przyznać, że polityk o umysłowości posła Suskiego lepiej by tego nie ujął.

GALERIA ANDRZEJA MLECZKI, KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14

NOWOŚĆ

Peloponez – kolebka europejskiej kultury

Bogata historia, niezwykła gościnność i lazurowe morze. Dołącz do naszej wycieczki, pełnej greckiej kultury i odpocznij w urokliwej miejscowości Tolo.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Ateny. Kanał Koryncki i przejazd do Tolo. **Dz. 2** Tolo oraz historia wojny trojańskiej podczas wycieczki do Asini. Wprowadzenie do historii Grecji i języka greckiego. **Dz. 3** Pierwsza stolica nowożytnej Grecji – Nafplio z twierdzą Palamidi. **Dz. 4** Podróż przez historię Grecji, teatr w Epidauros i produkcja oliwy z oliwek. **Dz. 5** Starożytne Mykeny i Lwia Brama. **Dz. 6** Dzień wolny, wieczorem nauka tradycyjnego tańca greckiego. **Dz. 7** Małe wioski Arkadii z obiadem w lokalnej restauracji. **Dz. 8** Wizyta w Atenach i powrót do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy 24/10 2024 | **4.698,-**

Portugalia – z Lizbony do Porto

Zobacz największe atrakcje Portugalii: urokliwą Lizbonę, stylowe Cascais, historyczne Óbidos, sanktuarium w Fatimie, urocze Porto i klifowe wybrzeże Atlantyku.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Porto. Spacer po mieście – katedra. **Dz. 2** Czas wolny w Porto. Dla chętnych wycieczka "Braga i Guimarães" (dodatkowo płatna). **Dz. 3** Rzeka Douro i miasto uniwersyteckie Coimbra. Przejazd do Nazaré i wspólna kolacja. **Dz. 4** Klasztor Matki Boskiej Zwycięskiej w Batalha. Fatima. Mury obronne w Óbidos. Klasztor Cystersów w Alcobaça. **Dz. 5** Przejazd z Nazare do Lizbony. Dzielnice Alfama i Belém, klasztor Hieronimitów. **Dz. 6** Baśniowa Sintra. Widoki z Cabo da Roca. Wizyta w Cascais i Estoril. Lizbona. **Dz. 7** Wylot z Lizbony do Warszawy.

7 dni | Wyloty z Warszawy 22/09 2024 | **6.498,-**

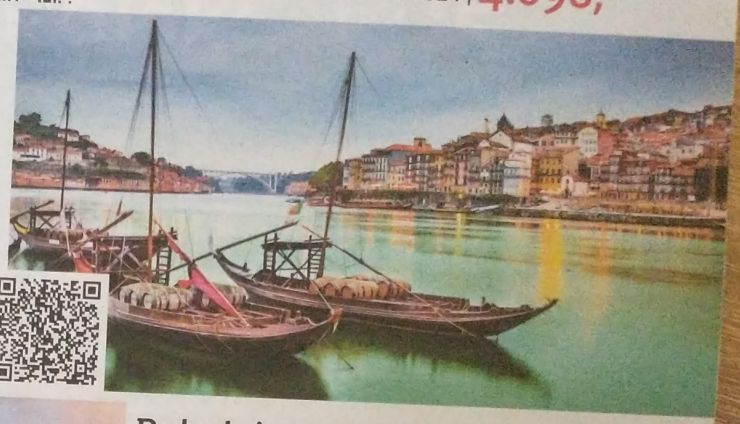

NOWOŚĆ

Południowa Anglia i Kornwalia

Fantastyczna wycieczka przez malownicze zakątki Anglii ze spektakularnym wybrzeżem, urokliwymi wioskami i owianymi legendami zamkami i skarbami kultury.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Londyn. Okrągły stół króla Artura w Winchester i plaże Bournemouth. **Dz. 2** Bournemouth – wrzosowiska w Dartmoor i kamienie runiczne – Newquay. **Dz. 3** Wyspa pływowa St. Michael's Mount – Penzance – Lands Ends czyli kraniec Ziemi – St. Ives. **Dz. 4** Zamek Tintagel, wizyta na farmie cydru, ogród botaniczny Eden Project i Torbay. **Dz. 5** Pociąg parowy z Paington do Kingswear. Rejs statkiem do Dartmouth Agathy Christie. **Dz. 6** Torbay – skamieliny na Wybrzeżu Jurajskim – Lyme Regis – Bristol. **Dz. 7** Bristol – Bath z listy UNESCO. Podróż powrotna z Londynu.

7 dni | Wylot z Warszawy 17/09 2024 | **7.498,-**

Bałkany z Albatrosem

Podczas tej wyprawy odkryjesz najpiękniejsze miejsca Chorwacji, Czarnogóry oraz Bośni i Hercegowiny.

Program wycieczki: Dz. 1 Lot Warszawa – Dubrownik. Średniowieczne miasto Budva, Czarnogóra. **Dz. 2** Królewskie miasto Cetynia, lokalna produkcja szynki, wspaniała trasa widokowa i spacer po Kotorze. **Dz. 3** Budva – Trebinje – Blagaj – Mostar. Degustacja wina i klasztor derwiszów w Blagaj. **Dz. 4** Mostar – Konjic – Mostar. Tajny bunkier Tito w Konjicu i zwiedzanie miasta Mostar. **Dz. 5** Mostar – Delta Neretwy – Dubrownik. Rejs statkiem z muzyką i lunchem, przyjazd do Dubrownika. **Dz. 6** Dubrownik. Spacer po mieście i czas do własnej dyspozycji. **Dz. 7** Dubrownik. Dzień do własnej dyspozycji lub wycieczka do Konavle, zakupy lokalnych produktów, zwiedzanie zabytkowego młyna wodnego i pożegnalna kolacja. **Dz. 8** Przelot Dubrownik – Warszawa.

8 dni | Wylot z Warszawy 03/10 2024 | **6.998,-**

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: **PL17**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Towarzysze broni

Mariusz Janicki

Partia Jarosława Kaczyńskiego często kieruje się własną, oryginalną logiką, tylko dla wtajemniczonych. Oto zastosowania. PiS np. chce uchodzić za najbardziej antyrosyjskie ugrupowanie, które jako pierwsze ostrzegało przed Rosją, wypomina innym kontakty z Putinem, dogadywanie się z Moskwą itp. I oto w polityce międzynarodowej jest dzisiaj dość klarowny wybór: między prezydentem Joe Bidenem, który niezłomnie, czasami wbrew swoim wyborczym interesom, zabiega o pomoc dla walczącej z Rosją Ukrainy, a Donaldem Trumpem, widowiskowo blokującym tę pomoc, opowiadającym się za porozumieniem z Putinem, „zakończeniem wojny w 24 godziny" na nieznanych bliżej warunkach. Komu z tej dwójki gorąco kibicują politycy PiS? Oczywiście wyłącznie Trumpowi. „Polacy, idźmy z Trumpem" – powiedział w wywiadzie dla „Sieci" Ryszard Czarnecki.

I drugi przykład. Ukrainie przeciw Rosji pomagają Macron, Scholz, wiele rządów mniejszych państw, także Unia Europejska jako całość. Ale istnieje też międzynarodówka ugrupowań mniej lub bardziej prorosyjskich, które opowiadają się, podobnie jak Trump, za „pokojem" i blokowaniem pomocy dla walczącej Ukrainy. Wybór dla antyrosyjskiego w deklaracjach PiS wydaje się nadzwyczaj prosty. Ale nie w logice tej partii. Były premier Mateusz Morawiecki pojechał do Budapesztu na zlot „środowisk narodowych i konserwatywnych", czyli rozmaitych nacjonalistów, radykalnych „pokojowców", zaprzysięgłych wrogów Unii, jakkolwiek by się kamuflowali (o tym więcej s. 9). Gospodarz imprezy Viktor Orbán, który jako pierwszy po wybuchu wojny spotkał się z Putinem, nie uznaje już suwerenności Ukrainy i zatrzymuje procedowanie pomocy dla tego państwa, nazwał Morawieckiego towarzyszem broni. Morawiecki odwzajemnił się, mówiąc o Orbánie „mój przyjaciel". A na plakatach w Budapeszcie były polski premier występował z cytatem, że „Bruksela stanowi zagrożenie dla europejskiej demokracji". To komunikat akurat tuż przed 20. rocznicą przystąpienia Polski do Unii Europejskiej. A w samą rocznicę Morawiecki napisał na X: „Jeśli ktoś podważa naszą obecność (w Unii), służy agresorowi zza wschodniej granicy". Z kolei prezydent Duda w rocznicę Konstytucji 3 maja mówił o zagrożeniu rosyjskim imperializmem, a jego najbliższy współpracownik Marcin Mastalerek pojechał z Morawieckim na zlot do Orbána.

Można zapytać, o co chodzi w tych absurdalnych sprzecznościach. Otóż o to, że prawicowe emocje i obsesje ideologiczne, nienawiść do „lewackich elit", do „zgniłego Zachodu", chęć zemsty za negowanie przez Unię pisowskich „reform", są w PiS znacznie silniejsze niż ta sławetna, często tyleż pryncypialna co w praktyce dość bezobjawowa antyrosyjskość. „Jesteśmy Polakami i mamy polskie obowiązki" – mówił Jarosław Kaczyński na konwencji przed wyborami europejskimi. „Chcemy jeździć tym, czym nam się podoba, podróżować tanimi liniami, chcemy jeść to, co lubimy, żyć w zgodzie z modelem, który znamy. (…) także zatrzymać »szaleńcze przedsięwzięcia imigracyjne«" – kontynuował szef PiS. Wszystko pod hasłem „normalnej Europy", jak to określiła Beata Szydło na inauguracji kampanii PiS. Kaczyński zaś oświadczył, że nowa ekipa rządząca „działa bezczelnie przeciwko interesom Polski", nie powiedział o Unii jednego dobrego, a nawet neutralnego słowa, wysyłał swoich kandydatów do PE jak żołnierzy na wojnę.

Bo to jest wielka zmyłka. Propozycja Kaczyńskiego, Orbána i innych antyunijnych polityków to nie jakaś korekta Unii, polegająca na „odcięciu kulturowych szaleństw" i pozostawieniu „normalnej" reszty. Tak jak w „dobrej zmianie" PiS nie chodziło o socjal czy podwyżki pensji minimalnej. Celem „narodowych, konserwatywnych środowisk" jest całkowita polityczna i ideologiczna zmiana, w duchu „nieliberalnej demokracji" Orbána i „reform sądownictwa" Kaczyńskiego, tyle że podniesionych już do poziomu regulacji europejskich. Chodzi o to, aby „porządki" zaprowadzane przez tych polityków nie były już kwestionowane przez sądy i instytucje unijne, ale wręcz z entuzjazmem akceptowane jako nowy „główny nurt". Te zamiary widać choćby po kandydatach PiS do Parlamentu Europejskiego: Kurski, Kamiński, Tarczyński, Mularczyk, Jaki, Kempa, Szydło (o listach wyborczych i kampanii więcej s. 16). Radykalna prawica z reguły oferuje pakiet, gdzie z jednej strony są prezenty i zachowanie „stylu życia", a z drugiej systemowe, antydemokratyczne ekscesy prowadzące do zmiany ustroju.

W nadchodzących wyborach europejskich chodzi o ustrój już nie poszczególnych państw, lecz całej Unii. Podczas specjalnego oświadczenia Donald Tusk powiedział: „…jeśli w Europie wygrają ci, którzy są wpatrzeni w Putina i w Rosję, to piękne polskie marzenie o Polsce bezpiecznej, z wartościami, z wolnością, z godnością każdego człowieka (…) może się nagle skończyć". Lider PO podkreśla, że zbliżają się „wybory o wasze bezpieczeństwo" i ten wątek wydaje się głównym przesłaniem Platformy w tych wyborach. Unia przejęta przez nacjonalistów stanie się de facto antyunijna i nie ma w tym żadnej sprzeczności, bo tak samo konstytucja może być antykonstytucyjna, jak ta orbanowska na Węgrzech czy w Polsce projekt przygotowany w połowie zeszłej dekady przez PiS. Nowa antyunijna Unia to byłyby zupełnie inne priorytety, standardy praworządności czy stosunek do Rosji, a więc także zanegowanie dzisiejszego systemu bezpieczeństwa.

Jest też wątek bardziej lokalny, polski. Chodzi o to, kto wygra nadchodzące wybory do PE. W okrągłą rocznicę polskiego akcesu do Unii bardzo chciałby zwyciężyć Tusk ze swoją Koalicją Obywatelską i zarazem przerwać serię dziewięciu wyborczych triumfów Kaczyńskiego. Dziwny byłby to sygnał dla Europy, gdyby w kraju, który niedawno „pokonał populizm", znowu wygrali populiści. Dlatego lider Platformy tak mobilizuje elektorat, a w dodatku PiS sam obnaża swoje intencje, wiążąc się już nie z eurosceptykami, lecz z eurowrogami. Pytanie, czy uda się rządzącej koalicji wybudzić wyborców z letargu, w który ci w dużej mierze wpadli po wyborach 15 października. Waga zbliżających się wyborów nie budzi wątpliwości, mają wymiar globalny, europejski i polski. To prawda, że przez lata politycy przyzwyczajali wyborców, że fotel europosła to bardziej dobrze płatna synekura z gwarancją emerytury niż realne polityczne wpływy. Jednak stawka tej gry jest znacznie wyższa niż to, kto będzie jedynką na Podlasiu, a kto na Mazowszu. Rozstrzygnie się, w którą stronę pójdzie Unia i jaką siłą będzie dysponować Europa. Pytanie, czy da się to wytłumaczyć wyborcom przed 9 czerwca.

REKLAMA

20 lat
Polski w UE

S&D

Leszek Miller

Parlament Europejski
ASP 13G351
rue Wiertz 60
Bruksela
tel +32 2 28 45868

Włodzimierz Cimoszewicz

Parlament Europejski
ASP 13G354
rue Wiertz 60
Bruksela
tel +32 2 28 45479

www.socialistsanddemocrats.eu

REKLAMA

Wszystkie afery Obajtka

Realizacja obietnicy rozliczenia afer, jakie zostawił po sobie rząd PiS, przebiega w wolnym tempie. Szczególnie obietnica Koalicji Obywatelskiej nr 64: „Rozliczymy wszystkie afery **Daniela Obajtka**, w tym sprzedaż udziałów w Rafinerii Gdańskiej". Choć prowadzonych jest kilka prokuratorskich śledztw w sprawach Orlenu, były prezes nie został jeszcze przesłuchany. Pojawiła się nawet informacja, że schronił się na Węgrzech, ale zdementował ją, przekonując, że prowadzi kampanię na Podkarpaciu. Za granicą ma za to znajdować się dwóch innych członków zarządu, których nazwiska przewijają się w aferalnych sprawach – Michał Róg i Adam Burak.

Najgłośniejsza afera dotyczy spółki Orlen Trading Switzerland (OTS), założonej w Szwajcarii i zajmującej się zakupami ropy. Na jej czele Obajtek postawił Samera A., bliskowschodniego menedżera pochodzącego z Libanu, zamieszkałego w Bahrajnie, ale legitymującego się polskim paszportem. Samer A. jest podejrzewany, że w latach 2008–13 działał w zorganizowanej grupie przestępczej wyłudzającej VAT. Zatrzymany w lutym, został wypuszczony za kaucją 250 tys. zł. Prawdopodobnie przebywa poza Polską, co utrudnia wyjaśnienie jego działalności jako prezesa OTS. Szwajcarska spółka Orlenu straciła na handlu 1,6 mld zł. Były to zaliczki na zakupy ropy, która do Polski nie przypłynęła. Samer A. został prezesem OTS, mimo że Obajtek był ostrzegany przez służby specjalne nie tylko o wątpliwościach dotyczących przeszłości nominata, lecz również o tym, że znajduje się on na radarach amerykańskiego wywiadu podejrzewany o współpracę z iracką odnogą Hezbollahu.

Sprawą emocjonują się media, a wraz z nimi Donald Tusk. „Poprosiłem dziś o odwiedziny panów prokuratora generalnego i koordynatora służb, w sprawie kluczowej dla bezpieczeństwa państwa: miliardowe straty i możliwych powiązań z Hezbollahem byłego szefa Orlenu. Polacy muszą poznać prawdę. Nie ma na co czekać!" – napisał na platformie X. Sądząc po odbytej nazajutrz konferencji prasowej prokuratora krajowego Dariusza Korneluka dotyczącej śledztw w sprawach Orlenu i Daniela Obajtka (dziś jedynki PiS na podkarpackiej liście do Parlamentu Europejskiego), Polacy prawdy szybko nie poznają.

Przypomnijmy więc w skrócie, jakie jeszcze sprawy prowadzi prokuratura, a które dotyczą lub mogą dotyczyć Daniela Obajtka:

1. Fuzja Orlenu z Lotosem. Chodzi tu m.in. o podejrzenia przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków przez członków zarządu Orlenu, a także o sprzedaż części Rafinerii Gdańskiej koncernowi Saudi Aramco poniżej wartości.
2. Fuzji Orlenu z PGNiG. Tu również mogą wchodzić podobne zarzuty.
3. Obchodzenie ustawy kominowej i zawyżanie wynagrodzeń zarządu. To postępowanie dotyczy członków rady nadzorczej Orlenu, która formalnie decyduje o wynagrodzeniach zarządu.
4. Manipulacje przy przetargach na prace budowlane. Koncern realizuje duże inwestycje, przy których miało dochodzić m.in. do ustawiania przetargów, zawyżania wartości prac oraz przyjmowania łapówek.
5. Zaniżanie cen paliw przed wyborami, między 1 sierpnia a 31 października 2023 r. Orlen przez cały okres rządów PiS był intensywnie wykorzystywany do realizacji rozmaitych przedsięwzięć politycznych. Finałowym akordem była wielka przedwyborcza operacja sprzedaży paliw poniżej kosztów, która naraziła koncern na straty, doprowadzając do kolejek na stacjach i rozregulowania rynku. (AG

CPK hamuje

Pod koniec kwietnia władze Polskich Portów Lotniczych ogłosiły, że do 2029 r. dzięki inwestycjom szacowanym na 2,4 mld zł warszawskie lotnisko Okęcie ma być gotowe do odprawienia rocznie 30 mln pasażerów (w ub.r. było ich 18,5 mln). Między wierszami odczytano: to koniec megalomańskiego projektu Centralnego Portu Komunikacyjnego, forsowanego przez rząd PiS jako element „polskiej racji stanu". Pomysłu dumnego, ale oderwanego od rachunku ekonomicznego, opartego na huraoptymistycznych prognozach ruchu pasażerskiego i przeładunku towarów, bagatelizującego czynniki ryzyka, takie jak choćby słabość naszego narodowego przewoźnika, czyli LOT-u, na tle konsolidującej się konkurencji.

Przedstawiciele spółki CPK w ciągu sześciu lat działalności zajmowali się głównie propagandą oraz wykupem ziemi pod lotnisko, ale udało im się pozyskać zaledwie jedną trzecią potrzebnych gruntów. Mieszkańcy przeznaczonych pod inwestycję trzech gmin nie chcieli sprzedawać gospodarstw, bo uważali wyceny za mało atrakcyjne, a tzw. lokalizacje zastępcze za wzięte z sufitu. Mimo to władze spółki CPK z uporem godnym lepszej sprawy powtarzały, że port będzie gotowy w 2028 r., ignorując opinie ekspertów, którzy mówili – pod warunkiem że inwestycja ruszy z kopyta – raczej o roku 2032.

Ruch pasażerski w stolicy i okolicach ma się teraz opierać na trójporcie: Chopin–Modlin–Radom. W Modlinie zostanie rozbudowany terminal, a Radom – kolejna lotnicza inwestycja forsowana przez polityków PiS – jak na razie obsługuje cztery loty dziennie, więc potencjał do rozwoju się rysuje (problem w tym, że nie ma chętnych do latania, bo jest za daleko od stolicy, a określanie lotniska mianem portu Warszawa–Radom nie sprawiło, że dystans się skrócił). Czy ta koncepcja oznacza pogrzebanie CPK? Trudno powiedzieć, bo odpowiedzialni za podejmowanie decyzji przedstawiciele rządu wysyłają niejasne komunikaty.

Zapowiadany tuż po wyborach wnętrzny audyt projektu nawet się nie zaczął, a wchodząca w skład koalicji rządzącej Lewica popiera budowę portu. Przede wszystkim nowa władza przejęła z dobrodziejstwem inwentarza podpisane w czasach PiS liczne umowy, w tym wart ponad 850 mln zł projekt budowy terminala. Najwyraźniej trudno się z tych zobowiązań wyplątać. CPK będzie więc na razie kontynuowany na pierze, a jedyne, co na pewno zostanie zbudowane, to nitka szybkiej kolei Warszawa–Łódź–Wrocław. Miała być częścią lotniskowego projektu, ale i w oderwaniu od niego jest bardzo potrzebna.

Unia albo Rosja

Anna Siewierska

Za niecały miesiąc wybory do Parlamentu Europejskiego, być może najważniejsze od momentu powstania tej wspólnoty. Tym razem będziemy głosować nie tylko za kierunkiem zmian polityki unijnej – migracyjnej, energetycznej czy ekologicznej, lecz przede wszystkim za konkretnym ładem aksjologicznym. Na szali mamy wolność, demokrację liberalną i prawa człowieka, w wersji wciąż dalekiej od doskonałości, zanadto zbiurokratyzowanej i oderwanej od codziennego życia obywateli państw członkowskich. Po drugiej stronie wschodnią despotię ukrytą pod hasłami o obronie rodziny, tradycji chrześcijańskich i „normalności", postrzeganej jako prawo do palenia węgla, nadużywania pestycydów i inwigilowania politycznych przeciwników.

To wybór między dalszą integracją, która zwiększa szanse Europy na realne rozwiązywanie globalnych problemów i konkurowanie z rosnącymi potęgami Azji, a stopniowym rozpadem Unii Europejskiej, marginalizacją naszego kontynentu i powolną zamianą w skansen współczesnego świata. Wbrew pozorom ten drugi scenariusz nigdy wcześniej nie był tak realny jak teraz, gdy nie tylko Chiny, lecz przede wszystkim Federacja Rosyjska, są zainteresowane rozbiciem Unii na szereg egoistycznie nastawionych państw, niezdolnych do wspólnego działania. I bezradnych wobec neoimperialnych zapędów Władimira Putina, który zaangażował ogromne siły i środki, żeby w czerwcowych wyborach wprowadzić do Brukseli konia trojańskiego.

Kwietniowa konferencja środowisk narodowo-konserwatywnych CPAC w Budapeszcie pokazała determinację Rosji, aby wpłynąć na wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego. Na zaproszenie premiera Viktora Orbána do stolicy Węgier przybyli m.in. premier Gruzji Irakli Kobachidze, lider holenderskiej prawicowo-populistycznej Partii Wolności (PVV) Geert Wilders oraz byli premierzy Słowenii Janez Jansza i Australii Tony Abbott. Wszyscy mniej lub bardziej jawnie prorosyjscy. CPAC wspiera także kampanię prezydencką Donalda Trumpa, którego nie tylko wypowiedzi, lecz także konkretne finansowo-polityczne powiązania, nie pozostawiają złudzenia, jak widzi rolę Rosji w globalnym układzie sił. Gdy w grudniu ub.r. prezydent Wołodymyr Zełenski zabiegał w Waszyngtonie o poparcie Kongresu USA dla udzielenia finansowej pomocy walczącej Ukrainie, to właśnie członkowie CPAC namawiali amerykańskich senatorów, aby jej nie udzielać!

Zatrzymanie rosyjskiej ofensywy leży w najbardziej fundamentalnym interesie Polski, tymczasem nasz kraj reprezentowali pierwszoligowi politycy Prawa i Sprawiedliwości – były premier Mateusz Morawiecki, były marszałek Sejmu Marek Kuchciński, europoseł Ryszard Czarnecki, szef Gabinetu Prezydenta RP Marcin Mastalerek oraz poseł Janusz Kowalski i europoseł Patryk Jaki. Większość goszczących w Budapeszcie polskich polityków w czerwcowych wyborach ubiegać się będzie o mandat eurodeputowanego, trudno zatem nie postrzegać ich udziału w konferencji prorosyjskich środowisk jako działania na niekorzyść Unii Europejskiej i zdradę interesów Polski.

Dziś każdy, kto podkopuje lub choćby tylko osłabia fundamenty wspólnoty europejskiej, pracuje na rzecz Federacji Rosyjskiej! I nie myślę tutaj o merytorycznej krytyce takiego lub innego programu unijnego, brukselskiej biurokracji, która stała się wręcz anegdotyczna, czy absurdalnych czasami pomysłów urzędników unijnych, ale o niszczeniu europejskiej solidarności i podważaniu sensu dalszej integracji. Za mocno? Biorę pełną odpowiedzialność za te słowa. Wybór jest prosty – Unia Europejska albo Rosja.

O trwającej kampanii i nadchodzących eurowyborach piszemy na s. 16.

REKLAMA

Albatros travel

Safari w Republice Południowej Afryki

Oderwij się od codzienności i wyrusz w podróż do zupełnie innego świata na spotkanie z dziką naturą i Wielką Piątką Afryki w Parku Krugera.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Dz.2 Przylot do Johannesburga. Przejazd do Pretorii i krótkie zwiedzanie stolicy RPA. Przyjazd do Zebra Nature Reserve. Odpoczynek i spacer po okolicy. Dz. 3 Wycieczka do kopalni diamentów w Cullinan, gdzie wydobyto największy diament na świecie. Dz. 4 Przejazd malowniczą trasą Panorama Route i Blyde River Canyon. Dz. 5 Safari w Parku Narodowym Krugera i tradycyjna kolacja „boma braai". Dz. 6 Safari w Parku Narodowym Krugera. Dz. 7 Park Krugera – Johannesburg. Podróż powrotna. Dz. 8 Przylot do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy
28/10 2024
9.998,-

Kapsztad – afrykański raj

Wybierz się z nami do Południowej Afryki, spróbuj najwspanialszych win świata i doskonałego jedzenia, rozkoszuj się pięknymi plażami i zobacz pingwiny w pobliżu Przylądka Dobrej Nadziei!

Program wycieczki: Dz.1 Wylot z Warszawy do Kapsztadu. Dz. 2 Kapsztad, zwiedzanie miasta. Dz. 3 Kapsztad. Dzień wolny lub wycieczka na Górę Stołową, rejs statkiem po zatoce, dzielnica Victoria & Alfred Waterfront (dodatkowo płatna). Dz. 4 Kapsztad. Dzień wolny lub wycieczka na Przylądek Dobrej Nadziei z lunchem (dodatkowo płatna). Dz. 5 Kapsztad. Dzień wolny lub wycieczka do krainy win: Vrede en Lust, Franshoek i Stellenbosch, lunch i degustacja win (dodatkowo płatna). Dz. 6 Kapsztad. Dzień wolny lub wycieczka na Wyspę Robben i township (dodatkowo płatna). Dz. 7-9 Pobyt w Kapsztadzie. Wylot do Polski. Dz. 10 Przylot do Warszawy.

10 dni | Wyloty z Warszawy
16/10 2024, 22/01 2025
od 8.198,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Spóźniona mobilizacja

Ukraińska obrona trzeszczy, na froncie brakuje ludzi. Nowe przepisy o mobilizacji, na które od miesięcy czekali zmęczeni żołnierze, sytuacji szybko nie zmienią. Podniosły za to społeczne ciśnienie.

– Trzymamy obronę ostatnimi siłami, na niektórych odcinkach wróg ma nawet dziesięciokrotną przewagę – mówił dowódca Połączonych Sił Zbrojnych gen. Jurij Sodol w ukraińskim parlamencie podczas prac nad ustawą. To już tradycja, że złe wiadomości przekazują społeczeństwu generałowie. Politycy, w tym Wołodymyr Żełenski, starają się trzymać od takich spraw jak najdalej. Prezydent ma świadomość, że zaufanie, jakim cieszy się w społeczeństwie, maleje gwałtownie: od 90 proc. w maju 2022 r., 77 proc. w grudniu 2023 r., do 60 proc. w lutym tego roku (dane Kijowskiego Międzynarodowego Instytutu Socjologii). Ostatnie załamanie notowań można wiązać właśnie z końcówką prac nad ustawą mobilizacyjną – konieczną, ale niepopularną, budzącą strach w społeczeństwie.

Projekt obijał się po politycznych gabinetach od grudnia. Przyspieszenie wymusiła sytuacja wojenna i – tajemnica poliszynela – naciski Stanów Zjednoczonych. Sojusznicy argumentowali, że broń, o jaką zabiegają Ukraińcy, musi ktoś przecież obsługiwać. Do Rady Najwyższej ustawa trafiła w kwietniu. Posłowie wnieśli ponad 4 tys. poprawek, ale udało się ją uchwalić. O co w niej chodzi?

Mobilizacja trwa od początku inwazji. Odbywa się przez indywidualne wręczanie wezwań. Tyle że wojskowe rejestry – w których powinny być: wiek, stan zdrowia, a przede wszystkim adres rekruta – są niekompletne, przestarzałe albo w ogóle nie istnieją. Nie było to wielkim problemem na początku wojny, gdy przed wojskowymi komendami uzupełnień ustawiały się kolejki. Potem – wraz z informacjami o stratach, powrotami okaleczonych weteranów – entuzjazm wojenny się zmniejszał. Wielu mężczyzn, bojąc się frontu, zmieniało adresy, myliło tropy. Patrole wręczały wezwania na przystankach, w kinach, zakładach pracy. Dochodziło do gorszących scen. Żołnierze w mundurach szarpali się z cywilami na ulicach.

Nowa ustawa ma uszczelnić system:

- Mężczyźni w wieku poborowym (18–60 lat) mają obowiązek zaktualizować swoje dane w komendach uzupełnień.
- Wezwanie do wojska będzie uznane za doręczone, nawet jeśli poborowy będzie się ukrywał – wystarczy wysłanie na adres zamieszkania.

Komenda uzupełnień w Zaporożu.

- Poborowego, który uchyla się od zgłoszenia na komisję albo do jednostki, można doprowadzić siłą, ukarać wysoką grzywną.

Wśród innych represji jest ograniczenie prawa do prowadzenia samochodu, a także dostępu do usług konsularnych. Ta ostatnia regulacja wywołała największe emocje i kolejki przed ukraińskimi konsulatami i centrami paszportowymi.

Czy państwa Unii Europejskiej powinny pomagać Ukrainie w ściąganiu poborowych do kraju? – Jeżeli Ukraina wystąpi o wsparcie o pomoc, my zawsze będziemy wsparcia i pomocy udzielać – deklarował wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz. Tę wypowiedź tonował potem szef dyplomacji Radosław Sikorski. Chyba słusznie, bo trudno byłoby znaleźć podstawę prawną do deportacji. W Ukrainie potencjalnych żołnierzy jest 4–5 mln (ostrożne szacunki), wobec miliona na Zachodzie (w tym ok. 400 tys. w Polsce). Nowe prawo o mobilizacji jest mocno spóźnione. Podobnie jak wcześniejsza regulacja obniżająca wiek wysyłanych na front z 27 do 25 lat. Wojskowi szacują, że pierwsi rekruci – po przejściu całej procedury i szkoleń poligonowych – mogą zasilić szeregi dopiero jesienią.

Tymczasem okopy pełne są wymęczonych żołnierzy, którzy dwa lata temu zgłosili się na ochotnika. Nie mogą zrezygnować. Oddalenie się z jednostki uznano by za karaną więzieniem dezercję. Politycy obiecywali, że w ustawie mobilizacyjnej będzie też przepis o demobilizacji weteranów. Zapis jednak wykreślono. Bez nich front by się załamał.

PAWEŁ RESZKA

Kto z kim w europarlamencie

Sondaże przed czerwcowymi eurowyborami nadal – przynajmniej w skali całej Unii – wskazują na brak przełomowych zmian. Trzy frakcje z głównego nurtu, czyli centroprawicowa Europejska Partia Ludowa (prognozowane 24 proc. mandatów), centrolewicowi Socjaliści i Demokraci (20 proc.) oraz liberalny klub Odnowić Europę (12 proc.) mogą liczyć na łącznie 56 proc. miejsc w 720-osobowej izbie (zamiast dotychczasowych 60 proc.). To na nich opierała się Komisja Europejska kierowana przez Ursulę von der Leyen, ale w głosowaniach nad niektórymi projektami z Zielonego Ładu musiała za pomocą głosów klubu zielonych rekompensować bunt części europosłów, głównie z koalicyjnej EPL.

Tyle że niedawno pakt migracyjny, w którym von der Leyen widzi swoje kluczowe osiągnięcie, prześliznął się przez europarlament wyłącznie dzięki głosom Braci Włochów premier Giorgii Meloni, należącym do klubu konserwatystów (prognozowane 10 proc.). Tej reformie, która zmierza do twardego uszczelniania granic, przeciwni byli nie tylko zieloni, lecz także część centrolewicy. Niedługo po tym głosowaniu szefowa KE podczas debaty eurowyborczej otwarcie nie wykluczyła współpracy z konserwatystami w nowej kadencji. W rezultacie oskarżenia wobec von der Leyen (i EPL) o gotowość do „sojuszów ze skrajną prawicą" już stały się tematem kampanii lewicy i zielonych m.in. w Hiszpanii, Niemczech czy we Włoszech.

O stałym porozumieniu koalicyjnym z konserwatystami nie ma mowy choćby dlatego, że musiałoby oznaczać europarlamentarny alians Platformy Obywatelskiej z Prawem i Sprawiedliwością. Do porozumień w konkretnych głosowaniach dochodziło jednak już wcześniej, a w 2019 r. część europosłów PiS poparła von der Leyen na szefową Komisji. I czy wszyscy w klubie konserwatystów to „radykalna" czy nawet „skrajna prawica"? Meloni teraz jest dość centroprawicowa, ale postfaszystowskie korzenie utrudniają dyskusję o etykietach partyjnych. Dlatego obrońcy von der Leyen sięgają głównie po czeskiego premiera Petra Fialę, którego partia ODS też należy do frakcji konserwatystów wspólnie z PiS oraz Braćmi Włochami. A przecież fakt li daleko do „skrajności". W dodatku ODS współrządzi w Pradze z partiami, które na forum unijnym należą do międzynarodówek centroprawicy i zielonych.

TOMASZ BIELECKI Z BRUKSELI

Gaza Wietnam

Trwają masowe protesty przeciw Izraelowi w zwi zginęło już 33 tys. cywil szość obozowisk na campusa monstrantów. Protesty zakłóc roku akademickiego. Studenc Hamasowi, domagają się od u sowych z Izraelem i dostarcza nach Zjednoczonych.

Zdaniem krytyków policy stają z konstytucyjnej wolnoś na wiecach słychać hasła „We „Palestyna od rzeki do morza – oraz szturmówki z gwiazdą Na Uniwersytecie Columbia d żydowskich: „Wracajcie do Po władze uczelni nie wspomina poprawka do konstytucji poz że protestujący uniemożliwia balnie, a czasem fizycznie – s boją się przychodzić na zajęc

Wielu demonstrantów nie wspomnianym haśle ch to młodzi idealiści, którzy nie lestyńskiego konfliktu; widzą bombami dzieci w Gazie. Wśró studenci żydowscy. Historię i zatorzy protestów spoza uczel Palestine i innych radykalnie l studentów. Ich transparenty je tę kampanię, można się dom

Propalestyński ruch prote wyjścia. Prezydent zwlekał d temat. Oświadczył, że potępia bię" – i nie zmieni kursu wob

Gruzja w szpag

Rozstrzyga się europejsk Gruzji. Stawkę znają ucz wielotysięcznych demo które od początku kwietnia ni dziennie zbierają się **pod pa w Tbilisi**. Pretekstem wystą nie rozpraszanych przez polic towała m.in. opozycyjnego lid Chabeiszwilego, jest ustawa o tach zagranicznych. W teorii m przejrzystości życia publiczne wiązuje organizacje pozarząd do wykazywania wsparcia z za W praktyce jest skutecznym ka na społeczeństwo obywatelsk takie przepisy posłużyły do os rozprawy z resztką opozycji. N wzorowaną na putinowskich p ustawę przegłosował sobie też tora Orbána, ignorując orzecze łu Sprawiedliwości Unii Europe

Gaza Wietnamem Bidena?

Trwają masowe protesty na amerykańskich uniwersytetach przeciw Izraelowi w związku z wojną w Gazie, w której zginęło już 33 tys. cywilów. Policja zlikwidowała większość obozowisk na campusach, aresztowała ponad 2,3 tys. demonstrantów. Protesty zakłócają teraz ceremonie zakończenia roku akademickiego. Studenci potępiają ofensywę przeciwko Hamasowi, domagają się od uczelni zerwania kontaktów biznesowych z Izraelem i dostarczającymi mu broni firmami w Stanach Zjednoczonych.

Zdaniem krytyków policyjnych interwencji protestujący korzystają z konstytucyjnej wolności wypowiedzi i zgromadzeń. Jednak na wiecach słychać hasła „We are Hamas", widać transparenty „Palestyna od rzeki do morza" – czyli na całym terytorium Izraela – oraz szturmówki z gwiazdą Dawida i dopiskami „Final solution". Na Uniwersytecie Columbia demonstranci krzyczeli do studentów żydowskich: „Wracajcie do Polski!". Uzasadniając wezwanie policji, władze uczelni nie wspominają o mowie nienawiści – pierwsza poprawka do konstytucji pozwala na wiele – tylko podkreślają, że protestujący uniemożliwiają normalną pracę. I atakują – werbalnie, a czasem fizycznie – swoich żydowskich kolegów. Żydzi boją się przychodzić na zajęcia.

Wielu demonstrantów nie wie, o jaką rzekę i jakie morze we wspomnianym haśle chodzi. Studenci potępiający Izrael to młodzi idealiści, którzy nie znają na ogół powikłań izraelsko-palestyńskiego konfliktu; widzą tylko w telewizji obrazy zabitych bombami dzieci w Gazie. Wśród protestujących zdarzają się nawet studenci żydowscy. Historię i jej komplikacje znają jednak organizatorzy protestów spoza uczelni – z National Students for Justice in Palestine i innych radykalnie lewicowych ugrupowań, którzy szkolili studentów. Ich transparenty wykonano profesjonalnie. Kto finansuje tę kampanię, można się domyślać.

Propalestyński ruch protestu stawia Joe Bidena w sytuacji bez wyjścia. Prezydent zwlekał dwa tygodnie z przemówieniem na ten temat. Oświadczył, że potępia antysemityzm – ale i „islamofobię" – i nie zmieni kursu wobec wojny w Gazie, nadal apelując

Chan Junus w Strefie Gazy.

do premiera Beniamina Netanjahu, żeby się zmitygował, i podkreślając, że Ameryka nie będzie dyktować, jak ma prowadzić wojnę. Lewicę zadowoliłby, gdyby wstrzymał pomoc wojskową dla Jerozolimy, czego nie zrobi. Polityka ta nie satysfakcjonuje żadnej ze stron.

Jeżeli wojna z Hamasem będzie się przeciągać, na przedwyborczej konwencji Demokratów w Chicago dojdzie do masowych demonstracji przeciw polityce Bidena wobec Izraela. Jak w 1968 r. przeciw wojnie w Wietnamie – też na zjeździe tej partii i też w Chicago. Wojna w Gazie nie obchodzi tylu Amerykanów co wojna wietnamska, ale tak samo dzieli, pół roku przed wyborami, Partię Demokratyczną.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Gruzja w szpagacie

Rozstrzyga się europejska przyszłość Gruzji. Stawkę znają uczestnicy wielotysięcznych demonstracji, które od początku kwietnia niemal codziennie zbierają się **pod parlamentem w Tbilisi**. Pretekstem wystąpień, brutalnie rozpraszanych przez policję, która skatowała m.in. opozycyjnego lidera Lewana Chabeiszwilego, jest ustawa o tzw. agentach zagranicznych. W teorii ma sprzyjać przejrzystości życia publicznego, bo zobowiązuje organizacje pozarządowe i media do wykazywania wsparcia z zagranicy. W praktyce jest skutecznym kagańcem na społeczeństwo obywatelskie. W Rosji takie przepisy posłużyły do ostatecznej rozprawy z resztką opozycji. Na Węgrzech wzorowaną na putinowskich pomysłach ustawę przegłosował sobie też Fidesz Viktora Orbána, ignorując orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

Teraz w Gruzji słychać znajome tony. Przemówienia Bidziny Iwaniszwilego – miliardera, który majątek zrobił w Rosji, patrona rządzącego ugrupowania Gruzińskie Marzenie – mogliby pisać Orbán z Putinem. Iwaniszwili mówił ostatnio zwolennikom, że wrogiem jego Gruzji jest Zachód i inspirowana przez niego opozycja, ideologia LGBT, organizacje pozarządowe, niekontrolowane przez rząd media oraz miejscowa wersja pseudoelit. Obcy podżegacze gotowi są – jak Ukrainę – nastawić Gruzję przeciw Rosji. Stąd ustawa to część „kompleksowego wzmacniania suwerenności". Iwaniszwili wprost zapowiada dalsze etapy po wygraniu październikowych wyborów: opozycja – słaba i rozczłonkowana – zostanie poddana należnym jej represjom.

Choć taki kurs wyklucza perspektywę członkostwa (Gruzja ma oficjalny status kandydatki), to Marzenie wyborczo nie słabnie. Politolodzy objaśniają, że wielu obywateli jest zdezorientowanych strategicznym szpagatem partii władzy, która próbuje nie prowokować Rosji i jednocześnie obiecywać, że dąży do UE, datą ma być 2030 r. Obietnice wyglądają na wyrost także dlatego, że elity są niechętne porządkom w europejskim stylu, obawiając się choćby niezależnego od egzekutywy wymiaru sprawiedliwości.

W potokach TikToka

Amerykanie go nie lubią, bo jest „chiński" (nieprawda), Europa go zwalcza, bo uzależnia (racja). Ale młodym TikTok się podoba. Co robić?

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

ILUSTRACJA AGNIESZKA LIPIŃSKA

N

też lekko podane ca
można się dowiedzi
śmieszy i martwi. A
a ostatnio także wie

Co jest fajne

Spójrzmy w oczy t
kowników!), jak się
obawy przed cyfrow
rentów przypomina
mieć minimum 13 l
zabawny, kolorowy,
lekkostrawny, w do
się uczy.

Można TikToka nie
gorytm, pewnie by g
ników. Na Facebook
ale Meta (firma matk
ce emocje, czyli – jak
krzykaczy, trolli czy t
platformy Threads M
Twitter) miała służyć
wała nam do rozmów
tej puli proponowała
łączy, za to są głośni
ców skrzywdzonych
dzi, że Meta używa n
jak na dłoni, że TikTok
w branży – filozofię d
Co też bywa groźne, a

Popularność TikTok
koncern ByteDance z
cal.ly z siedzibami w
U zarania serwis istotn
kownicy nagrywali krót
z przebojami. Metoda
– „synchronizacja ruch
wariant karaoke: chod
Te same wersy piosene
wieści zawierające elem
przesłania. Zwerbujmy
buy myself flowers" (po
mamy sto wyników.

Cytat jest nieprzypad
o radzeniu sobie ze zdra
spodobał, że piosenkę
na świecie) w serwisach
twórnia Universal Must
nak z TikToka swój katal
– apka z dnia na dzień d
się ostatecznie na począt
a muzyka wróci jako ści

Na kogo wolałabyś się natknąć w lesie: na niedźwiedzia czy mężczyznę? – ta fraza rozpala ostatnio TikToka i rozchodzi się po sieci wiralowo. Pytane stwierdzają najczęściej, że wolałyby niedźwiedzia. Nawet jeśli je zaatakuje, to nie powie, że go sprowokowały, spacerując samotnie i nieodpowiednio ubrane. Ta wirtualna wymiana zdań dobrze obrazuje, z czym mamy na TikToku do czynienia: to często parodie i autoironiczne komentarze ilustrowane zabawnymi filmikami. Ale też lekko podane całkiem poważne treści. Śledząc trendy, sporo można się dowiedzieć o tym, co tę młodą społeczność ekscytuje, śmieszy i martwi. A kogo martwi sam TikTok? Wielu rodziców, a ostatnio także wiele rządów.

Co jest fajne

Spójrzmy w oczy temu dziwacznemu monstrum (miliard użytkowników!), jak się lubi myśleć o TikToku, który dziś uosabia obawy przed cyfrowym światem. Wciąga i kusi, bo na tle konkurentów przypomina lunapark. Żeby dostać bilet wstępu, trzeba mieć minimum 13 lat. A potem hulaj dusza. TikTok jest szybki, zabawny, kolorowy, złożony wyłącznie z krótkich filmików, więc lekkostrawny, w dodatku zna nas na wylot, bo błyskawicznie się uczy.

Można TikToka nie lubić, ale gdyby przyznawano Nobla za algorytm, pewnie by go dostał, tak sprawnie prześwietla użytkowników. Na Facebooku też widzimy treści, które nas interesują, ale Meta (firma matka FB) nastawia radar na materiały budzące emocje, czyli – jak to w internecie – popularne opinie, wpisy krzykaczy, trolli czy tzw. atencjuszy. Dobrze to pokazał przykład platformy Threads Marka Zuckerberga, która tak jak X (dawniej Twitter) miała służyć do mikroblogowania – na początek podsuwała nam do rozmów znajomych z Instagrama, a po wyczerpaniu tej puli proponowała autorów, z którymi nic nas specjalnie nie łączy, za to są głośni i widoczni. Zuckerberg przepraszał rodziców skrzywdzonych dzieci po aferze z sygnalistką, która twierdzi, że Meta używa narzędzi pogłębiających cierpienia. Widać jak na dłoni, że TikTok przyjął inną strategię czy – jak to się mówi w branży – filozofię działania. Tu z zasady ma być przyjemniej. Co też bywa groźne, ale z innych powodów.

Popularność TikToka eksplodowała w okolicach 2017 r., kiedy koncern ByteDance zapłacił miliard dolarów za start-up Musical.ly z siedzibami w Szanghaju i kalifornijskiej Santa Monica. U zarania serwis istotnie miał sporo wspólnego z muzyką: użytkownicy nagrywali krótkie klipy, udając, że śpiewają do podkładu z przebojami. Metoda „lip sync", czyli – tak to brzmi po polsku – „synchronizacja ruchu ust" z tym, co słychać w tle, to znany wariant karaoke: chodzi o performens, nie zdolności wokalne. Te same wersy piosenek z różnymi filmikami tworzą nowe opowieści zawierające elementy komiczne, ale i rozmaite autorskie przesłania. Zwerbujmy sto osób i poprośmy o analizę słów „I can buy myself flowers" (pol. sama sobie mogę kupić kwiaty) – otrzymamy sto wyników.

Cytat jest nieprzypadkowy, to fragment „Flowers" Miley Cyrus o radzeniu sobie ze zdradą i rozstaniem – motyw tak się w sieci spodobał, że piosenkę odtworzono ok. 2,7 mld razy (najwięcej na świecie) w serwisach streamingowych w samym 2023 r. Wytwórnia Universal Music Group w lutym 2024 r. wycofała jednak z TikToka swój katalog, tłumacząc, że gigant płaci jej grosze – apka z dnia na dzień dosłownie oniemiała. Firmy porozumiały się ostatecznie na początku maja, wynagrodzenia mają urosnąć, a muzyka wróci jako ścieżka dźwiękowa do dzieł tiktokowych twórców. Z pożytkiem dla muzyki, bo tiktokerzy potrafią wypromować hit albo wyciągnąć z głębokich archiwów rzeczy przykurzone i zapomniane, jak choćby przeżywający drugą młodość singiel „Murder on the Dancefloor" Sophie Ellis-Bextor z 2002 r.

Materiały z kategorii „lip sync" nadal są popularne, ale TikTok ewoluuje i mocno się rozgałęzia. Formalnie to nadal są nieskończone feedy (strumienie treści) z filmikami na różne tematy. Jedni nagrywają zwierzęta, użyczając im głosu (nie zawsze własnego), inni szkolą na temat rasizmu, feminizmu czy klimatu, jeszcze inni uprawiają stand-up, politykę czy ogródki albo polecają książki (tzw. BookTok). TikTok został tak zaprojektowany, żeby widz raczej wchłaniał treści wideo, niż żarliwie dyskutował, zawierał czy utrzymywał znajomości. Tym się różni od mocno tekstowego Facebooka, X czy nawet obrazkowego Instagrama, dlatego, ściśle biorąc, nie jest medium społecznościowym do komunikacji z innymi, ale „aplikacją opartą na społecznościach", czyli tworzoną przez ludzi i dla ludzi, którym taka forma ekspresji odpowiada. Czy z tego powodu jest, nomen omen, mało społecznościowy? Paradoksalnie nie. Dziś już jest raczej jasne, że dyskutowanie w sieci nie zawsze zbliża i prowadzi do konkluzji.

Budowanie wspólnoty na TikToku przybiera po prostu inną postać. Aplikacja jest rozrywkowa, ale i wspierająca w szerokim tego słowa znaczeniu – tu poznają same siebie nastolatki LGBT+, tu znajdują swoje nisze fani szydełka czy tenisa. Powstaje wrażenie, że nie jestem sam/sama albo dziwny/dziwna ze swoimi zainteresowaniami. Nie zawsze chodzi o wspólnotę wieku i doświadczeń, często istotne jest po prostu odseparowanie od świata i stresów z „reala" oraz podglądaczy w postaci krewnych i rodziców, którzy – tak się składa – zawojowali głównie Facebooka.

TikTok ma, jak inni duzi gracze, swoje gwiazdy, krótko mówiąc: influencerów, którzy zwykle funkcjonują na wielu platformach jednocześnie, dostosowując do nich formę przekazu. W Polsce sporą popularnością cieszy się chociażby @doktor_z_tiktoka, popularyzator nauki, doktor inżynier chemii, który „lubi opowiadać o narządach płetwali" (a słucha go pół miliona obserwatorów). Prawnik Marcin Kruszewski (@prawomarcina) ma 2,5 mln fanów. Maria Jeleniewska, lat 21, 13,4 mln obserwatorów, publikuje lajfstajlowe treści. „Gratuluję wam, fani, że kupiliście jej trzy mieszkania", pisze ktoś złośliwie na tabloidowym portalu. Dziewczyna właśnie urządziła się w Hiszpanii.

Sam TikTok szacuje, że jeden na trzech użytkowników kupił jakiś produkt, bo go tutaj podpatrzył. Twórcy treści też zarabiają, ale nie wszyscy – „diamenty" od fanów, wymieniane w wirtualnym kantorze na pieniądze, można zbierać w czasie transmisji na żywo, ale przedtem trzeba mieć skończone 18 lat, tysiąc fanów i minimum miesiąc stażu na platformie. „Napiwki" mogą otrzymać niemal do ręki pełnoletni twórcy z minimum 100 tys. obserwatorów.

Fenomen TikToka może zatem fascynować i przerażać w równym stopniu. Zwłaszcza jeśli nie zajrzeliśmy nigdy do środka. – *Dorośli myślą czasem, że wiedzą, co jest fajniejsze dla młodych osób* – mówi dr Karol Jachymek, badacz nowych mediów, wykładowca Uniwersytetu SWPS, autor książki „Z nosem w smartfonie". – *Byłem świadkiem interesującej rozmowy o grach wideo: ojciec, trzydziestoparolatek, mówił z entuzjazmem o tym, że się na nich wychował i wniosły w jego życie wiele pozytywnych rzeczy. Ale syna odciąga od ekranu, woli mu dać planszówkę. O młodych siedzących w smartfonach myślimy, że robią głównie głupoty.*

A co robią? Cóż, szukają rozrywki i pobratymców od wspólnych zainteresowań, uczą się też nowych rzeczy (szeroki trend DIY, *do it yourself*, czyli zrób to sam). Ostatnie badania Pew Research Center (USA) czy Ofcom (Wielka Brytania) wskazują poza tym, że coraz częściej młodzi szukają na TikToku wieści ze świata. ▶

▶ Czerpanie wiedzy z sieci i jej przemożny wpływ na kształtowanie młodych umysłów od zawsze budziły niepokój. Więc TikTok musiał się znaleźć na celowniku i w USA, i w Unii Europejskiej. Przy czym batalia USA z tą najpopularniejszą aplikacją na świecie weszła właśnie w nową gorącą fazę.

Dwa TikToki

W takich tarapatach TikTok jeszcze nie był. Joe Biden podpisał ustawę, która zmusza firmę ByteDance do zbycia większości udziałów podmiotowi spoza Chin. W innym wypadku grozi jej ban (czyli zniknie z wirtualnych półek z aplikacjami do pobrania), a 170 mln użytkowników w USA będzie się musiało z nią rozstać. Ultimatum, bo tak to trzeba nazwać, wygasa z końcem roku. Spekuluje się, że do transakcji może nie dojść, bo kluczem do sukcesu TikToka jest algorytm. A tym się raczej nie handluje.

– *W naszej ocenie ten akt jest niezgodny z amerykańską konstytucją* – komentuje Piotr Żaczko, Poland&CE markets Communication Manager TikToka. – *Jeśli celem ustawy jest chęć zabezpieczenia użytkowników i ich danych przed zewnętrznym wpływem, to TikTok już to realizuje* (o czym dalej – red.). *Z kolei jeśli celem jest, by TikTok przeszedł w ręce amerykańskiej spółki, to najwyraźniej nie chodzi tylko o bezpieczeństwo i dobro użytkowników.*

Ten akt tiktokowy, co ciekawe, przeszedł w Kongresie w pakiecie z ustawami o amerykańskiej pomocy dla walczącej Ukrainy, Izraela i Tajwanu. Ale nie przeszedł niezauważenie. Istotne są też aspekty, o których wprost się nie mówi: czysto biznesowe (TikTok to rywal dla amerykańskich gigantów z branży) i zawiłości geopolityczne. A jeśli wybory wygra Donald Trump? W 2020 r. sam TikToka zwalczał, ostatnio stwierdził zaś, że dzieci go kochają i będą bez niego rozpaczać. Czyżby mrugał do Chin? I czy rzeczywiście wszystkie drogi prowadzą do Pekinu?

To skomplikowane. Owszem, ByteDance, spółka matka, ma siedzibę w chińskiej stolicy. Jednak 60 proc. udziałów dzierżą w firmie inwestorzy (TikTok wylicza m.in. takich gigantów z… Ameryki: Blackrock, General Atlantic i Susquehanna International Group), 20 proc. założyciele spółki, pozostałe 20 proc. – użytkownicy. Sami Chińczycy TikToka nie używają, korzystają z Douyin. Jak zauważył niedawno „New York Times": choć TikTok ma najwięcej użytkowników na świecie, to Douyin jest w gruncie rzeczy dojną krową ByteDance.

Funkcję CEO, czyli głównego szefa, w TikToku pełni Singapurczyk Shou Zi Chew, w Kongresie USA przedstawiany złośliwie jako Chińczyk, a przynajmniej poplecznik Chin. Ale enklawy z danymi użytkowników – tak się nazywa kontenery z serwerami i bazami wrażliwych informacji – są rozsiane po świecie. To pokłosie tych samych sporów o przechowywanie i przetwarzanie naszych niepublicznych danych (jak numer telefonu, adres zamieszkania, adres mailowy itd.). Enklawa dla amerykańskich użytkowników powstała od zera w ramach tzw. Projektu Teksas po negocjacjach TikToka z Komitetem ds. Inwestycji Zagranicznych (w skrócie CFIUS), który obsługuje interesy nieamerykańskich firm. Stroną umowy i pewnego rodzaju zewnętrznym audytorem jest amerykański Oracle, operator danych, do których nie ma dostępu ani TikTok, ani ByteDance. A już na pewno nie ma go komunistyczny rząd Chin.

Oracle wyłapuje incydenty i pilnuje porządku (czyli mówiąc w dużym skrócie, algorytmu), ale i akceptuje (lub nie) każdą zmianę, którą aplikacja wprowadza. Dlatego TikTok w USA i TikTok w Europie to w zasadzie dwa różne TikToki.

Faktem jest, że z czymś takim Ameryka się jeszcze nie zetknęła – żadna aplikacja „z zewnątrz" nie była popularna na taką skalę. Nie ma tam też rozwiązań na wzór naszego RODO. Od ubiegłego roku mamy na kontynencie własną enklawę z danymi posiadaczy TikToka. To owoc nieco bliźniaczej operacji pod kryptonimem

Tak wygląda świat na TikToku.

„projekt Clover", w ramach której powstało centrum danych, a kolejne dwa się ponoć budują. Danymi Europejczyków opiekuje się firma NCC Group związana głównie z cyberbezpieczeństwem. – *I Oracle, i NCC mają prawo, a wręcz obowiązek zgłaszania nieprawidłowości konkretnemu regulatorowi, i to z pominięciem samego TikToka* – twierdzi Piotr Żaczko. – *Jaki wpływ ma na TikToka komunistyczny rząd Chin? Zerowy* – zapewnia.

Lajki jak fajki

Europa nie idzie jeszcze tak daleko jak USA; nie chce TikToka zamykać ani „udomowić", ale nałożyć mu kaganiec, blokując pobocznąaplikację TikTok Lite. Tutaj w zamian za oglądanie filmików, lajki i podejmowanie różnych wirtualnych wyzwań użytkownicy otrzymują upominki, vouchery i tiktokowe monety. Z tej opcji na kontynencie mogą korzystać tylko Hiszpanie i Francuzi, a rozlałaby się pewnie szerzej, bo taka jest logika „wdrożeń". Zaniepokojona Bruksela poprosiła ByteDance o ocenę ryzyka działania jej produktu, ale odpowiedzi jej najwyraźniej nie zadowoliły. Więc też grozi banem. Unijni urzędnicy podkreślają, że zarabianie kusi, demoralizuje i uzależnia tak młode osoby.

Skąd w ogóle brać pewność, że apkę obsługuje 13-latek, a nie ktoś nieregulaminowo młodszy? Każda platforma musi to badać, bo sama bariera wejścia jest jak szeroko otwarte drzwi: zwykle wystarczy podać wiek, czasem datę urodzenia. Po prawdzie najłatwiej wejść w sieci na dowolny serwis pornograficzny, który pyta tylko, czy mamy ukończone 18 lat. Wystarczy wybrać „tak" lub „nie".

TikTok weryfikuje wiek, m.in. sprawdzając, jakich używamy słów kluczowych, hasztagów, czy nie majstrujemy przy dacie urodzenia, żeby jakieś opcje sobie odblokować itd. Co kwartał wyrzuca małą armię udawanych 13-latków. – *To ciągła gra w policjantów i złodziei* – tłumaczy Żaczko. Za policjantów robią moderatorzy ludzcy i nieludzcy, czyli uczące się maszyny. W Polsce byłoby ludzi nie starczyłoby nawet na batalion – to tylko 201 osób wyszkolonych w dużej mierze przez technologie. Na świecie to łącznie 40 tys. ludzi, w samej Europie – ok. 6 tys.

Na TikToku – twierdzi firma – inne treści trafiają do osób pełnoletnich, inne do niepełnoletnich. Ba, nieco inne widzą 13-latki

inne 15-latki, jeszcze in
łączy się sama po upły
chających nas z zapyta
– *Mocno też rozwijamy*
Żaczko. – *Chodzi o to, ż*
ich dzieci, i pomogli im
które wiążą się z jakimi

Ale Thierry Breton,
i usług, twierdzi, że Tik
Przesada? To… zależy. S
przyjemności. Jak to ujął
Wiśniewski, pisarz, publi
potrafi „otulić przyjemny
przynależności i wytchn
tak trudno się od niego o
dopiero takich pojęć, jak

Długofalowych skutk
prawdę dobrze nie zna
najszybszym ze wszystki
ujawni. Ale powody do n
form: są w internecie za
(patostreaming), sieć mo
moocenę, skłaniać do kr
siedliskiem dezinformacj
tak, że utrudnia odpoczyw
ców, a przecież jest ich spo
bodźcowaniu: POLITYKA
ekranem są w stanie je prz
więcej dzieci nie radzi sob

– *Chociaż TikTok ma wb*
cielskiej, to nie zdadzą się
rują konta dziecku – kome
mieć święty spokój, podać
osobę samopas. To problem
ściowe i w ogóle świat cyfro

Są więc powody do niepo
wtarza dr Jachymek. Ta moż

inne 15-latki, jeszcze inne 17-latki. Najmłodszym aplikacja wyłącza się sama po upływie 60 min. Działa system alertów szturchających nas z zapytaniem: może już wystarczy tego TikToka? – *Mocno też rozwijamy tzw. kontrolę rodzicielską* – dodaje Piotr Żaczko. – *Chodzi o to, żeby rodzice mieli wgląd w to, co oglądają ich dzieci, i pomogli im unikać niepożądanych treści, choćby tych, które wiążą się z jakimiś traumami.*

Ale Thierry Breton, komisarz UE ds. rynku wewnętrznego i usług, twierdzi, że TikTok uzależnia jak palenie papierosów. Przesada? To… zależy. Smartfon bywa źródłem łatwej, szybkiej przyjemności. Jak to ujął w felietonie dla Dwutygodnika Michał R. Wiśniewski, pisarz, publicysta, znawca obyczajów w sieci, TikTok potrafi „otulić przyjemnym kokonem algorytmu", dając poczucie przynależności i wytchnienie od codziennej harówki. Dlatego tak trudno się od niego odkleić, zwłaszcza młodym, uczącym się dopiero takich pojęć, jak samokontrola, dyscyplina czy umiar.

Długofalowych skutków ciągłego podpięcia do sieci tak naprawdę dobrze nie znamy – generacja rosnąca z TikTokiem, najszybszym ze wszystkich społecznościówek, dopiero te efekty ujawni. Ale powody do niepokoju są wspólne dla różnych platform: są w internecie zakątki epatujące wrogością i przemocą (patostreaming), sieć może pogłębić depresję albo obniżyć samoocenę, skłaniać do krzywdzących porównań z innymi. Jest siedliskiem dezinformacji czy teorii spiskowych. No i pobudza tak, że utrudnia odpoczywanie czy zasypianie. To kopalnia bodźców, a przecież jest ich sporo i poza internetem (pisaliśmy o przebodźcowaniu: POLITYKA 23/23). Czy dzieci wychowane przed ekranem są w stanie je przetworzyć bez strat dla rozwoju? Coraz więcej dzieci nie radzi sobie np. z czytaniem na głos!

– *Chociaż TikTok ma wbudowane mechanizmy kontroli rodzicielskiej, to nie zdadzą się na nic, jeśli opiekunowie nie skonfigurują konta dziecku* – komentuje Michał R. Wiśniewski. – *A wolą mieć święty spokój, podać fałszywą datę urodzin i puścić młodą osobę samopas. To problem wykraczający poza media społecznościowe i w ogóle świat cyfrowy.*

Są więc powody do niepokoju i bicia na alarm? – *To zależy* – powtarza dr Jachymek. Ta może mało satysfakcjonująca odpowiedź wydaje się najuczciwsza. – *Do fraz „internet szkodzi" albo „TikTok uzależnia i ogłupia" zawsze podchodzę z ezujnością i podejrzliwością, nie negując oczywiście zagrożeń. Bo my wszyscy mamy, mówiąc wprost, przerąbane* – dodaje.

Żadne medium społecznościowe czy cyfrowe nie przyzna wprost, że dybie na nasz czas i żąda naszej uwagi. Ale dybie bez wątpienia. – *Model biznesowy TikToka opiera się na reklamach* – przyznaje Piotr Żaczko. – *I od zawsze wiemy, że jeśli użytkownik czuje, że spędza czas w sposób nieproduktywny i go marnuje, to prędzej czy później poczuje się oszukany i przestanie korzystać z platformy.*

Piszą o tym redaktorzy magazynu „The Brown And White": jednym z najmniej przyjemnych doświadczeń w sieci bywa wstręt do siebie odczuwany z powodu „poczucia marnowania czasu". I nie jest to zjawisko nowe, tiktokowe. Pojęcie *guilty pleasure*, wstydliwych przyjemności, pierwszy raz pojawiło się w kontekście… domów publicznych w 1860 r. Wartościowanie sposobów spędzania czasu nadal bywa przyczyną sporów międzygeneracyjnych. – *Poszukiwanie jednego konkretnego czarnego bohatera, w tym wypadku byłby to TikTok, usypia naszą czujność, bo raptem nabieramy przekonania, że aplikacje, których sami używamy, są bezpieczniejsze, a przynajmniej neutralne* – dodaje dr Jachymek. – *To, jak internet na nas wpływa, bardzo zależy od naszego „backgroundu", wiedzy na ten temat, od naszych indywidualnych cech.*

Głupi telefon

A niewiedzą lubi karmić się lęk. Dr Amy Orben, brytyjska psycholożka eksperymentalna, pisze wręcz o „panice technologicznej", w którą wpadamy, ilekroć pojawia się coś nowego, jak TikTok czy chociażby ChatGPT. Ta panika jest potrzebna, żeby reagować na nadużycia i zagrożenia. Ale musi ustąpić głębszej refleksji, a nie zatrzymać się na etapie straszenia i opowiadania o „higienie cyfrowej" (czy, z angielska, „cyfrowym wellbeingu"), która miałaby objąć wyłącznie dzieci i opierać się na zakazach. Swoją drogą zakaz korzystania ze smartfonów na lekcjach faktycznie przyniósł w Norwegii efekty w postaci lepszych osiągnięć w nauce. Ale kluczowe są powody, dla których dzieci w ogóle do smartfonów w szkole zaglądają. Czy ktoś je o to pyta? – *Mnie mówią, że codziennie mają klasówki i swoje stresy, smartfon pomaga im się na parę minut odizolować* – opowiada dr Jachymek. – *Kiedyś prowadziłem wykłady dla licealistów i licealistek na temat kultury cyfrowej, pracowaliśmy na TikToku. Spytałem, dlaczego go używają. Zmroziła mnie już pierwsza odpowiedź: „Proszę pana, bo strzela nam dopamina". Zdałem sobie sprawę, że dzieciaki mówią to, co chcę usłyszeć, cytują dorosłych. Projektujemy na nie naszą perspektywę. Czasem słusznie, bo nie zdają sobie sprawy z wielu zagrożeń. Ale ich głosu często już nie słyszymy.*

Dziś coraz więcej mówi się o nadmiarze „ekranizacji", czyli ekranów dookoła (to nowe znaczenie słowa „ekranizacja" młodym może się utrwalić). Przebojem na Zachodzie stają się powoli dumbphone'y, odwrotność smartfonów, dosłownie: głupie telefony. Bez dostępu do sieci, aplikacji i dotykowych wyświetlaczy. Jak za dawnych czasów. – *Każdy z nas powinien się zajmować edukacją medialną i cyfrową* – mówi dr Jachymek. I udziela praktycznej rady: – *Wyróbmy w sobie nawyk „aktywnego oglądania" treści w sieci, przyglądajmy się sami sobie. Nastawmy sobie np. budzik co kwadrans, żeby sobie uświadomić, ile czasu spędziliśmy w smartfonie. To mogą być nawet najbardziej boomerskie metody.*

Te boomerskie, dziaderskie metody mogą zdziałać cuda i u młodych z generacji Alpha (rocznik 2010 wzwyż) i Zet (rocznik 2000), i u trzydziestoparoletnich milenialsów. OK Boomer?

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Wielka Brukselska

Listy już zarejestrowane, bomba poszła w górę. Po październikowym przełomie i wiosennej dogrywce o samorząd rywalizacja przenosi się na obszar europejski. Wybory do PE to kolejny z etapów porządkowania sceny w przejściowym okresie przed przyszłoroczną rozgrywką o Pałac Prezydencki.

RAFAŁ KALUKIN

Problem w tym, że to już trzecia kampania na przestrzeni roku. Emocje po wielkiej zmianie dawno opadły i większość wyborców wolałaby pewnie trochę odetchnąć od polityki. Wybory europejskie same w sobie też nigdy specjalnie nie kusiły, ich wyśrubowany pięć lat temu frekwencyjny rekord to raptem 45 proc. Czyli mniej niż ostatnio w wyborach samorządowych, które pozostawiły po sobie wrażenie niedosytu. I niewiele wskazuje, żeby ten trend miał się odmienić.

Będzie to zatem kampania zorientowana niemal wyłącznie na mobilizowanie własnych wyborców. Nieprzekonanymi raczej nikt nie będzie się przejmował, bo to nie dla nich wybory. Liczyć się będą twarde elektoraty: kto utwardzi skuteczniej, ten wygra.

Pole symboliczne jest jasno określone: Kaczyński walczy o dziesiąte z rzędu zwycięstwo, a Tusk chciałby mu wreszcie przerwać tę passę. Ostatni raz Platforma procentowo wyprzedziła PiS równo dekadę temu, właśnie w wyborach europejskich. I w jakimś sensie historia zatacza koło, bo przecież nastrój tamtej kampanii określiła rosyjska aneksja Krymu. Premier Tusk zagrał wtedy na historycznych traumach Polaków. Postraszył, że jeżeli nie dokonają właściwego wyboru, możemy mieć powtórkę z 1 września, kiedy dzieci nie poszły do szkoły. I niewątpliwie to mobilizacja wokół flagi sprawiła, że słabnąca Platforma o włos wyprzedziła PiS.

Dzisiaj jest dużo groźniej, a zatem i wysiłkom Tuska, który konsekwentnie stara się wpisywać zbliżające się wybory w logikę bezpieczeństwa, nie da się zarzucić przesady. Zmieniły się również polityczne okoliczności. Tamto zwycięstwo okazało się wkrótce pyrrusowe. Tuż po wyborach rozlała się afera taśmowa, następnie Tusk odleciał do Brukseli i było po sprawie. Ale znajdujemy się przecież na początku cyklu politycznego i stabilności układu rządzącego nic poważnego jeszcze nie zagraża. Chociaż obóz rządzący miał nadzieję, że na koniec wyborczej triady uda się zdobyć przewagę strategiczną nad PiS, trwale go osłabić, sprowokować rozłam.

Zamiast tego mamy dzisiaj stan równowagi. Partie koalicyjne kontrolują sytuację, choć zamiast rosnąć, same muszą podtrzymywać słabnącą mobilizację. Z kolei formacja Kaczyńskiego ustała na nogach, ale wciąż boryka się z kryzysami: konfliktami, zużyciem przywództwa, hurtowo wypadającymi z szafy szkieletami, brakiem zdolności koalicyjnych. W takiej formie PiS jest w stanie wygrać co najwyżej potyczki.

Weszliśmy więc w etap wojny pozycyjnej, obaj generałowie chwilowo zaś nastawiają się na wielkie przesunięcia linii frontu. Więcej uwagi poświęcają własnym szykom, przygotowując je do przyszłorocznej batalii. Chociaż zgodnie twierdzą, że wybory europejskie są jedynie wyraz istotne, tak naprawdę mają świadomość, że tych parę mandatów w jedną czy drugą stronę wiele nie zmieni. Pewnie Tusk jest bardziej zmotywowany, bo jeżeli wprowadzi do PE okazałą reprezentację, jego potencjał w polityce międzynarodowej dodatkowo urośnie. Ale dla Kaczyńskiego, który sam wybrał sobie miejsce na europejskim marginesie, to kwestia drugorzędna.

Z tego powodu proces układania list obu hegemonów wyglądał trochę inaczej niż w poprzednich europejskich rozdaniach. Zabrakło tym razem fajerwerków spektakularnych transferów, ściąganych osobistości spoza polityki. Był to spektakl rozgrzewający wyłącznie partyjne aparaty, które z uwagą śledziły personalne przetasowania i roszady, starając się pojąć ich wewnętrzną logikę. Co nie było takie proste.

Układanie list to bowiem narzędzie partyjnej władzy, które Kaczyński i Tusk opanowali do perfekcji. A wybory europejskie

© SHUTTERSTOCK

oferują dodatkowe możliwości, gdyż kandydowanie w nich czasem bywa nagrodą, a czasem karą. Dla polityków już nasyconych stanowiskami to okazja, żeby zmienić otoczenie i odkuć się finansowo. Ale spragnionym realnej władzy Parlament Europejski jawi się jako złota klatka, miejsce luksusowej zsyłki. Jedni więc antyszambrują, żeby dostać biorące miejsce, inni zaś bronią się przed tym, starając się dowieść swojej przydatności na aktualnie zajmowanym stanowisku. A zdezorientowana opinia często musi zgadywać, czy dany kandydat sam sobie wychodził miejsce na liście, czy też został do kandydowania zmuszony.

Na Nowogrodzkiej oczywiście chętnych było najwięcej. Tyle że podaż nie nadążała za popytem. Po ośmioletniej wielkiej konsumpcji władzy jest to partia tłustych kotów, którym już niewiele się chce. Z ich perspektywy miejsce na liście do PE to oczekiwana premia „za zasługi". Problem w tym, że tych z zasługami jest spore stado, a trzeba przy tym obsłużyć rozmaite kliki i frakcje, z kolei z drugiej strony naciska stara brukselska ekipa, która chciałaby przedłużyć swoje mandaty. Tymczasem realnie jest do wzięcia mniej niż za poprzednim razem. W 2019 r. znajdujący się u szczytu PiS zdobył ich 27, teraz może liczyć na ok. 20. Kaczyński musiał więc tak pokierować procesem, żeby w miarę możliwości rozładować nieuchronne frustracje, przy okazji szykując grunt pod wymianę partyjnych elit.

W jego wskazaniach bardziej jednak widać logikę kontynuacji. Ostatecznie to „brukselczycy" zostali przez niego uprzywilejowani. Niektórzy od początku byli pewniakami, jak Beata Szydło (Małopolska i Świętokrzyskie) albo Joachim Brudziński (Zachodniopomorskie i Lubuskie). Z parytetu zasłużonych wzięli też swoje jedynki Anna Zalewska (Dolny Śląsk i Opolszczyzna) oraz Witold Waszczykowski (Łódzkie). Listę pomorską jak zawsze otwiera praktycznie nieobecna w krajowym obiegu Anna Fotyga, kujawsko-pomorską – jeszcze pod tym względem dyskretniejszy Kosma Złotowski, a śląską – też stosunkowo mało znana Jadwiga Wiśniewska. Chociaż wszystkich oczywiście nie dało się należycie dopieścić. Tym razem niższe miejsca przypadły Ryszardowi Czarneckiemu, Karolowi Karskiemu, Dominikowi Tarczyńskiemu, Patrykowi Jakiemu z Solidarnej Polski oraz przede wszystkim Jackowi Saryuszowi-Wolskiemu, którego kandydowanie ważyło się do ostatniej chwili (dostał dwójkę na Lubelszczyźnie). No i miało miejsce parę pożegnań. Przede wszystkim z naczelnymi do niedawna pisowskimi intelektualistami Ryszardem Legutką i Zdzisławem Krasnodębskim, którzy wypadli z łask. Podobny los spotkał Beatę Mazurek i Ewę Kruk.

Bo też trzeba było zwolnić trochę miejsca dla frakcji krajowej. Tutaj jednak Kaczyński chyba nie miał aż takiej swobody, jakiej by sobie życzył. Bo to przecież głównie zewnętrzna presja polityczna sprawiła, że oddał dwie jedynki Mariuszowi Kamińskiemu (Lubelskie) i Maciejowi Wąsikowi (Podlasie, Warmia i Mazury). Jako męczennikom „reżimu Tuska" to się po prostu należało, chociaż w samej partii nie cieszyli się specjalną estymą nawet wtedy, kiedy nie pojawiły się jeszcze doniesienia o podsłuchiwaniu pisowskich notabli. Chociaż akurat w roli kandydatów mogą się sprawdzić, bo przecież w tych wyborach chodzi głównie o mobilizowanie twardej bazy.

Co innego Daniel Obajtek, którego Kaczyński obdarował jedynką na Podkarpaciu. Już nawet jeden z sondaży pokazał, że to najmniej strawny kandydat PiS w tych wyborach. I trudno się dziwić, skoro co chwila wypływają kolejne afery z czasów jego zarządzania Orlenem. Oczywiście pisowskie bańki nie muszą dawać im od razu pełnej wiary, ale wystarczy, że pojawił się osad wątpliwości. Obajtek nie ma przecież legendy starego pisowca, wytrwałego piechura w wielkim marszu. Nawet etosowym wyborcom prawicy bardziej się pewnie kojarzy z milionami na koncie czy rozsianymi po kraju nieruchomościami. I przez całą kampanię ani na moment nie przestanie być głównym celem ostrzału obozu rządzącego. Trudno powiedzieć, czym się kierował Kaczyński, wystawiając byłego szefa Orlenu. Ale to inwestycja pod każdym względem ryzykowna.

Podobnie zresztą jak drugie miejsce na mazowieckiej liście dla Jacka Kurskiego. To figura równie kontrowersyjna: symbol propagandowego przechyłu i przesytu, rozpasania władzy, braku wyczucia granic. Jako prezes TVP wydawał się niezbędny, ale bez wsparcia jego propagandowej tuby PiS wcale nie traci. I choć sam lubi podkreślać, jaki to był niezastąpiony, dla wielu zwolenników PiS tym bardziej staje się drażniący. Karkołomnym rozwiązaniem wydaje się również umieszczenie Kurskiego na liście tuż za Adamem Bielanem, z którym drze koty od niemal dwóch dekad. Zapowiada się zatem na bezpardonową wewnętrzną rywalizację, a równocześnie obaj powinni zgodnie współpracować w sztabie krajowym. Co może być trudne.

W ogólnie przewidywalnej konstrukcji pojawiły się dwie niespodzianki. Wielkopolska jedynka dla Wojciecha Kolarskiego pokazuje, że prezes PiS mimo wszystko nie zaniedbuje relacji z prezydentem Dudą. Trudniej za to uzasadnić pierwsze miejsce w prestiżowej Warszawie dla mało charakterystycznej Beaty Gosiewskiej. Być może kolorytu stołecznej liście miał dodać ulokowany tuż za nią Tobiasz Bocheński, którego jednak po wyborach samorządowych trudniej lansować jako wschodzącą gwiazdę prawicy. Kształt listy odzwierciedla jednak ogólną logikę: dobierając nazwiska, Kaczyński przede wszystkim miał przed oczami partię, a niekoniecznie już wyborców.

W KO ten element również był istotny, a lista Tuska zaskakuje dużo bardziej. Z trzema kluczowymi ministrami, którzy odchodzą po raptem półrocznym urzędowaniu. Co tak samo wprawiło w zdumienie partię, jak i najwierniejszych kibiców z baniek społecznościowych. I trudno się dziwić, bo trochę nie wiadomo, jak właściwie wpisać decyzje premiera w logikę etapu. A do tego Tusk złamał wszystkie swoje dawne przyzwyczajenia. ▶

▶Bo za pierwszego premierowania co do zasady nie puszczał do Brukseli urzędujących ministrów. Chyba że swoje już odsłużyli, jak Jacek Rostowski i Michał Boni w 2014 r. Ważniejsza od list zawsze jednak była stabilność układu politycznego. Skądinąd ówczesna Platforma nie potrzebowała takich zasileń. Miała mocny kontyngent autorytetów w sprawach europejskich, a zarazem popularnych polityków. Takie nazwiska, jak Jerzy Buzek, Janusz Lewandowski, Jacek Saryusz-Wolski, Róża Thun bądź Danuta Hübner przez lata gwarantowały zarówno jakość, jak i odpowiednią liczbę głosów. Przejścia z ligi krajowej do europejskiej nie były więc powszechne. Tusk wolał już zachować miejsce pod głośny transfer albo nieoczekiwany polityczny come back, zawsze też brał po paru celebrytów.

Skądinąd inwestycja w Jerzego Buzka, który kandydował po raz pierwszy w 2004 r. jako upadły premier, okazała się strzałem w dziesiątkę. Takiej stopy zwrotu Polska dotąd nie widziała, gdyż przez dwie dekady Buzek wykręcał na Śląsku wręcz niewiarygodne wyniki. Teraz jednak 84-letni polityk już nie kandyduje, a jego miejsce zajmie minister aktywów Borys Budka. Zrodziło to w partii spekulacje, że to Tusk wymusił na Buzku rezygnację, chociaż z naszych informacji wynika, że były przewodniczący PE sam powiedział „dość". Co zresztą wcale nie ucieszyło Budki, który podobno wolał startować z drugiego miejsca, też biorącego. Mierzenie się z legendarnymi wynikami Buzka na Śląsku może być bolesne.

Nie jest z kolei jasne, czy Budka sam się wybierał do PE, czy też został tam skierowany. Już od paru miesięcy mówi się, że premier jest zawiedziony opieszałością swojego ministra, który nie radzi sobie z wymianą kadrową w państwowych spółkach. Być może więc decyzja o jego wymianie dojrzewała już od dawna, a główny zainteresowany zdążył się z taką perspektywą oswoić i nie ma nic przeciwko wyjazdowi do Brukseli. Już bardziej tajemnicze są okoliczności wystawienia przez szefa Marcina Kierwińskiego na jedynce w Warszawie. Bo takiego ruchu nikt się nie spodziewał, a już zwłaszcza osobiście wyrzeźbione przez tego polityka stołeczne struktury PO. Po kątach trochę co prawda już wcześniej szeptano, że Kierwiński również niezbyt sobie radzi w resorcie, szczególnie jeśli chodzi o reformę policji. Tyle że jako sekretarz generalny Platformy wydawał się mimo wszystko niezastąpiony w kraju. Sam jednak przekonywał swoje otoczenie, że odchodzi z rządu na własne życzenie, głównie z powodów rodzinnych.

Nie wiadomo, jak głośny incydent związany z jego przemową z okazji Dnia Strażaka, po której pojawiły się zarzuty o nietrzeźwość, wpłynie na kampanię tego polityka.

Jeszcze inny był casus Bartłomieja Sienkiewicza. Akurat o jego starcie mówiło się najwcześniej, bo w czasach powstawania rządu Tuska. Minister kultury miał być zderzakiem, który przychodzi na parę miesięcy, rozbija pisowski układ w mediach i ewakuuje się do PE. Tyle że Sienkiewicz w pewnym momencie uciął te spekulacje, kwieciście dezawuując europarlament jako „cmentarzysko politycznych słoni". I sprawiał wrażenie, jakby faktycznie rozsmakował się w sprawowaniu realnej władzy, czemu dawał wyraz w swoich niekiedy nieszablonowych decyzjach personalnych. Skończyło się jednak tym, że kandyduje z pierwszego miejsca w okręgu małopolsko-świętokrzyskim.

Każdy z tych przypadków daje się z osobna wytłumaczyć, chociaż ich suma już robi różnicę. Bo Budka, Kierwiński i Sienkiewicz to nie tylko ważni ministrowie, ale przede wszystkim politycy z samego jądra nieformalnego układu politycznego. Pierwsi dwaj trzy lata temu szykowali grunt pod powrót Tuska do PO, zaklepując sobie w zamian miejsce w najbliższym otoczeniu nowego szefa. A trzeci był tam właściwie od zawsze, od samego początku Platformy, jako wpływowy doradca i z czasem frontowy polityk.

Spekulacje, czy sami chcieli odejść, czy też premier ich wypchnął, w gruncie rzeczy nie mają jednak znaczenia. Bo gdyby Tusk chciał ich przy sobie utrzymać, przecież by to uczynił. Zapewne więc świadomie zgodził się na demontaż całego układu albo wręcz sam go wymusił. Trochę jak po aferze hazardowej w 2009 r., kiedy przy okazji dymisji bezpośrednio umoczonych w nią platformersów wyciął również swoich najbliższych ludzi: Grzegorza Schetynę, Rafała Grupińskiego i Sławomira Nowaka. Wtedy użył oczywiście skalpela, a teraz podsunął pluszowe fotele, niemniej efekt jest podobny, bo odchodzą sprawdzeni towarzysze frontowi, ludzie najbardziej zaufani.

Wrażenie kontrolowanej destrukcji pogłębił start obu szefów komisji śledczych. Dariusz Joński otwiera listę łódzką, a Michał Szczerba będzie piąty w stołecznej. Co prawda obie komisje powoli już kończą przesłuchania, chociaż finisz jest istotny, bo należy przecież napisać końcowy raport. A w kampanii to się raczej nie uda. Pewnie więc trzeba będzie dokonać wkrótce zmian w składzie komisji, bo przecież Joński raczej na pewno zostanie wybrany, a Szczerba ma szanse (z trzeciego miejsca w Wielkopolsce kandyduje jeszcze kolejny z ważnych śledczych Marcin Bosacki).

Stara europejska ekipa PO właściwie już się wykruszyła, gdyż ostał się jedynie Janusz Lewandowski (pierwszy na Pomorzu). Swoje jedynki wzięli też deputowani z krótszym przebiegiem, tacy jak Ewa Kopacz (Wielkopolska), Andrzej Halicki (Podkarpacie) i Elżbieta Łukacijewska (Podlaskie). Wracają do PE Bartosz Arłukowicz (Zachodniopomorskie i Lubuskie) oraz Bogdan Zdrojewski (Dolny Śląsk i Opolskie). Przechodzi też Krzysztof Brejza, który otwiera listę kujawsko-pomorską, jest też drugie miejsce w Warszawie dla Hanny Gronkiewicz-Waltz, która od dawna nie uczestniczyła już w partyjnym życiu i podobno sama była zaskoczona, że ktoś sobie o niej przypomniał.

Listy mniejszych ugrupowań nie przyniosły większych niespodzianek. Lewica i Polska 2050 (startująca w ramach Trzeciej Drogi) nie powystawiały swoich ministrów, najwyraźniej nie chcąc dostarczać pretekstu do dyskusji o zmianie koalicyjnych parytetów. Wyłamał się PSL, który na czele wielkopolskiej listy umieścił ministra rozwoju Krzysztofa Hetmana. Poza tym jednak mniejsi koalicjanci starali się wycisnąć jak najwięcej ze swoich wątłych zasobów kadrowych, mobilizując do startu większość znanych twarzy. Z niewielkimi szansami na wejście, bo przecież Trzecia Droga realnie może liczyć na 6–7 mandatów, a Lewicy do szczęścia wręcz wystarczy przekroczenie progu. Ta ostatnia powoli zaczyna już walczyć o przetrwanie, co nie pomaga w kampanii, ale przynajmniej proeuropejska niemal we wszystkich aspektach formacja nie musi się martwić o agendę. Większy problem będzie z tym miała TD.

W sumie jednak każdy z „braci mniejszych" Tuska zabiega o drobne stawki. PSL o mandaty dla 2–3 prominentnych działaczy, od czego będzie zależeć wewnętrzna sterowność tej formacji. A Hołownia chyba tylko o ogólnie pozytywne wrażenie, chociaż z jego perspektywy tych wyborów mogłoby w ogóle nie być. Przy kiepskiej frekwencji zanosi się zresztą na to, że w pierwszej kolejności tracić będą właśnie TD i Lewica z ich najbardziej kapryśnymi elektoratami. I wcale nie będzie wielką sensacją, jeżeli na podium ostatecznie wciśnie się Konfederacja, której hałaśliwy antyeuropejski populizm z pewnością będzie w kampanii dużo bardziej słyszalny.

RAFAŁ KALUK

Ś

Śląz
Niy

JAN

Niebaw
cie na
ustaw
statu
– dru
I odżyła wizja śląs
ły się strachy i po
i dekompozycję
że Donald Tusk w
linowi. Senat będz
tem? Jaki gest p
obywateli, co god
poczekają na uzn
tygodni czy półto
Sejm znowelizo
na początku 200

Odmiany

Regionalny je
nośląską (pr
szczyzny w war
nej (zawiera wie
Bogata jest w g
tyju – to wiadon
tłumaczenie Bi
to, że *Archanioł*
kierymu nado in
Bajtel, karlus (d
serca), gruba (k
kibel (wiadro)...
pujących w języ

© DOMINIKA ZDAJ/AGENCJA WYBORCZA.PL

Ślónska godka

Ślązacy nie gęsi, swój język mają:
Niy ma gańba godać po ślónsku.

JAN DZIADUL

Niebawem głosowanie w Senacie nad przyjętą przez Sejm ustawą nadającą śląszczyźnie status języka regionalnego – drugiego po kaszubskim. I odżyła wizja śląskiego państwa, zbudziły się strachy i podejrzenia o separatyzm i dekompozycję Polski – aż po zarzuty, że Donald Tusk właśnie spłaca dług Berlinowi. Senat będzie za, ale co z prezydentem? Jaki gest pokaże połowie miliona obywateli, co *godają po ślónsku?* Ślązacy poczekają na uznanie języka *de iure* parę tygodni czy półtora roku? A może dłużej…

Sejm znowelizował ustawę, uchwaloną na początku 2005 r., „o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz języku regionalnym". Śląską godkę – godka w tłumaczeniu to język i mowa – podobnie jak wcześniej dialekt kaszubski (czy też etnolekt – język wyodrębnionej grupy etnicznej) ustawodawca uznał za język regionalny. Za było 236 posłów Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi i Lewicy – i dwóch z PiS. Przeciw: 186 z PiS, Konfederacji i Kukiz'15. Pięciu posłów wstrzymało się od głosu. Powołanie języka śląskiego to jasna decyzja polityczna i długo jeszcze nowy język od tej łatki się nie odklei.

Blisko dwie dekady temu, kiedy „konstytucja" mniejszości narodowych wchodziła w życie – a jej pomysłodawcą już w 1990 r. był Jacek Kuroń – POLITYKA rozmawiała z Eugeniuszem Czykwinem, posłem sprawozdawcą. Mówił, że cudem udało się przeprowadzić ją do końca. „W finale ujawniły się takie pokłady ksenofobii, tak wielkie pretensje wobec wszelkich mniejszości, że wydawało się, iż stanęliśmy pod murem" – mówił Czykwin. „Od lat nie słyszałem w Sejmie tylu negatywnych ocen i bzdur pod adresem narodowych mniejszości". Wtedy się udało, bo w komisji „złamano" kilku posłów PO. Gdyby nie to, być może aż do dziś byłby w mocy przekaz rodem z PRL o „moralno-politycznej jedności narodu polskiego". Wówczas Polska była tylko krajem Polaków.

A przecież Rzeczpospolita od zarania dziejów była państwem wielonarodowym, wielojęzycznym. Dane z 1931 r. mówią, że spośród 32 mln mieszkańców II RP aż 10,5 mln (32 proc.) deklarowało narodowość inną niż polska! W tym 3 mln Żydów i niemal tyleż Ukraińców. Prawie jedną trzecią powierzchni kraju, gdzie Polacy stanowili mniejszość, zamieszkiwali tzw. tutejsi. Tarcia i niesnaski narodowościowe, które były codziennością, do dziś odbijają się historyczną czkawką. Wojna i powojenne migracje zmieniły etniczne proporcje, a PRL wsadziła wszystkich do jednego polskiego worka – narodowościowego i językowego. Na worku stempel postawił Kościół, obwieszczając, że ma pod sobą samych katolików.

Dlatego zaproponowana przez Kuronia ustawa o mniejszościach narodowych i etnicznych – w finale dopisano język regionalny, żeby osłodzić Kaszubom ▶

Odmiany śląszczyzny

Regionalny język śląski ma trzy odmiany podregionalne: opolską, cieszyńską i górnośląską (przemysłową), a w nich kilkadziesiąt gwar. Śląszczyzna różni się od polszczyzny w warstwie fonetycznej (specyficzne dźwięki i melodyka mowy) i leksykalnej (zawiera wiele wyrazów i zwrotów niewystępujących w innych regionach kraju). Bogata jest w germanizmy i bohemizmy. Ślązak powie: *W antryju na byfyju stoi szolka tyju* – to wiadomo, że w przedpokoju na kredensie stoi szklanka herbaty. Natomiast tłumaczenie Biblii na śląski prof. Miodkowi wydaje się ryzykowne. Bo jak to by brzmiało, że *Archanioł Gabryjel przyfrunął do frelki Maryjki i jej pedzioł, co bydzie miała karlusa, kierymu nado imie Jezus*... Słuchać hadko.

Bajtel, karlus (dziecko, chłopak), kusik (całus), haja (kłótnia), hercklekoty (palpitacja serca), gruba (kopalnia), szmaterlok (motyl), śtrasbanka (tramwaj), wihajster (przycisk), kibel (wiadro)... Do tej pory zidentyfikowano ok. 5 tys. śląskich słów i pojęć niewystępujących w języku polskim.

▶ nieuznanie ich za mniejszość etniczną – rodziła się w takich bólach. Podobnie jak ostatnia jej nowelizacja. Obudziły się dawne lęki, pojawiły się nowe. Prezes PiS otwarcie nazwał Ślązaków (w spisie powszechnym z 2002 r. taką deklarację złożyło 173 tys. osób) „ukrytą opcją niemiecką".

Ustawa z 2005 r. o mniejszościach narodowych zidentyfikowała ich w Polsce dziewięć i cztery etniczne. Pojęcia obu są tożsame. To grupa osób, która w sposób istotny odróżnia się językiem, kulturą i tradycją od większości polskiej, a ich przodkowie zamieszkiwali przynajmniej 100 lat na obecnym terytorium Rzeczpospolitej. Za narodową uznajemy mniejszość, która ma odpowiednik w istniejącym niepodległym państwie: białoruską, czeską, litewską, niemiecką, ormiańską, rosyjską, słowacką, ukraińską i żydowską. A etniczna to: karaimska, łemkowska, romska i tatarska. Widać więc, że pod rządami tej ustawy Ślązacy nie mają szans na narodowość, ale na etniczność już tak.

Za mniejszość etniczną uznano Karaimów, choć spis powszechny z 2002 r. ujawnił jedynie 43 osoby tej nacji. Pominięto aspiracje wspomnianych 173 tys. Ślązaków i 5,1 tys. Kaszubów – wówczas tylko tylu pojawiło się w spisie, choć żywioł kaszubski szacowano na co najmniej 400 tys. Za to prawie 53 tys. osób zadeklarowało posługiwanie się językiem kaszubskim w życiu codziennym! Kaszubi nie kryli rozczarowania, bo uważali, że mają za sobą mocne wsparcie polityczne. Od 1989 r. stawiali na stronę solidarnościową, silne poparcie miała u nich UW, potem AWS i PO… Ale silna grupa polskich nacjonalistów – obecna w każdych barwach politycznych – przestraszyła się, że zamarzy im się… własna państwowość. Wieszczyła, że Kaszubi, podobnie jak Ślązacy, zechcą pójść „na swoje".

Kaszuba Artur Jabłoński (Jabłońsczi), dziennikarz Radia Kaszebe i wykładowca na Wydziale Artes Liberales Uniwersytetu Warszawskiego, a wówczas starosta pucki i przewodniczący Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, tłumaczył: – *Dano nam do zrozumienia, że w komisji nie ma przyzwolenia na nowe mniejszościowe byty.*

Dzisiaj, po uznaniu śląszczyzny za język, mówi portalowi Ślązag: – *Zawsze wiedzieliśmy, że kaszubski jest językiem, i chcieliśmy, aby objąć nas ochroną prawną jako mniejszość etniczną, ale skończyło się na języku regionalnym. Niektóre środowiska nadal dążą do uznania Kaszubów za mniejszość etniczną – choćby z tego powodu, że język mniejszości ma większy prestiż niż język regionalny, który kojarzy się z gwarą czy dialektem.*

Widać, że Kaszubi nie do końca przełknęli brak statusu mniejszości etnicznej – i robią swoje. Zawieszani w definicyjnej próżni zgarniają wszystkie profity należne mniejszościom, szczególnie w sferze oświaty i kultury. Z językiem kaszubskim, uznawanym za odrębny język lub dialekt języka polskiego, poszło stosunkowo łatwo. Legitymował się solidną bazą, m.in. bogatą literaturą sięgającą XVI w., nawet własną Biblią. W XIX w. zaczęto kodyfikację etnolektu kaszubskiego, a kamieniem milowym było wydanie w 1879 r. „Zaresu do Grammatikj Kaśebsko-Słovjnskje Móve" Floriana Ceynowy. Kodyfikacja kaszubskiej normy literackiej zakończyła się na początku XXI w.

Teraz blisko 400 placówek szkolnych uczy kaszubskiego 20,5 tys. dzieci – to 7 proc. wszystkich uczniów w woj. pomorskim. Bywa różnie. W małych wioskach na kaszubski chodzą całe szkoły. – *Natomiast w większych, nawet podmiejskich wsiach, wygląda to inaczej. W Bolszewie koło Wejherowa w szkole, do której uczęszcza 800 dzieci, tylko 14 uczy się kaszubskiego* – opowiada Jabłoński.

Ostatnio maturę z tego języka zdawało 16–30 abiturientów rocznie. Od 10 lat etnofilologię kaszubską można zgłębiać na Uniwersytecie Gdańskim. Na całą edukację kaszubskiego budżet przeznacza 200 mln zł rocznie. Pieniądze nie idą na marne: w ostatnim spisie do kaszubskiej „identyfikacji narodowo-etnicznej" przyznało się 177 tys. osób, z tego 88 tys. deklarowało posługiwanie się językiem kaszubskim w domu i poza nim.

Ślązacy dopiero wchodzą na językowy dukt, ale nie idą z pustym bagażem. W spisie sprzed trzech lat blisko 470 tys. osób zadeklarowało używanie w domu i w życiu codziennym śląskiej godki, a raczej godek – bo jest ich na Górnym Śląsku przynajmniej kilkanaście. Próby kodyfikacji języka regionalnego zostały już podjęte, ale teraz powinny wejść na wyższy poziom procedur.

Godka, język regionalny, ma ścisły związek z innymi spisowymi deklaracjami – a idzie tu o narodowość. Wszak z 38 mln naszych mieszkańców narodowość polską jako pierwszą i jedyną potwierdziło 33 mln osób, co stanowi 87 proc. ludności. Tymczasem w spisie z 2011 r. za Polaków z krwi i kości podawało się jeszcze 97 proc. Teraz ok. 391 tys. osób w naszym kraju kategorycznie zapewnia, że nie są Polakami, a 855 tys. podało narodowość polską plus inną. Lub inną plus polską. W rezultacie Główny Urząd Statystyczny obwieścił, że aż 3,8 mln osób posiada „narodowość nieustaloną" i tyle samo posługuje się „językiem nieustalonym". Zamieszało się w naszym narodowym kotle… I na pewno nie wszystkim taki zacier się podoba.

Zamieszało się w dużej mierze za sprawą samych Ślązaków. To oni mają „nieustaleni", bo nie mają praw etnicznych (narodowych), a do końca kwietnia nie mieli też językowych. W ostatnim spisie nieuznawaną narodowość śląską w różnych konfiguracjach (np. Polak-Ślązak, Ślązak-Polak, Ślązak-Niemiec, Ślązak…) zadeklarowało blisko 596 tys. osób. Z tego 237 tys. jako narodowość pierwszą, a 187 tys. jako jedyną! Do narodowości śląskiej i polskiej przyznało się ponad 385 tys. mieszkańców Polski. Mamy więc w naszej przestrzeni politycznej i społecznej olbrzymią, choć *de iure* nieistniejącą, mniejszość etniczną w sile 470 tys. osób, na co dzień posługującą się godką, która właśnie awansowała do rangi języka regionalnego. A 55 tys. z nich uznaje godkę za swój jedyny język!

Co to znaczy język regionalny? Prof. Jolanta Tambor, lingwistka, badaczka języka śląskiego, dyrektorka Szkoły Języka i Kultury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego odpowiada (za PAP), że dokładnie nic. – *Język regionalny nie jest pojęciem językoznawczym, ale prawno-politycznym, upowszechnionym przez Europejską Kartę Języków Regionalnych i Mniejszościowych.* Konwencja ma na celu ochronę (m.in. przed wymarciem) i promocję języków regionalnych. W Polsce obowiązuje od połowy 2009 r., choć powołała się już na nią ustawa o mniejszościach narodowych.

W sensie prawno-politycznym język regionalny to język tradycyjnie używany na terytorium danego państwa przez liczbę obywateli mniejszą od reszty ludności, różniący się od tradycyjnego języka tego kraju. Prof. Tambor mówiła w Sejmie, że język śląski istnieje i ma cechy języka regionalnego, jak kaszubski: „Jedyną faktyczną różnicą między śląszczyzną a kaszubszczyzną jest czas stanowienia i czas zabiegów, aby uznać go za język regionalny".

Strona przeciwna w dyskursie nad uznaniem języka śląskiego przytula się do prof. Jana Miodka, tarnogórskiego Ślązaka, który godkę traktuje jako gwarę – odmianę języka narodowego. „Dialekt śląski jest tak przeraźliwie polski, że nie ma potrzeby go kodyfikować. Literackim wariantem śląszczyzny jest polszczyzna. Koniec, kropka – powiedział POLITYCE w 2009 r., a przy-

Ku narodowości śląskiej

Batalia Ślązaków o „narodowość śląską" zaczęła się pod koniec 1996 r. rejestracją w katowickim sądzie – na wniosek działaczy Ruchu Autonomii Śląska – Związku Ludności Narodowości Śląskiej. Sprzeciwił się temu wojewoda śląski. Ta sprawa przeszła przez wszystkie możliwe instancje sądowe, skargi były uchylane lub oddalane, potem trafiła do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Wyrok zapadł w 2004 r. Trybunał oddalił skargę założycieli ZLNŚ; w werdykcie nie odnosił się do istnienia lub nie śląskiej narodowości. Uznał, że polskie władze miały prawo odmówić rejestracji związku, ponieważ wiązało się to z nabyciem praw zwalniających mniejszości narodowe z obowiązku przekroczenia 5-proc. progu wyborczego.

Pod koniec 2011 r. w Opolu zarejestrowano Stowarzyszenie Osób Narodowości Śląskiej, co z miejsca zaskarżyła prokuratura: decyzja jest sprzeczna z ustawą o mniejszościach narodowych, która nie wymienia narodowości śląskiej. I ta sprawa przeszła przez wszystkie polskie sądy z negatywnymi werdyktami, żeby w 2017 r. trafić do ETPCz. Werdykt zapadł w marcu tego roku. Po myśli Ślązaków. Trybunał uznał, że Polska złamała art. 11 Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności, który gwarantuje wolność zrzeszania się. Ta decyzja nie tworzy narodowości śląskiej, ale pozwala działać stowarzyszeniu pod jej szyldem.

lata później potwierdził ten punkt widzenia w „Dzienniku Zachodnim": „Proszę nie przesadzać z jakąś niewyobrażalną odrębnością śląszczyzny. W gruncie rzeczy nie ma ani jednej cechy gramatycznej tylko śląskiej. Ani jednej. One są wspólne dla wszystkich dialektów (...)". Lecz zaraz dodał: „Powtórzę za królem Zygmuntem Augustem: nie mogę być i nigdy nie będę królem niczyich sumień".

Językową amunicją prof. Miodka strzelali z sejmowej mównicy przeciwnicy uznania śląszczyzny, strasząc konsekwencjami – że to pierwszy krok na drodze do dekompozycji państwa polskiego. Kolejnym będzie zaś uznanie śląskiej mniejszości etnicznej, a dalej – narodowości śląskiej. A następnie... Bo wprawdzie dążenia do autonomii Śląska zamarły, ale teraz mogą odżyć – język śląski był dla Ruchu Autonomii Śląska ważnym orężem.

Także prof. Jerzy Bralczyk jest sceptyczny wobec śląszczyzny i powtarza za swoim mistrzem prof. Walerym Pisarkiem, że to najpiękniejsza, najstarsza polska gwara. Jednak nie wyklucza, że „racje tych, którzy śląski uznają za odrębny język, w końcu zwyciężą" (portal Ślązag).

Różnorodność Polskę ubogaca – mówiła Monika Rosa z KO, uzasadniając nowelizację ustawy o języku regionalnym: „Granice państw się zmieniały, a Ślązacy trwali sześć wieków na swoim kawałku ziemi, pielęgnując w sobie swój język, tożsamość i odrębność. Często siłą wcielani do różnych armii, często walczący brat przeciw bratu. Dziś czasami wytykani są palcami za swoją historię, pogardzani i wyśmiewani (...), ale to jest nasza wspólnota pamięci".

Ta pamięć ma przetrwać i krzepnąć w języku i we wszystkim, co on stworzy. Przez lata w dyskusjach na temat śląszczyzny wytykano jej brak odmiany literackiej i kodyfikacji. Prof. Jolanta Tambor, wiceprzewodnicząca powołanej pod koniec minionego roku Rady Języka Śląskiego (Rada Ślónskiego Jynzyka) wzorem Rady Języka Kaszubskiego, przypomina, że w przypadku kaszubskiego opracowanie wersji literackiej i jego kodyfikacja trwały ponad 150 lat. W przypadku języka śląskiego ten proces powtórzono w ciągu 30 lat.

Możliwość takiego przyspieszenia dały media społecznościowe. Dawniej język śląski był przede wszystkim językiem domu, ale teraz ten intymny akwen wystąpił z brzegów. Teatry grają po śląsku. Przez prof. Zbigniewa Kadłubka na śląski tłumaczone są dzieła starogreckie. Światowa literatura brzmi po śląsku: „Godno Pieśń" („Opowieść wigilijna"), „Mały Princ" („Mały książę"), „Hobbit, abo tam i nazód" („Hobbit, czyli tam i z powrotem")... Tłumaczy się też współczesną literaturę polską, choćby Szczepana Twardocha: „Drach" i „Pokora" czy Zbigniewa Rokity: „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku" – „Kajś. Gyszichta ó Górnym Ślónsku". Wydawane są słowniki polsko-śląskie i śląsko-polskie.

Językoznawca prof. Henryk Jaroszewicz z Uniwersytetu Wrocławskiego ustalił „Zasady pisowni języka śląskiego". Nie ostateczne, ale dające solidną podstawę do dalszych prac. Śląskiego używa się coraz odważniej w sklepach, restauracjach i urzędach. „Kiedyś uznawano – przypomniała ostatnio prof. Tambor – że aby dany lekt (odmiana językowa – JD) uznać za język, to należy przetłumaczyć w nim Biblię. Mamy już Nowy Testament i fragmenty Starego Testamentu w tłumaczeniu dr. Gabriela Tobora, burmistrza Radzionkowa".

Na tej językowej drodze szczególnym przystankiem jest Radzionków, gdzie w marcu 2023 r. padła tzw. deklaracja radzionkowska. Podczas przedwyborczego spotkania z Donaldem Tuskiem burmistrz Tobor podarował gościowi Nowy Testament w swoim własnym tłumaczeniu na śląski, z dedykacją: „Kaszubowi Donaldowi Tuskowi z serdeczną prośbą, aby zadbał o bogactwo polskiej kultury w różnorodności językowej".

Gość zapewnił, że jeśli Koalicja wygra, to język śląski zostanie uznany za regionalny w ciągu pierwszych 100 dni rządów. Prawie się udało.

Co ten pierwszy językowy sukces w praktyce oznacza, jeśli dopełni się legislacyjna ścieżka? To możliwość pozyskania środków na edukację regionalną, na naukę języka w szkołach – w perspektywie uczniowie mogliby zdawać maturę w tym języku – i na finansowanie instytucji kultury, które mają w programie pielęgnowanie śląskich tradycji. To możliwość pisania nazwisk zgodnie z zasadami pisowni języka śląskiego w dowodach osobistych i aktach stanu cywilnego. To możliwość stosowania dwujęzycznych tablic w gminach, w których przynajmniej 20 proc. mieszkańców zadeklarowało używanie języka śląskiego. Ponadto śląski mógłby się stać językiem pomocniczym w urzędach państwowych i samorządowych.

To będzie kosztować: jeszcze w tym roku 5–10 mln zł na nauczanie i działanie organizacji śląskich zajmujących się językiem. W przyszłym roku – 30 mln, w kolejnym 300 mln zł (jeżeli będą chętni uczniowie i odpowiednio przygotowani nauczyciele). Przed śląskim językiem regionalnym droga jeszcze daleka i wyboista... Na jej końcu wcale nie musi stać kwintesencja Szczepana Twardocha, wyrażona w formie kategorycznej: „Odpierdol się, Polsko!".

Tymczasem język śląski jest, ale od prezydenta zależy... czy będzie. A od Ślązaków, czy będzie językiem żywym. Coś się jednak przełamało w spojrzeniu na Śląsk. Kończy się chyba czas nieufności i niekiedy nienawiści do Ślązaków. Kończy się czas „zakamuflowanej opcji niemieckiej" i wypominania dziadków z Wehrmachtu. Dla polskiego Śląska kończy się trudny czas. Także czas wielkich sporów językoznawców i polityków: czy śląszczyzna to gwara, dialekt, etnolekt języka polskiego, czy też odrębny język? Ustawodawca zdecydował: to język regionalny! – trzeci oficjalny język w Polsce.

JAN DZIADUL

Lex Wrzosek

Prokurator Ewa Wrzosek była ikoną walki o praworządność za czasów rządów PiS. Teraz jej samej zarzuca się nadużywanie prawa. W tle toczy się dyskusja, co wolno robić, a czego nie – w ogólnie pojętym interesie demokracji.

EWA SIEDLECKA

Żyjemy w czasach powojennych, gdzie „po lasach grasują bandy", państwo wciąż jest zagrożone i trzeba działać w sposób niestandardowy. Prokurator ma prawo sam oceniać, jakie działanie jest zgodne z interesem społecznym. Ja mam odwagę to robić. Ci, którzy mnie najgłośniej krytykują – nie. Nie złamałam prawa, co najwyżej regulamin – mówi POLITYCE prokuratorka Ewa Wrzosek.

A więc działała w interesie publicznym. Ale czy wyłamując się spod dyscypliny służbowej, wykorzystując urząd do realizowania tego, co subiektywnie uznała za słuszne dla zachowania wyższych wartości, jednocześnie nie godziła w interes publiczny, jakim w tym przypadku jest interes służby, poszanowanie dla procedur? Który interes jest ważniejszy? Kto to ma oceniać?

Ewa Wrzosek, prokuratorka Prokuratury Rejonowej Warszawa-Mokotów z 30-letnim stażem, ma zagorzałych fanów broniących jej w mediach społecznościowych pod hasłem „Murem za Ewą Wrzosek". Murem znaczy: bez wątpliwości. Tylko że to hasło z czasów walki z władzą opresyjną. Od dzisiejszej władzy oczekujemy, że sprawy załatwiać będzie uczciwie, praworządnie.

Za czasów tamtej władzy broniliśmy konstytucyjnych wartości i sami ocenialiśmy granice tej „obrony koniecznej". Czy po 15 października 2023 r. taka obywatelska obrona konieczna, a szczególnie obrona w wykonaniu funkcjonariusza państwa, nadal jest akceptowalna?

Wrzosek jest jednym z symboli ruchu oporu przeciwko upolitycznieniu prokuratury. Karana za to dyscyplinarkami, zeszła w ramach bezprawnych represji – podobnie jak kilkanaście innych prokuratorek i prokuratorów ze Stowarzyszenia Lex Super Omnia – na półroczną „delegację" setki kilometrów od domu. Odważna, nieustępliwa, pewna siebie, wygadana. Jedna z twarzy LSO, przez kilka lat w niezależnych mediach komentowała łamanie praworządności przez władzę PiS i broniła niezawisłości sądów i niezależności prokuratury. Uczestniczyła w demonstracjach i pikietach organizowanych np. przez inicjatywę prawników Wolne Sądy, z którymi jest zaprzyjaźniona. Zawieszona w obowiązkach przez Izbę Dyscyplinarną SN na pół roku za przekazanie w kampanii wyborczej 2020 r. urzędnikowi prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego informacji ze śledztwa o wypadku miejskiego autobusu (sprawa o nadużycie władzy

obecnie prokuratura wycofała wniosek o uchylenie jej immunitetu, co komentowane jest jako chronienie „swoich", podobnie jak wycofanie wniosku o uchylenie immunitetu byłego marszałka Senatu z PO Tomasza Grodzkiego).

Co to jest interes publiczny

Jako pierwsza osoba w Polsce została poinformowana przez firmę Apple, że polskie służby inwigilowały ją za pomocą programu szpiegowskiego Pegasus, którym zainfekowały jej iPhone'a. W kwietniu 2020 r. wzięła świeżo złożone w jej prokuraturze doniesienie na przekroczenie uprawnień przez premiera Morawieckiego w związku z zarządzeniem przygotowań do wyborów „kopertowych". Natychmiast wszczęła śledztwo, które tego samego dnia odebrała jej i umorzyła jej przełożona Monika Laskowska. W tej sprawie prokuratura zamierzała postawić Wrzosek zarzut przekroczenia uprawnień.

W listopadzie 2023 r. znowu wzięła sobie sprawę, która wpłynęła do jej prokuratury. Było to za dwutygodniowego rządu Morawieckiego. Poseł KO Bartłomiej Sienkiewicz złożył wniosek o zablokowanie przez prokuraturę wniosków Rady Mediów Narodowych do sądów rejestrowych (kierowanych z inicjatywy ministra kultury Piotra Glińskiego) o dokonanie zmian w statutach jednostek publicznej radiofonii i telewizji oraz Polskiej Agencji Prasowej. Miało to uniemożliwić zapowiadaną przez zwycięską koalicję reformę państwowych mediów, w tym planowane ich rozwiązanie i powołanie na nowo.

Sienkiewicz kopię wniosku złożył do wiadomości Wrzosek, a ta, nie czekając na przydział sprawy, przyjęła ją do prowadzenia. Chciała obronić publiczne media przed okopaniem się w nich partyjnych komisarzy, a wiedziała, że ziobrowa prokuratura nie podejmie sprawy: – *Przypominam, że chociaż było już po wyborach, to nadal rządził PiS, prokuratorem generalnym był pan Marcin Warchoł, moimi przełożonymi państwo Monika Laskowska, Mariusz Dubowski i Jakub Romelczyk. Działałam w obronie interesu publicznego, w obronie praworządności, do czego każdego prokuratora zobowiązuje art. 3 Prawa o prokuraturze.*

Po kilku godzinach od wpłynięcia wniosku posła Sienkiewicza rozesłała do ponad 40 sądów rejestrowych w całej Polsce wnioski o wstrzymanie zmian we wpisach KRS dotyczących państwowych spółek medialnych. Pisma były fachowo uargumentowane prawnie na kilkudziesięciu stronach. Patryk Słowik, dziennikarz Wirtualnej Polski, opisał sprawę, starannie ją dokumentując. Wnioski: Ewa Wrzosek nie dałaby rady w ciągu kilku godzin sama przygotować skomplikowanej prawnie argumentacji i sformułować jej w formie pisma procesowego (przyznała potem, że korzystała z porad „innych prokuratorów"), a więc można sądzić, że znała, przynajmniej z grubsza, treść wniosku Sienkiewicza, zanim wpłynął do prokuratury.

Pisma do sądów zostały zeskanowane na urządzeniu, którym nie dysponuje prokuratura, za to dysponuje nim kancelaria prawna Clifford Chance. Pisma są sformatowane tak jak pisma tej kancelarii. Dzień wcześniej swoją opinię do sądu rejestrowego w Kielcach przesłały Wolne Sądy. Opinia została przygotowana na takim samym urządzeniu. Wnioski prokuratorki Wrzosek do sądów zostały wysłane nie przez sekretariat prokuratury, ale na poczcie znajdującej się kilkadziesiąt metrów od siedziby Clifford Chance. Czyli: można przypuszczać, że Wrzosek działała w porozumieniu z prywatną kancelarią prawną i z organizacją pozarządową.

Po artykule Patryka Słowika w portalu wp.pl poseł Suwerennej Polski Sebastian Kaleta na konferencji prasowej w Sejmie poinformował o złożeniu zawiadomienia do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa. Sugerował, że mogło dojść do „przekroczenia uprawnień przez funkcjonariusza publicznego w celu uzyskania korzyści majątkowej", ale nie wyjaśnił, czyją korzyść i w jakiej formie ma na myśli. – *Tekst, który jest w wp.pl, jest świadectwem absolutnej patologii i zepsucia działań bodnarowców* – mówił z kolei poseł SP Jacek Ozdoba, zakładając z góry, że sprawa ewentualnego nadużycia władzy przez prokuratorkę Ewę Wrzosek zostanie zamieciona pod dywan.

O co rozdzierać szaty

Można powiedzieć: o co chodzi? O „zabranie sobie" sprawy? To nie zbrodnia, najwyżej złamanie regulaminu. I to dla dobra państwowych mediów, w interesie publicznym. A nieformalna współpraca z prywatną kancelarią – nawet jeśli miała miejsce, czego Wrzosek nie potwierdza – nie jest przestępstwem.

Można też powiedzieć: oto prokuratorka, która naruszając regulamin, współdziała z politykiem partii, która za chwilę przejmie władzę, by zniweczyć plany politycznej konkurencji. I w jakim świetle stawia to wiarygodność promującego zasadę apolityczności prokuratury Stowarzyszenia LSO, do którego należy Ewa Wrzosek? W jakim świetle stawia rządzących obecnie polityków, którzy też przecież krytykowali upolitycznienie prokuratury?

I można powiedzieć jeszcze: fakt, wciąż rządził PiS, ale tych rządów były raptem jeszcze dwa tygodnie. Trzeba było decyzję w sprawie wpisów do KRS zostawić sądom, które przecież nie żyją na Księżycu: sędziowie śledzą doniesienia mediów i dobrze wiedzieli, czemu mają służyć zmiany w statutach medialnych spółek Skarbu Państwa. Sami mogli ocenić, czy są zgodne z konstytucyjną i ustawową rolą mediów publicznych. – *Ja nie miałam takiej pewności, że do wszystkich sędziów te medialne informacje dotarły* – odpowiada Ewa Wrzosek.

Prokuratura wszczęła postępowanie w sprawie nadużycia uprawnień („przywłaszczenie" sobie sprawy) jeszcze za dwutygodniowego rządu Morawieckiego. Jak się teraz potoczy? Za Morawieckiego była polityczna, bo dotyczyła Ewy Wrzosek – wroga publicznego. Za Tuska jest równie polityczna, bo dotyczy Ewy Wrzosek – towarzyszki broni niedawnej walki w obronie niezależnego wymiaru sprawiedliwości. Od tego politycznego kontekstu nie da się uciec, szczególnie że prokuratura, jak była, tak jest podporządkowana rządowi, co – przynajmniej za kadencji prezydenckiej Andrzeja Dudy – się nie zmieni.

„Sprawę traktujemy z absolutną powagą. Jeśli doniesienia, które zostały przekazane przez Wirtualną Polskę, są prawdziwe, to powinny być wyciągnięte odpowiednie konsekwencje. To może być odpowiedzialność dyscyplinarna, być może nawet odpowiedzialność karna, nie chciałbym na tym etapie w żaden sposób tego przesądzać" – mówił w Radiu ZET minister Bodnar. Prokurator Korneluk natomiast – zaznaczając, że nie on prowadzi śledztwo i nie chciałby niczego sugerować – zwrócił uwagę, że aby zaistniało przestępstwo nadużycia władzy, czyn funkcjonariusza musi godzić w interes publiczny lub prywatny. Można było zrozumieć, że on naruszenia tego interesu się nie dopatruje.

W Prokuratorze Rejonowej dla Warszawy-Mokotowa od 27 marca wstrzymano rejestrację nowych spraw na Ewę Wrzosek, ale dwa dni później tę decyzję uchylono. W jej pokoju w prokuraturze, w jej mieszkaniu i w kancelarii Clifford Chance dokonano przeszukań i zabezpieczono drukarki, skanery i komputery. „Czytam, że właśnie aresztowano drukarki na mieście – pod zarzutem nieetycznego drukowania. Aż strach pomyśleć, co będzie z pocztą" – skomentowała Wrzosek na X.

Zdaniem Bartłomieja Sienkiewicza, ministra kultury kandydującego właśnie do Parlamentu Europejskiego, sprawa Ewy Wrzosek powinna zostać zamknięta. W TVP Info (odbitej z rąk PiS dzięki wnioskom Sienkiewicza i Wrzosek) powiedział: „Pani ▶

▶ prokurator Wrzosek w moim przekonaniu nie powinna mieć przeszukań, tylko powinna, i jestem pewny, że to się kiedyś stanie, dostać Order Orła Białego".

Czyli: minister rządu, który ma przywracać praworządność, postuluje wyjąć zasłużonych w walce o praworządność spod prawa… O ile można zrozumieć taką postawę wśród „cywilów" (choćby członków grupy „Murem za Ewą Wrzosek"), o tyle taka publiczna wypowiedź w ustach funkcjonariusza władzy jest dość szokująca. Choć z drugiej strony – czy na pewno lepsza jest hipokryzja w postaci „skręcania" śledztw, uprawiana w prokuraturze Ziobry?

Szczególnie bacznie przyglądają się sprawie prokuratorzy. To, jak państwo i środowisko zareagują w tej sprawie, pokaże kierunek, w którym pójdzie prokuratura. Michał Gabriel-Węglowski, prokurator i naukowiec, napisał na FB: „(…) Czym różniłoby się [hipotetyczne współdziałanie prokuratora z prywatną kancelarią prawną i politykiem partii, która wygrała wybory] od działań z ostatnich lat, gdy Prokuratura pozostawała ślepa na obowiązek choćby tylko wszczęcia postępowania karnego, mimo poważnych podejrzeń o nadużywanie władzy czy innego typu przestępstwo…? (…) Nie jest moją rolą rozstrzygać, czy postępowanie Pani Prokurator Ewy Wrzosek było przestępstwem czy deliktem dyscyplinarnym. Temu służą wszczęte procedury. (…) Jest natomiast moją rolą po raz kolejny podkreślić, jak bardzo potrzebujemy nowej filozofii Prokuratury. Nowoczesnej ustawy o Prokuraturze RP maksymalnie oddzielającej nasze działania od politycznego łańcucha (…)" (cytat za portalem konstytucyjny.pl).

> Ewa Wrzosek ma wolnościowy stosunek do roli prokuratora. Uważa, że każdy prokurator ma prawo samodzielnie oceniać, co i kiedy leży w interesie publicznym.

Macierzyste Stowarzyszenie Lex Super Omnia ma z Ewą Wrzosek spory kłopot. Jest ona twarzą stowarzyszenia, co z jednej strony stanowi atut, a z drugiej – obciążenie. W tej sprawie LSO stoi więc – można powiedzieć – okrakiem. W wydanym „stanowisku" z jednej strony podkreśla konieczność apolityczności i niezależności prokuratury, z drugiej stwierdza, że należy się wstrzymać z osądami, bo sprawę badają odpowiednie organy państwa. Przyznaje, że poprosiło Ewę Wrzosek o wyjaśnienia, ale zasłoniła się tym, że „prowadzone jest postępowanie przygotowawcze, które ma ustalić okoliczności faktyczne tej sprawy".

W rozmowach z POLITYKĄ członkinie i członkowie LSO są rozgoryczeni, że stowarzyszenie bez woli i wiedzy zostało wmieszane w całą sprawę. Że Ewa Wrzosek „gra na siebie", powoduje podziały i godzi w wizerunek stowarzyszenia, którego misją jest odbudowa etosu prokuratury i prokuratorów jako wolnych od polityki, stojących na straży praworządności i praw człowieka. Szczególnie krytykowana jest za aktywność w mediach społecznościowych (trzeba przyznać, że kąśliwością nie ustępuje wpisom Romana Giertycha). „Prokurator może brać udział w debacie publicznej związanej z szeroko rozumianym wymiarem sprawiedliwości. Jego wypowiedzi powinny być jednak pozbawione emocji, cechować się merytoryczną argumentacją" – mówiła w rozmowie z „Rzeczpospolitą" szefowa LSO Katarzyna Kwiatkowska, apelując do Ewy Wrzosek o powściągliwość. Niedługo później Wrzosek napisała na X komentarz do ułaskawienia przez prezydenta Andrzeja Dudę podwładnych Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, skazanych wraz z nimi za prowokację przeciwko Arturowi Lepperowi: „Poplecznictwo – pomoc sprawcy w uniknięciu odpowiedzialności karnej za popełnione przestępstwo. Zagrożone karą pozbawienia wolności do lat 5. W Polsce zwyczajowo nazywane aktem łaski prezydenckiej. Niekaralne".

Do czego ma prawo prokurator

Ewa Wrzosek nie czuje się nielojalna wobec stowarzyszenia. Uważa, że korzysta z wolności słowa. – *Jesteśmy wolni i różnimy się poglądami* – mówi, tłumacząc, że jej intencją było zwrócenie uwagi na patologię związaną z prezydenckimi ułaskawieniami, a swoje zasięgi na X wykorzystuje w interesie publicznym. – *Jeszcze ani prosiłam, ani nie prosiłam o to, żeby po moim wpisie odbiorcy dzielili się na dwa zwalczające się obozy. Ale to ja zbieram cios, wypowiadam się na swój rachunek, a nie na rachunek stowarzyszenia* – podkreśla. Tyle że pod jej nickiem na X widnieje afiliacja „Lex Super Omnia".

Podobnie wolnościowy i indywidualistyczny ma stosunek do roli prokuratora. Uważa, że każdy prokurator ma prawo samodzielnie oceniać, co i kiedy leży w interesie publicznym. Pytana, czy są jakieś granice swobody tej oceny, skoro prokurator jest w przeciwieństwie do sędziego, podległy służbowo, odpowiada: – *Prokurator na co dzień ocenia, czy coś jest w interesie publicznym, czy jest zgodne z prawem. Ta jego decyzja jest oceniana przez sąd. Podległość służbowa w prokuraturze nie jest potrzebna, to jest wzorzec prokuratury sowieckiej. To musimy zmienić. Prokurator nie powinien być podległy. Powinien być niezależny. Ale też ponosić odpowiedzialność za swoje działania.*

LSO ma projekt ustawy, w której prokurator jest niezależny i odpowiedzialny. Ale prokuratura jako całość pozostaje organizacją hierarchicznie podporządkowaną i jednolitą. Tę jednolitość prokuratorka Wrzosek zresztą ceni i uważa za wartą zachowania. To na nią się powołuje, przyznając sobie prawo do przyjęcia do prowadzenia sprawy z wniosku Sienkiewicza, i nią argumentuje, że jej przełożona nieskutecznie wycofała jej wnioski do sądów rejestrowych jako złożone przez osobę nieuprawnioną. Pytana, jak miałaby wyglądać zasada jednolitości w prokuraturze działającej bez hierarchicznej podległości i czy prokuratorzy nie wtrącaliby się sobie wzajemnie w śledztwa, inaczej niż koleżanka/kolega widząc interes publiczny, odpowiada, że to problemy wydumane i teoretyczne, nie zdarzają się w praktyce, bo wszyscy są zarobieni po łokcie. Ale przyznaje, że organizację niezależnej prokuratury należy przemyśleć. Ona sama rolę szefa w prokuraturze widziałaby podobną do tej, jaką odgrywa prezes sądu czy przewodniczący sądowego wydziału. A niezależność prokuratora – jak niezawisłość sędziego.

Model prokuratury to temat na osobną opowieść. Na razie jest, jaka jest, czyli hierarchicznie podporządkowana. Obecne szefostwo: prokuratorzy generalny – Adam Bodnar i krajowy – Dariusz Korneluk deklarują niewtrącanie się prokuratorom w śledztwa i niesugerowanie – szczególnie, wzorem Zbigniewa Ziobry, przez media – jak powinni prowadzić konkretne postępowanie. To duża zmiana, ale jednak nie realizuje wizji Ewy Wrzosek prokuratora-swobodnego jeźdźca, który przybywa, by czynić sprawiedliwość zgodnie z własnym sumieniem. Większość prokuratorów też raczej nie widzi siebie jako swobodnych jeźdźców: przyszli do służby w instytucji z hierarchią służbową i za patologię uważają nie tę hierarchię, ale upolitycznienie i niemerytoryczne kryteria awansu.

Spór o działania Ewy Wrzosek ujawnił więc wiele dylematów i wątpliwości, czasami trudnych do rozstrzygnięcia. Tyle że instytucje państwa jakoś zareagować powinny.

EWA SIEDLECKA

NOWE WYDANIE JUŻ W SPRZEDAŻY

CZERWCOWE ZWIERCIADŁO DOSTĘPNE TAKŻE Z KOSMETYKAMI DO PIELĘGNACJI TWARZY **MOKOSH** DO WYBORU

ZWIERCIADLO.PL

WYDAWNICTWO ZWIERCIADŁO POLECA

PREMIERA 15.05.2024

Wstyd, nadzieja, pożądanie, lęk, ulga, frustracja, miłość, rozczarowanie.

Wszystkie odcienie seksu bez podziału na tożsamość płciową, seksualną, wiek czy status relacji.

SPRAWDŹ

ODWIEDŹ NAS

MagazynZwierciadlo · zwierciadlo_miesiecznik · sklep.zwierciadlo.pl

wydawnictwo.zwierciadlo · wydawnictwo_zwierciadlo

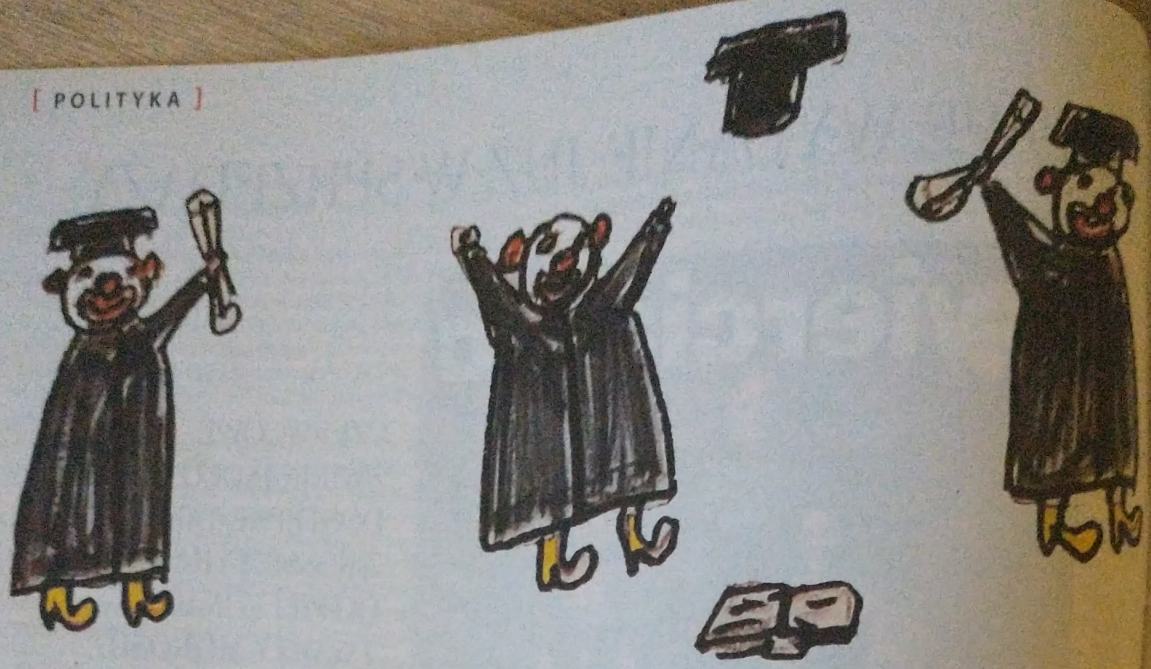

Dyplomowany układ

Nie tylko w Collegium Humanum można było zdobyć MBA tanio, łatwo i ekspresowo. Afera trwa.

ANNA DĄBROWSKA

Waldemar Kraska, lekarz, wiceminister zdrowia w rządzie PiS i senator tej partii od prawie dwudziestu lat, przyznaje, że uzyskał dyplom MBA na Collegium Humanum. Mówi, że zapłacił za studia z prywatnego konta i przez pół roku uczył się zdalnie, otrzymując drogą elektroniczną materiały. Pytany, dlaczego wybrał tę uczelnię, tłumaczył w RMF FM, że była to kontynuacja przerwanego przez pandemię kursu prowadzonego gdzie indziej. Ale to nie do końca prawda. Jak było? Kraska zaczynał kurs na MBA w lutym 2020 r. organizowany wspólnie przez Szkołę Główną Handlową i Warszawski Uniwersytet Medyczny (SGH-WUM), co widać na archiwalnych zdjęciach z inauguracji programu. Uczelnie zwyciężyły w konkursie organizowanym przez Ministerstwo Zdrowia, w którym wiceministrem był wówczas właśnie Kraska. Chodziło o przeprowadzenie zamkniętych studiów MBA w zakresie ochrony zdrowia dla kadry zarządzającej podmiotami leczniczymi, które podlegają resortowi, oraz kadry zarządzającej w administracji publicznej.

Ministerstwo zapłaciło za szkolenie 40 osób 1 mln 320 tys. zł. To dwa lata nauki na najwyższym poziomie, profesjonalna kadra, wymagane zaangażowanie i obowiązkowa obecność. Artur Białoszewski, kierownik tych studiów ze strony WUM, mówi, że od jakości kształcenia tej kadry zależy zdrowie i życie ludzi, więc nie może być mowy o taryfie ulgowej. – *Ich błędne decyzje menedżerskie mogą spowodować, że ludzie stracą dostęp do świadczeń zdrowotnych lub badań diagnostycznych, albo że nieprawidłowo zostanie zamknięty oddział szpitalny* – przekonuje Białoszewski.

Papier papierowi nierówny

Wiceminister Kraska nie był wystarczająco zdeterminowany, aby uczestniczyć w zajęciach, więc został usunięty z grona słuchaczy studiów WUM-SGH. I pojawił się problem, bo zasady były proste: jak ktoś nie skończy MBA, to musi oddać ponad 40 tys. zł resortowi, który wszystko opłacił. Kraska odszedł, ale pieniędzy nie zwrócił, bo wysłał na studia, na swoje miejsce, innego urzędnika. On sam poszedł do Collegium Humanum i za niespełna 10 tys. zł w pół roku zrobił dyplom MBA. Tanio, łatwo i szybko. Kiedy on już miał MBA z CH w kieszeni, to koledzy z poprzedniego kursu, na którym on nie dał rady, byli po pierwszym roku nauki i mieli jeszcze rok przed sobą.

W ostatnim czasie te, nazwijmy je, medyczne MBA, stały się bardzo popularne. Podobno lewy biznes Collegium Humanum najbardziej urósł właśnie na wydawaniu tych dyplomów. Wielu zarządzających szpitalami czy przychodniami zdecydowało się na MBA w związku z zapowiedziami resortu, że do pełnienia funkcji menedżera ochrony zdrowia będzie wymagany egzamin państwowy, z którego zwalnia dyplom tych studiów. Zapowiedział to pod koniec 2021 r. były minister zdrowia Adam Niedzielski. Dziś byli urzędnicy resortu bronią się, że ustawa nie weszła w życie i na nic się te dyplomy nie przydają.

Czy nie miało to wpływu na sytuację w systemie ochrony zdrowia? – *Ten ustawę nie uszedł w życie. Jednakże w konkursach na stanowiska kierownicze tytuł MBA jest kryterium formalnym bądź premiującym. Spotkałem się z kilkoma przypadkami, gdzie osoby z dyplomem z Collegium Humanum były traktowane na równi z tymi, które ukończyły prestiżowe programy akredytowane przez zagraniczne instytucje* – zwraca uwagę Białoszewski. Chodzi o dyrektorów szpitali, przychodni, o ordynatorów, szefów klinik. Gdyby

ILUSTRACJA **PATRYK SROCZYŃSKI**

okazało się, że weszli w nieprawidłowy sposób w posiadanie tych dyplomów MBA, to te wszystkie konkursy powinny być powtórzone.

O podejrzanym pędzie na dyplomy MBA i uczelnianym biznesie Pawła Cz. pierwszy raz POLITYKA pisała w lutym 2020 r. Ujawniliśmy, że ludzie związani z Jackiem Sasinem poczuli nagłą chęć kształcenia, a to dlatego, że PiS zmienił przepisy o zarządzaniu mieniem państwowym. Dwa lata później „Newsweek" i POLITYKA opublikowały długą listę beneficjentów tego patologicznego układu. Do 2017 r., aby wejść do rady nadzorczej spółki Skarbu Państwa czy spółki komunalnej, trzeba było spełnić jeden z warunków: zdać trudny państwowy egzamin, być radcą prawnym, adwokatem, biegłym rewidentem lub mieć doktorat z prawa albo ekonomii. Dla wielu działaczy PiS poprzeczka była ustawiona zbyt wysoko. Dopisano więc do ustawy możliwość zostania członkiem rad nadzorczych dla tych, którzy mają dyplom MBA. Jednocześnie PiS nie zadbał już o to, aby uregulować rynek tych studiów, a jak zwracaliśmy uwagę już cztery lata temu – dyplom dyplomowi nierówny.

Nie bądź frajerem

Po zmianie władzy służby zajęły się tą sprawą. Od kilkunastu tygodni śląski wydział Prokuratury Krajowej prowadzi wielowątkowe śledztwo, a o skali handlu dyplomami mówi jeden z najnowszych zarzutów, jakie usłyszał zatrzymany ponad miesiąc temu rektor CH Paweł Cz. Chodzi o przyjęcie korzyści majątkowych w łącznej kwocie ponad miliona złotych w zamian za wystawienie dla ponad tysiąca osób poświadczających nieprawdę dokumentów dotyczących przebiegu studiów. 27 marca Centrum Informacyjne Rządu ogłosiło, że Rada do spraw spółek z udziałem Skarbu Państwa nie będzie uznawać dyplomów MBA uzyskanych w Collegium Humanum. Ogłoszono to dzień po tym, jak ujawniliśmy w POLITYCE, że w 2021 r. aż 661 osób weszło do rad nadzorczych spółek z udziałem Skarbu Państwa dzięki dyplomom MBA. 182 z nich miało dyplom CH, a 106 z Wyższej Szkoły Menedżerskiej w Warszawie.

Dane te są jeszcze bardziej porażające w zestawieniu z informacjami o zdawalności trudnego państwowego egzaminu uprawniającego do wejścia do rad nadzorczych. Ze statystyk Ministerstwa Aktywów Państwowych wynika, że w 2014 r. na 681 kandydatów egzamin zdały 302 osoby, w 2015 r. na 886 przystępujących zdało 285 osób, w 2016 r. już za pierwszego roku rządów PiS na 966 kandydatów 375 osób miało pozytywny wynik. W 2017 r., od kiedy PiS otworzył możliwość zastąpienia egzaminu dyplomem MBA, nastąpił drastyczny spadek liczby chętnych przystępujących do niego. W 2017 r. podeszło do egzaminu jeszcze 465 osób (zdało 146); od 2020 r. spadek jest drastyczny – tylko 151 kandydatów (zdało 40), w 2021 r. – 164 (zdały 44 osoby), a w 2022 r. – 119 chętnych (zdało go 23 z nich). Rekord padł w 2023 r., kiedy do egzaminu państwowego przystąpiło zaledwie 90 osób, z czego egzamin zdało 14. – *Mówiło się, że podchodzący do niego są frajerami, bo musieli zakuwać, a inni wchodzili do spółek z ekspresowym MBA z Collegium Humanum i nie tylko z tej uczelni* – mówi nasz informator związany z poprzednią władzą.

Pisowskie szkoły

O jakie jeszcze uczelnie może chodzić? W 2021 r. najwięcej dyplomów MBA kandydatom do rad nadzorczych w państwowych spółkach wydało CH (182), ale na liście, do której dotarliśmy, znajdują się 63 uczelnie. Są na niej te, w których MBA są gwarancją rzetelnej wiedzy i o dyplom nie jest tu łatwo: Akademia Leona Koźmińskiego – 21 dyplomów; UW – 17; SGH – 10. Za to aż 106 dyplomów wydała Wyższa Szkoła Menedżerska (WSM) w Warszawie. Zanim Paweł Cz. założył w 2018 r. CH, był rektorem właśnie tej szkoły. Współpraca z jej właścicielem przestała się układać, kiedy ten zorientował się, że rzutki rektor zaczyna myśleć o założeniu własnej szkoły. – *Paweł Cz. chciał mocno w WSM rozkręcić MBA, powoływał się na wpływy u ludzi związanych z PiS i nagle przestały się zgadzać rachunki. Wyprowadzał pieniądze na rozkręcenie nowego biznesu i założył CH* – opowiada osoba znająca go z poprzedniej uczelni. Według naszych informacji także w WSM dyplom MBA zdobywało się łatwo i tanio: najwyżej 200 godz., dwa semestry, 10 tys. zł. Papiery otrzymał tu Adam Sekściński – w 2019 r. powołano go na dyrektora spółki Orlen Paliwa, a w maju 2020 – na prezesa Lotos Oil. Jesienią 2022 r. przeszedł do zarządu Enea Trading, a potem też Enea Power. Do końca 2022 r. spółki wypłaciły mu łącznie 1 898 220 zł. MBA na tej uczelni, jeszcze przed powstaniem CH, zrobili ludzie powiązani z Jackiem Sasinem, m.in. Sylwia Matusiak (była w zarządzie CPK i w zarządzie PZU Życie), Marzena Małek (prezeska spółki córki Enei, w radach nadzorczych Lotos Lab, Pekao Leasing), Ryszard Madziar (Tauron) czy Kamil Kowaleczko (PZU Życie).

W wykazie uczelni, z których dyplomami MBA legitymowali się kandydaci do rad nadzorczych, jest też Wyższa Szkoła Handlu i Usług w Poznaniu (WSHiU), uczelnia powiązana z obozem PiS. Jej absolwentami są m.in. Hubert Grzegorczyk, od 1 sierpnia 2022 r. do dziś prezes Elewarr, państwowej spółki zajmującej się magazynowaniem zbóż, czy Iwona Waksmundzka-Olejniczak. To jedna z bliskich współpracowniczek Daniela Obajtka, była prezeska PGNiG, później w zarządzie atomowej spółki Orlenu. MBA z pieczątką WSHiU ma też były poseł PiS Andrzej Jaworski, który w maju zrezygnował z funkcji prezesa PZU Zdrowie. Skończyli ją też były wiceminister aktywów państwowych Maciej Małecki z PiS, posłowie tej partii Tomasz Latos oraz Ewa Malik, oraz wciąż jeszcze zasiadający w zarządzie Enei Operator Michał Cebula czy wiceprezes PTE PZU Marcin Majerowski oraz były prezes Energi Jacek Goliński.

Być może WSHiU cieszyła się popularnością wśród polityków PiS ze względu na związki kanclerza uczelni, którą prowadzi w Poznaniu razem z żoną, z obozem władzy. Chodzi o Tomasza G., który przez trzy kadencje do 2015 r. był posłem z Poznania: najpierw PiS, a potem Solidarnej Polski. Politykom nie przeszkadzały kontrowersje związane z jego działalnością. Ma na koncie nieprawomocny wyrok za oszustwa oraz kolejny proces w toku. Postawiono mu zarzuty m.in. przekroczenia uprawnień posła i wyłudzenia z Kancelarii Sejmu 400 tys. zł w czasie, gdy był posłem. Prokuratura twierdzi, że polityk przedstawiał fikcyjne umowy m.in. na pisanie interpelacji poselskich, a umowy służyły do rozliczania ryczałtu, który ▶

▶ wypłacała Kancelaria Sejmu. Miał proponować znajomym załatwienie bezpłatnych studiów MBA w zamian za pomoc w rozliczeniu się z Sejmem. Prokuratura twierdzi, że Tomasz G. okradał także uczelnię, którą prowadził. Miał przywłaszczyć blisko 5 mln zł.

Kto kogo oszukał?

Wracając do listy uczelni: uwagę zwraca też Akademia Jagiellońska w Toruniu – 16 absolwentów (tylko w 2021 r.). W 2019 r. „Rzeczpospolita" pisała, że MEN jeszcze pod kierownictwem Anny Zalewskiej zlecał uczelni przeprowadzenie studiów podyplomowych dla nauczycieli w ramach rządowego programu „Bezpieczna+". Resort wydał na ten cel ponad 1,7 mln zł. Nie wiadomo jednak, dlaczego wybrał właśnie tę uczelnię. Pod koniec 2016 r. poseł PO Arkadiusz Myrcha zainteresował się innym zleceniem dla tej uczelni. Weszła ona w skład konsorcjum POL-PUS, które miało wytworzyć układ scalony do nowych elektronicznych dowodów osobistych. Konsorcjum utworzono pod przewodnictwem Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, a prof. Grzegorz Górski był wówczas szefem rady nadzorczej PWPW i zasiadał w radzie powierniczej Akademii Jagiellońskiej.

To niepubliczna uczelnia, którą zarządza rodzina prof. Górskiego, toruńskiego adwokata, byłego radnego PiS i w latach 2011–2014 członka Trybunału Stanu. Górski jest w niej obecnie szefem rady powierniczej, jego żona – kanclerzem, a córka – rektorem. Za dwa semestry MBA w Akademii Jagiellońskiej trzeba zapłacić 18 tys. zł, a uczelnia reklamuje: „Ukończenie studiów MBA uprawnia absolwentów do zajmowania stanowisk w radach nadzorczych spółek Skarbu Państwa oraz spółek i instytucji komunalnych". Wśród absolwentów znajdujemy m.in. Tomasza Gontarza, od kilku tygodni radnego PiS w Lublinie i do kwietnia wiceprezesa PKP Intercity; Szymona Dankowskiego, był w zarządzie Wojskowych Zakładów Lotniczych, a także członka kolejno: PiS, Solidarnej Polski oraz Polski Razem.

Były minister zdrowia Waldemar Kraska wyznał niedawno dziennikarzom: „Czuję się, powiem szczerze, oszukany. Chciałem dostać nowe informacje, nową wiedzę, a de facto byłem w jakiejś grupie przestępczej". Ale prawda jest taka, że ludzie PiS doskonale zdawali sobie sprawę, ile są warte dyplomy z CH, jednak nic z tym nie zrobili, bo chodziło o to, aby zaspokoić apetyty finansowe działaczy i dać im stołki w spółkach. Krzysztof Sobolewski, ówczesny sekretarz generalny partii, w 2021 r. tak tłumaczył osiągnięcia żony, która zasiadała w kilku spółkach i zarabiała krocie: „Ma kompetencje do zasiadania w radach nadzorczych: zdała egzamin państwowy. Nie MBA, tylko państwowy egzamin". – *To był jasny przekaz do zdrosnych działaczy partyjnych, że Sobolewska zdała trudny egzamin państwowy, a nie, tak jak wielu z nich, tanie i bezwartościowe MBA w Collegium Humanum* – mówi nasz informator.

Podobną strategię co Kraska na wyjście z kłopotliwej sytuacji posiadania dyplomu CH ma Aleksandra Gajewska, wiceministra rodziny, pracy i polityki społecznej. Tłumaczyła kilka dni temu PAP: „Normalnie skończyłam studia, zdałam egzamin i jeśli okaże się, że uczelnia nie miała uprawnień i wprowadziła studentów w błąd, możemy dochodzić swoich praw w tym zakresie". To samo Jacek Sutryk, kandydat na prezydenta Wrocławia, któremu afera prawdopodobnie zaszkodziła w łatwej reelekcji. On dyplom MBA zdobył w czerwcu 2020 r., a już 10 czerwca zasiadał w radzie nadzorczej spółki w Tychach, dwa lata później dostał posadę w Gliwicach. „Zdaje się, że struktury tamtego państwa pewnych rzeczy nie przypilnowały. Możemy poczuć się tą sytuacją w jakiś sposób oszukani" – mówił Sutryk w Radiu Wrocław. Dodawał: „Zdałem normalnie testy, które trzeba było zdać na podstawie regulaminu. I ten dyplom dostałem". Strategia robienia z siebie ofiary w tej sytuacji jest zrozumiała. Jednak warto zobaczyć, jak wyglądały te egzaminy.

Nieuznawanie to za mało

W 2022 r. POLITYKA zdobyła i opublikowała test złożony z 30 pytań, który uprawniał do zdobycia MBA na Collegium Humanum. „Efekt świeżości w wystąpieniach publicznych polega na: a) zapamiętujemy to, co było na końcu wystąpienia; b) zapamiętujemy mówcę, który ma świeży oddech; c) zapamiętujemy to, co jest na początku wystąpienia" – brzmiało pierwsze z nich. Kolejne były na podobnym poziomie (cały test na polityka.pl). Prof. SGH Rafał Mrówka z Katedry Teorii Zarządzania ocenia, że pytania te dotyczą wiedzy na poziomie elementarnym i niemającym większego związku z tą, jaką powinno się zdobyć w programach MBA. – *Są w tym zakresie międzynarodowe standardy, te pytania do nich nie nawiązują. Test nie jest w stanie zweryfikować umiejętności rozwiązywania złożonych problemów menedżerskich, zastosowania zaawansowanej wiedzy ekonomicznej, finansowej, prawnej* – komentuje.

Eliminacja odpowiedzi w oczywisty sposób błędnych powoduje, że nawet gdyby zdający nie miał żadnej faktycznej wiedzy, z dużą dozą prawdopodobieństwa wybrałby odpowiedź poprawną. Nasi rozmówcy z innych uczelni dodają, że każdemu powinna zapalić się czerwona lampka: MBA w kilka miesięcy, zajęcia online, bez weryfikacji obecności i banalny test na koniec. W proceder w większości umoczone są osoby związane z PiS, na mniejszą skalę także z KO, również środowisko medyczne i wiele innych. Musieli mieć świadomość, w czym biorą udział. A jeśli jednak nie mieli, to zasadne jest pytanie, czy mają kwalifikacje do pełnienia jakichkolwiek odpowiedzialnych funkcji.

Dariusz Wieczorek, szef MNiSW, zdecydował o wstrzymaniu 18 mln zł na stypendia dla CH. Politycy władzy zgodnie deklarują, że afera z MBA jest bezprecedensowa, bo chodzi o wpuszczenie do spółek ludzi, którzy nie mają kompetencji. Tylko że decyzja o nieuznawaniu dyplomów z CH to za mało, bo uczelni, które je wydawały, jest więcej. Sprawą trzeba zająć się pilnie i systemowo, o co w oficjalnych listach do MAP i resortu nauki prosi 14 osób odpowiedzialnych za kierowanie najlepszymi, według niezależnych rankingów, polskimi programami Executive MBA. Proponują, aby do ustawy o zarządzaniu mieniem państwowym dopisać, że tylko MBA prowadzone przez akredytowane uczelnie uprawniają do zasiadania w państwowych spółkach. A jeśli rządzący nie zdecydują się na to rozwiązanie, to w ogóle wykreślić z ustawy MBA jako dyplom uprawniający do prac w radach nadzorczych.

Pierwszy raz eksperci pisali do poprzedniej władzy już w 2020 r., potem w 2022 r. (już po naszych publikacjach), ale wiceminister nauki Wojciech Murdzek odpisał, że to „spowodowałoby obniżenie wymogu kwalifikacyjnego uprawniającego do zasiadania w radach nadzorczych". Minister Wieczorek, odpowiadając pod koniec marca na list, zapewnił, że „analizuje kwestię możliwych zmian ustawowych" oraz że wypracowane rozwiązania prawne zostaną poddane konsultacjom ze środowiskiem akademickim. Warto najpierw wysłuchać ekspertów, którzy MBA zajmują się od lat. – *Trzeba działać jak najszybciej, dlatego oczekiwaliśmy od ministerstwa, aby ta konsultacja nastąpiła na etapie tworzenia rozwiązań prawnych* – mówi prof. Mrówka. Dodaje, że podobne pisma z prośbą o rozmowę i wypracowanie rozwiązań, które zakończą tę patologię, wysłali też do kilkunastu posłów. Nie otrzymali odpowiedzi.

ANNA DĄBROWSKA

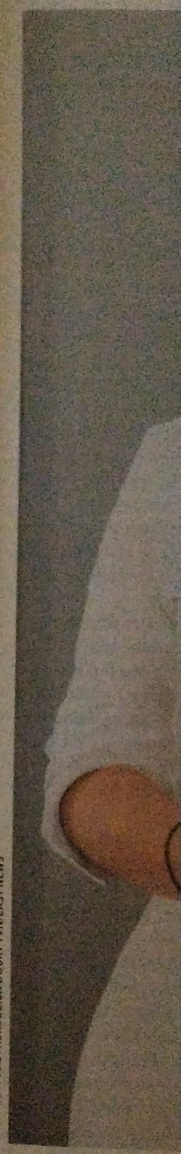

© PAWEŁ WODZYŃSKI/DZIEŃ DOBRY TVN/EAST NEWS

Roz

Barbarą No

rekonstruk

© PAWEŁ WODZYŃSKI/DZIEŃ DOBRY TVN/LAST NEWS

Odrabiamy zaległe lekcje

Rozmowa z ministrą edukacji narodowej Barbarą Nowacką (Koalicja Obywatelska) o wyborach, rekonstrukcji rządu, wielkiej reformie edukacji i o tym, czego ma uczyć nowa szkoła.

JOANNA CIEŚLA, ŁUKASZ LIPIŃSKI: **– Rozmawiamy po wyborach samorządowych, a przed europejskimi. Jest pani zadowolona z wyniku KO? Oczekiwania były wyższe.**

BARBARA NOWACKA: – Jestem zadowolona. Oczywiście w pewnym momencie oczekiwania były inne, ale patrząc na realia, to dobry wynik. Od 2018 r. przejęliśmy kilka sejmików, mimo że tegoroczne wybory wzbudziły wyjątkowo mało emocji. Nasi wyborcy wiedzą, że wygraliśmy 15 października, i teraz są już spokojniejsi. W drugiej turze wyborów została postawiona kropka nad „i". Kandydaci KO dołączyli do grona zwycięzców z pierwszej tury i też wygrali te wybory, m.in. w Krakowie i Poznaniu.

Mam jeszcze jeden powód do satysfakcji. W ubiegłym roku stawialiśmy bardzo duży nacisk na aktywizację kobiet, prowadziłyśmy z Agnieszką Pomaską kampanię „Kobiety na wybory". I te dziewczyny teraz wypracowały mandaty w sejmikach, radach miast, gmin. Wyborcy głosowali na kobiety, bo kandydatki były gotowe, kompetentne, co dało świetny rezultat. Teraz będą prowadziły politykę na rzecz innych kobiet.

Wasi wyborcy w dużej części zostali jednak w domu. Dlaczego? Mogło wam zaszkodzić rozliczenie „100 konkretów na 100 dni"? Obiecywanie zmian w 100 dni to był błąd?

W wyborach samorządowych trudniej jest zagłosować w innym miejscu, niż jest się zameldowanym. Dlatego wielu, szczególnie młodych, ludzi nie poszło do urn.

Co do „100 konkretów" przypomnę, że fundamentalna rzecz, czyli pieniądze z KPO, zostały „dowiezione" znacznie szybciej niż w 100 dni. To gigantyczna zmiana finansowa dla Polski. Ministerstwo Edukacji Narodowej ze „100 konkretów" może rozliczać się z podniesioną głową. W moim resorcie większość konkretów zrealizowaliśmy, nad częścią od miesięcy pracujemy. W obszarze edukacji nie wszystko da się wprowadzić w połowie roku szkolnego, ale niektóre działania można inicjować, i to robimy. Zapowiedź podwyżek dla nauczycieli zrealizowaliśmy błyskawicznie, odpartyjniliśmy kuratoria oświaty, w szkole podstawowej wprowadziliśmy nieobowiązkowe i nieoceniane prace domowe. Wyłączyliśmy ze średniej rocznej stopnie z religii i etyki – dwóch przedmiotów nieobowiązkowych, kończymy prace nad uszczupleniem podstawy programowej. Toczą się prace dotyczące lekkiego tornistra czy jednozmianowości.

„100 dni" to hasło bardzo mobilizujące nas jako rządzących. Gdyby nie zostało ▶

▶ wypowiedziane, to znając powolność machiny administracyjnej, zmiany nie następowałyby tak szybko. Ta presja czasu była konieczna, bo ludzie pragnęli zmian i zdecydowanie za tymi zamianami zagłosowali. To najważniejsze, czyli odsunięcie PiS od władzy, było oczywiste, fundamentalne zmiany, jak uzdrowienie instytucji publicznych i dostarczenie pieniędzy europejskich, właśnie mają miejsce, a to przecież dopiero początek kadencji.

Czy będzie głęboka rekonstrukcja rządu? Zostanie pani w gabinecie?

Rekonstrukcja rządu będzie, jest już zapowiedź premiera Donalda Tuska, ma to związek z eurowyborami. Ja nie chcę kandydować do Parlamentu Europejskiego, zamierzam kontynuować pracę na rzecz uzdrowienia i unowocześnienia polskiej szkoły i polskiej edukacji.

Odchodzą ministrowie, których premier ocenił źle?

Wiedzieliśmy od dawna, że taka rekonstrukcja nastąpi. Wybory do Parlamentu Europejskiego to ogromne wyzwanie, bo stawka jest ogromna – silna pozycja Polski w Europie w bardzo trudnych i niebezpiecznych czasach. Dlatego wśród kandydatów KO muszą być czołowi i bardzo doświadczeni politycy, którzy dadzą sobie radę w każdej sytuacji. Premier Tusk zapowiedział rekonstrukcję na 10 maja – tego dnia wszystko będzie jasne.

Ma pani, jak inni ministrowie, bardzo wielu koalicyjnych zastępców. Dogadujecie się? Nie wszędzie się to udaje.

U nas jest w porządku. Mamy wspólne cele i razem je osiągamy. Rozmawiamy ze sobą, szanujemy się, potrafimy się razem śmiać. Mamy czasami różnice poglądów, ale w niewielu sprawach.

W jakich?

Spotkaliśmy się, jeszcze zanim zostaliśmy powołani, omówiliśmy sobie też te kluczowe sprawy, które mogą nas dzielić, i teraz możemy spierać się *stricte* merytorycznie. Jestem zadowolona z pracy wiceministrów, a edukacja jest takim resortem, który wymaga zderzania się różnych poglądów. Z drugiej strony łączy nas jednak pewna wspólnota myślenia o szkole.

Poza tym po PiS-ie przez pierwsze trzy miesiące każdy miał tyle pracy, że nie było czasu na jakiekolwiek spory. Mamy ogrom pracy, ogrom wyzwań – w planach jest duża reforma edukacji w 2026 r. Po deformie Zalewskiej, czyli likwidacji gimnazjów, po latach zaniechań i wypaczeń Czarnka jest po prostu multum spraw do naprawienia i nadgonienia.

Pierwsze reakcje na projekt uszczuplonej podstawy programowej są krytyczne. Na polskim lektur jest więcej niż w projekcie z lutowych prekonsultacji. Wpłynęło tak dużo opinii, że proponowane cięcia były zbyt głębokie?

Lista lektur obowiązkowych nie może być dłuższa i nie jest. Uwzględniono znaczną część uwag z prekonsultacji – także dotyczących lektur. Natomiast lista lektur uzupełniających rzeczywiście jest urozmaicona, ale tylko po to, żeby był jak największy wybór. Trwają 21-dniowe konsultacje i nie wykluczam, że będą dokonywane kolejne zmiany i lista lektur zostanie jeszcze uszczuplona, pozostałe zapisy też mogą ulec zmianie.

Nauczyciele praktycy, w szczególności poloniści, podkreślają, że apelowali o jeszcze odważniejsze ograniczenia w liście lektur. Dziś narzekają, że ich głos został zignorowany, i piszą petycję z apelem m.in. o usunięcie listy lektur uzupełniających.

Po wcześniejszych prekonsultacjach teraz trwają konsultacje, jest jeszcze czas na zgłaszanie uwag. My naprawdę uspołeczniliśmy proces zmian podstaw programowych w tak dużym stopniu, jak tylko się dało. Nikt wcześniej tak nie działał. W czasie prekonsultacji uwag w sprawie listy lektur było bardzo dużo, pamiętajmy, że znaczna część wzajemnie się wykluczała. Dziwi mnie jednak fakt, że ktoś, kto najpierw postuluje niewykreślanie danej lektury z listy, potem ma pretensje, że ta lektura na liście jest. Naprawdę zrobimy wszystko, by trwające konsultacje przyniosły jak najlepsze efekty edukacyjne, były jak najkorzystniejsze dla uczniów i uczennic.

Długofalowe reformowanie szkoły można też zacząć np. od organizacji roku szkolnego czy późniejszego rozpoczynania lekcji.

To jest raczej kosmetyka. Najważniejsze jest odpowiedzenie na pytanie, kogo szkoła ma kształcić. Zleciliśmy Instytutowi Badań Edukacyjnych przygotowanie analizy sylwetki absolwenta, który zakończy pełen cykl edukacyjny w 2038 r. Odpowiednio do tego będziemy dobierać narzędzia: docelową podstawę programową, siatkę godzin, zmianę w szkoleniu nauczycieli.

Kiedy ruszą prace nad tymi tematami?

Pełną parą prace rozpoczną się jesienią. Nad propozycjami dotyczącymi kształcenia nauczycieli równolegle pracują związki zawodowe, analizy i narzędzia od lat wypracowywały też organizacje pozarządowe i samorządy, z których dorobku zamierzamy skorzystać. Zmiany muszą obejmować nie tylko szkoły podstawowe i ponadpodstawowe, lecz także szkoły specjalne, przedszkola. Planów nie można odrywać od szerszych wyzwań związanych z niżem demograficznym, od polityki społecznej, potrzeb rynku pracy i przedsiębiorców.

Podobno reforma edukacji może być albo szybka, albo udana. Można to wszystko dobrze przepracować w dwa lata?

Reforma w 2026 r. nie zmieni wszystkiego, będzie krocząca.

Kto opracuje te zmiany? Co z powołaniem Komisji Edukacji Narodowej zapowiedzianej w „100 konkretach"?

W koalicji były różne sposoby rozumienia koncepcji Komisji Edukacji Narodowej. Ja nie wyobrażam sobie pracy bez ciała doradczego złożonego z ekspertów, praktyków, przedstawicieli związków zawodowych i samorządów. Jesienią przedstawimy propozycje sposobu powoływania tego gremium. Wśród propozycji był też nowy podmiot, ale ja nie jestem entuzjastką tego rozwiązania, bardziej zależy mi na dynamice prac.

A jak pogodzić dynamikę za szczegółową konsultacją rozwiązań? W przypadku prac domowych działali państwo bardzo szybko, co rodziło zarzuty o brak wystarczającej debaty.

Wchodząc do resortu, zapowiadałam przeprowadzenie kilku szybkich ruchów. Podwyżki dla nauczycieli, odpolitycznienie kuratoriów, zniesienie obowiązkowości i oceniania prac domowych w szkole podstawowej czy uszczuplenie podstaw programowej – to odbyło się rzeczywiście szybko, jednak działania, które wymagały konsultacji, odbyły się przy szerokiej partycypacji społecznej. Dziś w wielu domach intensywniej dyskutuje się na temat czasu wolnego i spędzania go z dzieckiem, zajęć dodatkowych i możliwości pokazania dziecku, że poza lekcjami jest też świat, i to fascynujący. Jestem przekonana, że nowe rozwiązania są korzystne dla dzieci i młodzieży, a to jest najważniejsze.

Nauczycielka mojego syna znalazła sposób na zakaz prac domowych. Tuż przed dzwonkiem zadaje dziesięć zadań do „samodzielnej pracy na lekcji", a następnego dnia sprawdza je na ocenę.

Każda zmiana powoduje konieczność doboru odpowiedniego sposobu działania. Nauczyciele mają często autorskie pomysły, ale przypomnę, że mają też do dyspozycji poradniki specjalnie opracowane przez IBE i szeroko udostępnione. Ideą odejścia od obowiązkowych prac domowych było nieobciążanie uczniów i uczennic po zajęciach szkolnych i uniknięcie fikcji polegającej na wykonywaniu zadań przy pomocy sztucznej inteligencji. Jestem spokojna,

że i nauczyciele, i młodzież wypracują model odpowiedniej pracy.

A co z zapowiadaną w 100 konkretach szeroką ofertą bezpłatnych zajęć pozalekcyjnych w szkołach? Z pieniędzmi na zajęcia rozwijające zdolności uczniów i wyrównujące szanse?

To się dzieje – trwa m.in. nabór do programu Aktywna Szkoła, który prowadzi Ministerstwo Sportu i Turystyki. Krokiem do otwarcia szkoły jest udostępnienie jej w weekendy i popołudnia dla aktywności sportowych. Problemem jeszcze przez pewien czas będzie kwestia dodatkowej nauki. Mam natomiast nadzieję, że od przyszłego roku uda się już przeznaczyć dodatkowe pieniądze na wsparcie dzieci zdolnych. Dzisiaj pieniądze idą – i słusznie – za uczniem, który ma specjalne potrzeby. Natomiast na wsparcie dla dziecka zdolnego nie ma przypisanej dodatkowej wagi w subwencji, przez lata nie wypracowano odpowiedniego systemu wsparcia

Jakie będą dalsze etapy audytu po rządach Przemysława Czarnka? Odzyskiwane są pieniądze z tzw. willi plus. A co z opisywanym przez POLITYKĘ programem wsparcia „inwestycji w placówkach niesamorządowych", z którego finansowano głównie szkoły zakonne i diecezjalne? Albo z Programem Wsparcia Edukacji, w którym setki tysięcy złotych wydano na kolorowanki o papieżu.

Analizujemy sprawozdania – z części realizacji będą zwroty. Weryfikacja bywa jednak trudna. Zdarzały się na przykład projekty na 200 tys. zł na „organizację biegu", bez żadnych kryteriów czy wskaźników, ile osób ma wziąć udział i po co. Sprawozdanie sprowadza się do stwierdzenia: „bieg odbył się" – nie ma żadnych faktur ani rozliczeń, bo program po prostu tego nie wymagał. To oczywiście sytuacja skandaliczna, ale nasi poprzednicy w ten sposób właśnie tworzyli przepisy. Rozliczymy, co tylko się da. I kolejne programy oraz konkursy będą organizowane – ale na przedsięwzięcia, które przynoszą zyski edukacyjne i na podstawie ściśle określonych standardów audytu i kontroli wewnętrznej.

Czy laptopy dla czwartoklasistów też będą?

Jak powiedziałam, będę realizować programy, które mają wymiar edukacyjny. PiS, korzystając z pieniędzy z KPO, pod hasłem „Laptop dla czwartoklasisty" zorganizował program wyborczy. To, żeby dzieci korzystały ze sprzętu, jest potrzebne, ale jesteśmy zobowiązani zadbać o wszystkich – ze szkół podstawowych i ponadpodstawowych, także o nauczycielki i nauczycieli, również przedszkolnych i wczesnoszkolnych. Musimy przygotować strategię edukacji cyfrowej, a ona nie może polegać tylko na tym, że uczniowie i uczennice mają sprzęt. Ma sprawiać, że umieją się nim posługiwać, sprawnie i bezpiecznie, że używają go w szkole do pracy.

Czy ma pani wstępną intuicję, kim ma być ten nowy człowiek edukowany przez nową szkołę?

Dziś już z wielu badań i obserwacji wynika, że pewne kompetencje będą oczywiste: szybsza adaptacja do zmian, komunikatywność, odporność na dezinformację i cyberzagrożenia. Z drugiej strony nie może dobrze funkcjonować społeczeństwo, które nie zna swojej historii, tradycji i kultury. Pod pojęciem tradycja rozumiem również tradycję ludową, a pod pojęciem kultura – wszelkie formy kultury, nie tylko polskiej, ale też europejskiej, światowej.

Jak konkretnie ma to wyglądać, będę decydować nie ja, tylko eksperci, którzy spędzili lata na analizach i znają modele różnych państw. Mogę natomiast obiecać, że nie będziemy importować jeden do jednego modeli z Finlandii, z Korei ani z żadnego innego kraju, bo jesteśmy w Polsce i u nas nie sprawdzi się to, co się sprawdzało w innym kraju.

Piękna wizja, ale na lata. A po drodze ktoś może przyjść i wywalić, jak gimnazja.

To prawda, dlatego trzeba założyć maksymalnie dużo bezpieczników. Wprowadzana przez nas edukacja obywatelska ma też dać społeczeństwu odporność na populizmy i kłamstwa. To będzie przedmiot, w którym będzie przestrzeń na debatę oksfordzką, na odwiedzenie instytucji, na zobaczenie, jak działa państwo.

Wiele osób uważa, że polska szkoła bardziej uczy konformizmu niż odwagi. Czy to się da zmienić?

Moim zdaniem już się zmieniło. Spotykam licealistów, którzy mają świadomość, że ich mobilizacja, ich starszych kolegów i koleżanek, odgoniła populistów od władzy. To młodzi ludzie stali najdłużej w kolejkach do urn w październikowych wyborach. Nie ma po 1989 r. takiej grupy, która by była tak zaangażowana w protesty jak młodzi w protesty na rzecz praw kobiet. Oni dostali zastrzyk siły i niezależności.

Lecz przecież nie w szkołach...

Ale młodzież, która jest w tej chwili w szkołach, jest inną młodzieżą, niż była parę lat temu. Oni oglądali swoje matki pałowane na protestach, widzieli poniżonych nauczycieli i oglądali, jak młody człowiek pokazuje Kaczyńskiemu, gdzie jest jego miejsce w kolejce. Widzą zagrożenia klimatyczne, widzą różnorodność swoich kolegów i koleżanek i potrafią się wspierać. Jeśli chodzi o samą szkołę – od pierwszych dni rządów koalicji 15 października robimy wszystko, by była to szkoła bezpieczna, przyjazna, otwarta na każdego, nowoczesna, ucząca efektywnie, szkoła XXI w.

ROZMAWIALI JOANNA CIEŚLA, ŁUKASZ LIPIŃSKI

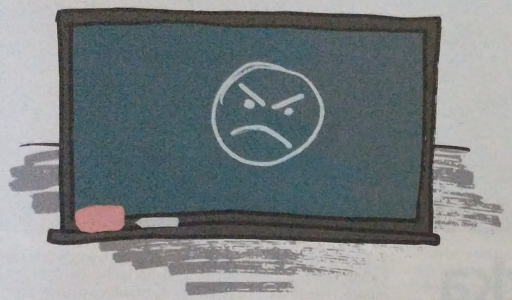

ILUSTRACJA OBYWATEL JANEK

Po PiS-ie mamy ogrom pracy, wyzwań – w planach jest duża reforma edukacji w 2026 r. Po deformie Zalewskiej, czyli likwidacji gimnazjów, po latach zaniechań i wypaczeń Czarnka jest po prostu multum spraw do naprawienia i nadgonienia.

Scyzoryczka

Kielce miały wielu prezydentów. Raz nawet dwóch jednocześnie. A nawet jednego w spódnicy. Teraz mają pierwszą prezydentkę, ale w spodniach.

JULIUSZ ĆWIELUCH

Potańcówka-podziękówka, na którą zaprosiła kielczan świeżo wybrana prezydentka Agata Wojda, zacząć się miała o godz. 18. Miejsce – plac Literatów. Dzień – wtorek 30 kwietnia. Według kartki z kalendarza – międzynarodowy Dzień Uczciwości. Uczciwie mówiąc, krótko przed godziną 18 tłumów nie było. Była prezydentka, ale można jej było nie zauważyć. Nie dość, że szczupła i niepozorna, to na dodatek mało prezydencka. W mieście, w którym w czasie debaty wyborczej padały pytania, czy kandydaci sami robią zakupy (trzech startujących deklarowało majątek liczony w milionach), Wojda w czarnym T-shircie, luźnych spodniach i trampeczkach wyglądała jak jedna z wielu. Słowem, zapowiadała się klapa, bo Kielce to nie jest łatwe miasto. I wtedy stało się to, co Wojda umie i co dało jej prezydenturę. Wyszła do ludzi i zaczęła do nich mówić, a nie przemawiać. A ludzi zaczęło przybywać.

Własnymi siłami

Zbudowanie ciekawej opowieści wokół historii, której zakończenie już znamy, pozornie jest karkołomne. Tyle że wygrana Wojdy w wyborach prezydenckich w Kielcach to wcale nie był materiał na murowany happy end.

Jej polityczna kariera miała liczne zakręty. W politykę wchodziła na fali, jeśli tak można powiedzieć, powodzi z 2001 r. Dla regionu to było doświadczenie destrukcyjno-budujące. Najpierw woda podmyła ludziom życie, a później przyszła pomoc, której skali się nie spodziewali. Jedną z osób zaangażowanych w pomaganie była Agata Wojda, studentka politologii na Akademii Świętokrzyskiej im. Jana Kochanowskiego. Kielce, choć wybiły się na niepodległość i utrzymały status miasta wojewódzkiego, nie miały jeszcze wówczas uniwersytetu. Wojda wspomina, że na jedno miejsce na jej kierunku były cztery osoby. Ale nie dodaje, że na Uniwersytecie Jagiellońskim było ich kilka razy więcej. I szli tam nie zawsze zdolniejsi, ale z pewnością bogatsi. Życie w skromnych warunkach wiele ją chyba nauczyło.

2001 r. to również czas, kiedy w Kielcach zaczynała kiełkować Platforma Obywatelska. Pierwszym pełnomocnikiem partii w województwie świętokrzyskim została Jolanta Daniel, swego czasu przelotna, bo rządząca zaledwie siedem miesięcy, prezydent Kielc. Prezydent, bo Jolanta Daniel nie mówiła i nie myślała

Kielce, potańcówka-podziękówka. Od Agaty Wojdy dla mieszkańców Kielc. Takich imprez tu nie było.

o sobie, że jest prezydentką. Nie ten czas, nie ci ludzie. To pewnie Daniel wciągała młodą Wojdę na listy młodzieżówki PO. Ale wtedy nie zwróciła na nią uwagi.

Za karierą Wojdy stoi inna kobieta – Bożentyna Pałka-Koruba. W 2008 r. Wojda została u niej rzeczniczką. Koruba, z tzw. ładną opozycyjną kartą, w prawdziwej polityce starała się tej karty nie zszargać. Nie straciła również społecznej wrażliwości, bo zanim przyszła do Urzędu Wojewódzkiego, przez osiem lat była szefową Miejsko-Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej w Busku-Zdroju. Można powiedzieć, że Wojda miała dużo szczęścia, mając takiego, a nie innego mentora w polityce. Mentora w sensie symbolicznym, bo Pałka-Koruba niczego jej nie załatwiała. Ale też nie utrudniała. Zdaje się, że polubiła dziewczynę, która pochodziła z biednej rodziny i się tego nie wstydziła, ale też nie próbowała na tym niczego ugrać.

Ci, którzy ją znają, mówią, że wszystko, co Wojda osiągnęła, zawdzięczała sobie i ciężkiej pracy. Podobnie jak jej matka, która w dzieciństwie zachorowała na chorobę Heinego-Medina. Ojciec Wojdy był budowlańcem. Ostatnim miejscem, które budował, było Świętokrzyskie Centrum Onkologii. Żałował, że chronicznie niedofinansowana budowa się ślimaczy, bo kiedy sam tam trafił jako pacjent, to żona z córką musiały mu nosić obiady. Oddziały onkologiczne już funkcjonowały, ale kuchni ciągle nie było. Tata Wojdy zmarł w 1999 r. Wkrótce potem jego koledzy dobudowali kuchnię.

Pani Doniczkowa

W 2010 r. Wojda wystartowała w wyborach samorządowych jako kandydatka na radną w Kielcach. Jako debiutantka dostała trzecie miejsce na liście. Weszła tylko ona. Na sesjach szybko udowodniła, że to nie był przypadek. Była dobrze przygotowana i piekielnie pracowita. Taki typ prymuski, tyle że sympatycznej. Choć nie dla wszystkich. Prawicowych radnych drażniły feminatywy, których używała, i jej późniejsze zaangażowanie w Strajk Kobiet czy wspieranie środowiska LGBT. Wyborców widać raziło to mniej, bo w kolejnych wyborach wygrywała dwa razy z rzędu.

Jednocześnie jej styl trudno było podrobić. Choć była już zauważanym graczem w kieleckiej Platformie, to na sesje rady miejskiej ciągle zdarzało jej się przyjechać na starym składaku marki Flaming. Na co dzień nosiła bluzy z kapturem, na sesje sportowe marynarki. Zdaje się, że nikt jej nie pamięta w spódnicy. Twierdzi, że ma szpilki, ale tu trzeba jej wierzyć na słowo, bo też jej w nich nie widziano. Często za to widywano ją na koncertach muzyki alternatywnej. Na kieleckiej szerokości politycznej była to szokująca odmienność, która niekoniecznie stanowiła atut.

W połowie kwietnia 2021 r. Wojda zagrała va banque i bez wiedzy partii przyjęła propozycję prezydenta Kielc Bogdana Wenty, żeby zostać jego zastępczynią. Wenta łapał polityczną zadyszkę, postawił więc na zmianę zawodników i wpuścił do gry dwa młode talenty. Oprócz Wojdy jeszcze Marcina Chłodnickiego związanego z Lewicą. Ten ostatni wyznał później, że wszedł na boisko, ale nie dostawał piłek. Wojda starała się nie żalić. Ale widać było, że do niej też nikt nie zagrywał. – *U Wenty rację miał ten, kto ostatni wychodził z gabinetu. W takich warunkach ciężko coś zdziałać* – opowiada jeden z lokalnych dziennikarzy.

Swoje zrobiły również lokalne małości. Wojda, odpowiedzialna m.in. za miejską zieleń, szybko została ochrzczona Doniczkową. Internety miały używanie, kiedy ogłosiła, że miasto będzie rewitalizować okolicę byłej kieleckiej synagogi, stawiać tam ławeczki i małą zieleń, co miało być wstępem do przywrócenia mieszkańcom budynku synagogi. Zanim cokolwiek zdążyło powstać, miejsce zostało okrzyknięte „diesel parkiem", bo to wąski pasek drogi pomiędzy dwiema głównymi arteriami samochodowymi. Atak za pozornie pozbawiony sensu kawałek zieleni był łatwiejszy niż szczera rozmowa o relacjach kielecko-żydowskich. Tym bardziej że stosunek Wojdy do tej historii był jednoznaczny.

Polityczny grill i Grzanka

Ci, którzy znają kulisy relacji pomiędzy prezydentem Wentą a jego zastępcami, do dziś nie mogą zrozumieć, jak to możliwe, że ten wybitny piłkarz, a później trener piłkarzy ręcznych był w stanie zbudować jakąkolwiek drużynę. W urzędzie żadnego teamu nie było. Każdy grał na swoją bramkę. Wenta, broniąc własnej, w odwecie wobec radnych z PO postanowił pozbyć się z urzędu zastępczyni. W lipcu 2023 r. Wojda została bezrobotna.

Z kielczanami pożegnała się po swojemu. Na Facebooku zamieściła uśmiechnięte zdjęcie w bluzie z kapturem ze stylizowanym napisem „Kielce". Zaczęła od zdania: „Jestem szczęściarą. Przez ponad 2 lata miałam zaszczyt pełnić funkcję wiceprezydentki mojego ukochanego miasta". Później wymieniła listę dokonań. Na końcu dodała – „Do zobaczenia Kielce!". Żadnych żalów, oskarżeń. Choć ci, którzy ją znali, wiedzieli, że odejście z urzędu mocno ją zabolało. Tym bardziej że znalazła się nie tylko na zawodowym, ale i politycznym aucie. Biorąc stanowisko wiceprezydentki, musiała zrzec się mandatu radnej. Po powrocie do swojego 36-metrowego mieszkania na VII piętrze kieleckiego mrówkowca podobno się popłakała. Ale to mogłaby potwierdzić ewentualnie suka Grzanka, adoptowana z kieleckiego schroniska.

Kolejne miesiące to opowieść jak z pierwszej części filmu „Rocky". Tyle że z dziewczyną w roli głównej. Młoda ambitna bokserka wchodzi na polityczny ring, na którym początkowo nikt nie daje jej szans. Zwłaszcza że w Kielcach wybory samorządowe były starciem wagi ciężkiej. ▶

© GRZEGORZ KSEL/REPORTER

▶ Walka była tak zacięta, że w mieście ciągle jeszcze widać ślady niedawnej kampanii wyborczej. Po samej liczbie billboardów wiadomo, jakie kto miał siły i co ludziom sprzedawał. Kamil Sochański, rocznik 1977, chwalił się, że zdobył Mount Everest. W mieście bardziej był znany z tego, że zaliczył również koronę partii politycznych. Zaczynał jak jego ojciec, były senator, z list SLD. By w ciągu 10 lat dojść do mariażu z Konfederacją. Po drodze flirtując jeszcze z PO i przez kilka miesięcy wspierając Bogdana Wentę. Aby następnie przez pięć lat grillować go na każdym kroku.

Maciej Bursztein na własnym profilu napisał, że kto go zna, wie, że jak jest okazja, to może potańczyć do białego rana. Przez kampanię również próbował przejść tanecznym krokiem, opowiadając, jakie fajne są Kielce, i obiecując, że mogą być jeszcze fajniejsze. Dla syna właściciela marki Dafi (jednego z największych europejskich producentów filtrów do wody i podgrzewaczy) życie pewnie jest fajne. Poczet wyborczych milionerów w Kielcach zamykał Adam Cyrański, właściciel wydawnictwa edukacyjnego Mac SA i od kilku lat przedsiębiorca branży budowlanej i deweloperskiej. 64-letni Cyrański był najstarszym kandydatem. Za to zdecydowanie najbogatszym. Jego zawołanie wyborcze: „Po pierwsze Kielce, po drugie Kielce i po każdym razie Kielce", było równie zawiłe, co kłopotliwe. Zwłaszcza dla niego. Media natychmiast wyciągnęły, że Cyrański w Kielcach już właściwie nie mieszka.

Pozostali kandydaci, którzy nie mieścili się w zakładce „bogacz polski", byli nie mniej kolorowi. Czerwień lewicy obsługiwał, ale raczej honorowo, Maciej Chłodnicki. A czarnym koniem wyborów od początku był najmłodszy kandydat – 32-letni Marcin Stępniewski z PiS.

Wśród kobiet Wojda miała tylko jedną konkurentkę. Ale tak się składa, że również o imieniu Agata. I również przedstawiającą się jako działaczka społeczna. Pojawiły się nawet spekulacje, że start Agaty Marjańskiej był próbą odebrania głosów Agacie Wojdzie. Program Marjańskiej na rozwój miasta opierał się na idei ściągnięcia do Kielc emerytów. Ten zaskakujący ruch miał nie tylko pomnożyć w Kielcach seniorów, ale też ściągnąć do miasta ich kapitał. Tak śmiałego pomysłu na ściąganie kapitału jeszcze nikt nie przedstawił.

Miasto bolączek

W trakcie kampanii Agata Wojda też dużo mówiła o kapitale. Ale skupiała się na tym ludzkim. Miasto liczące w 1991 r. 215 tys. mieszkańców, po wywalczeniu statusu województwa, miało się spektakularnie rozwijać. Okazało się, że spektakularnie się zwija. Szacunkowa liczba mieszkańców Kielc waha się dziś pomiędzy 183 tys. (dane GUS) a 176 tys. (dane Urzędu Miasta na bazie deklaracji śmieciowych).

Po mapie kieleckich problemów z wielką zręcznością nawiguje Arkadiusz Stawicki, jeden z liderów Stowarzyszenia Przyjazne Kielce. – *Prawda jest taka, że Kielce umierają* – mówi Stawicki. – *Kielce, obok Łodzi, to najszybciej starzejące się miasto wojewódzkie w Polsce. A wie pan dlaczego? Bo to miasto lekką ręką pozbywa się swego najcenniejszego kapitału, pozbywa się swojej nadziei* – dodaje.

Z tą nadzieją to jest zdanie z haczykiem, bo on i inni działający przy Stowarzyszeniu Think Tank prześledzili losy dzieciaków, które otrzymały prestiżowe stypendia Nadzieje Kielc. Nagroda przyznawana jest za wybitne osiągnięcia naukowe, sportowe i artystyczne. W sumie 3,5 tys. zł na głowę, plus dyplom i prestiż. Ale widocznie za mało, żeby zostać w mieście. – *90 proc. z tych dzieciaków wyjechało z Kielc. Mało tego, z naszych badań w prestiżowych liceach wynika, że im wyższą średnią ma uczeń, tym wyższe, niemal 90-proc., jest prawdopodobieństwo, że wyjedzie z Kielc i tutaj już nie wróci* – ciągnie Stawicki. – *Bo i nie opłaca się wracać. Kielce i Białystok to dwa miasta wojewódzkie z najniższą średnią płacą.*

To samo, ale innym językiem mówiła w trakcie kampanii Wojda. Tyle że według niej skoro szklanka jest już pusta, to wszyscy postarają, będzie chociaż do połowy pełna. W [illegible] niezliwy populizm w sztabie wyborczym Platformy wywołał konsternację, bo Kielce mają łatkę miasta socjalnego. A w [illegible] miejscach wyborców bierze się z włosem, a nie pod włos. W [illegible] bie nie wszystkim podobało się, że kandydatka przed wyborami zrobiła sobie tatuaż i to w okolicy prawego nadgarstka. Kolejnej niezgody był również dress code, a zwłaszcza musztardowa [illegible] ka, którą Wojda nosiła przełożoną przez ramię. Z nerką szczerze odpuścili, bo kandydatka miała w niej elektronicznego papierosa i bez niego nie wyobrażała sobie 12 godz. kampanii dziennie.

Tour de Kielce, czyli seria spotkań z mieszkańcami, był także tensywny, że za Wojdą nie wyrabiali nawet lokalni dziennikarze. Kielce może i się wyludniają, ale miasto jest rozlane na wiele mikrodzielnic. Z czego część z nich związek z miastem ma jedynie formalny. Leżą daleko, mało co tam dojeżdża i przez lata mało kto się nimi interesował. Wojda odwiedziła każde z tych miejsc. Większość znała, bo się po nich włóczyła w młodości. Do dziś ma słabość do rajdów pieszych. Nie bała się również grać szczerością. Na internetowym filmiku o zbiorniku Glinianka mówiła „Rzadko wagarowałam, ale jeżeli już, to właśnie tutaj. Jak zostanę prezydentką, zrewitalizuję to miejsce". Ściskała dłonie, robiła selfiki, pytała, jak się wabią pieski. Klasyczna kampania, ale nie w kieleckim stylu, bo jej poprzednicy czegoś takiego po prostu nie robili. Ludzie to widzieli. To stąd te 56,54 proc. głosów w konserwatywnych Kielcach.

Ferment

Pomysł, żeby podziękować za głosy potańcówką, ma autorstwo zbiorowego, czyli stoi za nim sztab wyborczy nowej prezydentki. Wojda mówi, że gest był naturalny i oczywisty. Tyle że w Kielcach od wielu lat takich naturalnych gestów brakowało. Brakowało również okazji, żeby ludzie się sobie przyglądnęli, po ludzku się spotkali. Poprzedni prezydenci uważali, że najlepszym miejscem spotkań są kościoły albo stadiony. Wojda zaprosiła ludzi na plac Literatów.

Gęstniejący na potańcówce tłum składał się w przeważającej mierze z dojrzałych kobiet, mężczyzn po czterdziestce i przypadkowych gapiów. Głosami takiego mniej więcej elektoratu Wojda wygrała drugą turę wyborów prezydenckich w Kielcach. A nie było to zwycięstwo łatwe, bo jak już zostało napisane – Kielce to nie jest łatwe miasto. Pod koniec lat 90. zeszłego wieku miasto zaliczyło nawet władzę w wersji stereo. Latem 1998 r. w urzędzie zasiadało równocześnie dwóch prezydentów. Władzę i gabinety wyrywali sobie z rąk za pomocą straży miejskiej i rozwiercania zamków. Jedyne, co zrobili razem, to wspólna wizyta u Leonii Cień, która 16 lipca obchodziła setne urodziny. Do porozumienia doszli również w kwestii wypłaty. Za czerwiec pensję pobrał jeden zarząd, a za lipiec ten drugi. W sierpniu interweniował premier Buzek, który władzę w mieście przekazał komisarzowi.

Wracając do potańcówki-podziękówki, to w repertuarze bardzo szybko przyszedł czas na „Jedzie pociąg z daleka" i węża. Jeszcze przed chwilą obcy sobie ludzie zaczęli chwytać się za ramiona i pląsać. A kiedy doszło do fragmentu – „zawieź nas", ludzie spontanicznie dodawali „byle nie do Warszawy". – *Ja to się tak strasznie martwię, że ta nasza Agatka to też nam ucieknie do Warszawy, jak ci ministrowie, co to teraz uciekają do Brukseli* – powiedziała jedna z pań do stojącej obok koleżanki. Wojda będzie musiała mieć bardzo dobry słuch, żeby nie zmarnować tej energii, którą sama wykrzesała w kielczanach. Drugi raz może się to już nie udać.

JULIUSZ ĆWIELUCH

Co mu zrobisz, jak ją złapiesz?

ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

W marcu 2024 r. media obiegła zdawkowa wiadomość: zatrzymano poszukiwanego listem gończym oszusta Andrzeja, który po korekcie płci trafił do więzienia jako Joanna. Ale historia tego człowieka to temat na psychologiczny dreszczowiec made in Poland.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

W 1969 r. urodził się we Wrocławiu Andrzej. W wieku 38 lat został oficjalnie Joanną, a sześć lat później na powrót Andrzejem, z przybranym drugim nazwiskiem wziętym ze świata francuskiego luksusu. Wkrótce żałował tej decyzji i – jak mówią ci, którzy go wtedy znali – wściekał się, gdy słyszał „proszę pana". Więc znów mówili do niego per Joanna.

Ta druga Joanna miała całkiem nowe, zmyślone nazwisko. Zawodowo była podwładną Andrzeja i to on o wszystkim decydował, ale zawsze pozostawał nieuchwytny. Istniała także trzecia, wymyślona tożsamość Joanny z kolejnym lipnym nazwiskiem wziętym od polskiej arystokracji, feministka, wielbicielka opery i gwiazda żeńskiego futbolu ligi krajowej.

W 2024 r., po złapaniu Andrzeja, policja przyznała, że jego tożsamościowe wiry bardzo utrudniały funkcjonariuszom poszukiwania. W dodatku działał ogólnopolsko, w pewnych okresach nawet globalnie. Taka sytuacja: na zlecenie sądu w Kielcach zatrzymali go w Tczewie policjanci z Wrocławia i odwieźli do więzienia w Gdańsku.

Oszustwo

Ale to nie zmianami płci Andrzej i Joanna oszukiwali, to ich prywatna sprawa. Tak się składało, że po każdej płci zostawał im jeden więcej dowód osobisty i PESEL, nie licząc fałszywek i person, jakie montowali sobie za granicą. Ich spółki, instytuty i fundacje pączkowały. Działały zwykle legalnie, ale zarabiając i prawe, i lewe pieniądze. Andrzej i Joanna zajmowali się lobbingiem politycznym, prawem międzynarodowym, hotelarstwem, ozonowaniem pomieszczeń. Prowadzili szkolenia i wykłady: od biznesowych po antyterrorystyczne. Londyn, Bruksela, Ukraina, cała Polska. A że przez kilkanaście lat żyli z podawania się za kogoś, kim nigdy nie byli? Że Andrzej musiał czasem uciekać w którąś z Joann, a Joanny w niego? Że bojąc się wsypy, znikali ze sceny i przyczajali się z dala od ludzi? To też nie oszustwo – wynika z definicji sądu, przed którym w końcu postawiono Andrzeja w 2020 r.

Po prawomocnym wyroku Andrzej zrobił to, co zawsze w kłopocie – zniknął. Ci, którzy go znali, nie zdziwili się. Czekali, aż wypłynie w wysoko płatnej branży i rozkręci swój cyrk na nowo. Po wódce i on, i Joanna lubili mawiać, że władza może im skoczyć, oni mają plecy w służbach. Mówili tak przez kilkanaście lat, wystarczająco długo, by im uwierzono. Przez ten czas władza rzeczywiście nie reagowała na poważne doniesienia o fikołkach wcieleniowych i finansowych tych dwojga.

Legendę o plecach w służbach Andrzej miał uprawdopodobnioną życiowo. W 1987 r. zaczynał karierę jako milicjant na wrocławskim Starym Mieście. Pochodził z rodziny ustosunkowanej politycznie, wywodzącej się z peerelowskich mundurów. Przypadek jego i Joanny opisywali dziennikarze „Gazety Wrocławskiej" i „Dziennika Gazety Prawnej". Doszło do tego, że Andrzej i Joanna zostali kimś w rodzaju celebrytów, o których pisało się per znany oszust. Było o nich tak głośno, że kolejne ofiary wpadały im w ręce już chyba tylko przez wrodzoną głuchotę. ▶

▶ Nowe działalności rozkręcali kompulsywnie. Ale to też nie było definicyjne oszustwo.

Mira

Można powiedzieć, że Mira Suchodolska się na Andrzeja uwzięła. Nie ze złośliwości, tylko z zawodowej ciekawości i intuicji, potem potwierdzanej faktami na papierze, że sprawa Andrzeja i Joanny śmierdzi. Mira jest wytrawną doświadczoną dziennikarką, pracuje w Polskiej Agencji Prasowej. Chodziła za Andrzejem przez 11 lat, opisując jego kolejne inkarnacje na łamach „Dziennika Gazety Prawnej". Z czasem jej teksty zaczęły przypominać zawiadomienia do prokuratury – podawała numery KRS jego firm, PESEL-e i numery jego i Joanny lipnych dowodów, wyliczała podrabiane legitymacje prasowe, nadchodzące na jego nazwisko z Nowej Zelandii brytyjskie prawo jazdy w niejednym egzemplarzu, handel reprodukcjami obrazów za cenę stukrotnie wyższą od rynkowej. Tropiła zamglone kontakty Andrzeja w Ukrainie. Pytała prominentnych polityków, na których Andrzej się powoływał, czy go znają – twierdzili, że nie. Sprowadzała elitarne, międzynarodowe wykształcenie Andrzeja i Joanny, na które powoływali się publicznie, do skali rozsądku – ten były milicjant, potem policjant, skończył zawodowe technikum mechaniczne.

Mira przytaczała historie ofiar Andrzeja/Joanny – bo tak o tej osobie pisała. Zebrane w prywatnym śledztwie dowody słała w końcu wprost do prokuratur i policji. I tylko coraz bardziej się dziwiła, że tam nikogo to nie interesuje. Sprawa wydawała się przegrana od pierwszego strzału – w 2014 r. Suchodolska i Marcin Rybak, znany dziennikarz z Wrocławia, za tekst o przekrętach Andrzeja byli nominowani do nagrody Grand Press. Tekst był głośny, ale nie w służbach policyjno-prokuratorskich.

W czasie gdy dziennikarze pracowali nad artykułem, Joanna – zakochana w kobiecie – finalizowała powrót do tożsamości Andrzeja i przybierała drugie, dumnie brzmiące nazwisko sugerujące związki z legendarnymi wytwórcami bajecznie drogich zegarków, biżuterii i światowej sieci hoteli. Andrzej tworzył nowego siebie, który w nadchodzących latach miał mu pomagać w interesach. Metamorfoza następowała legalnie, przed sądem w Warszawie, więc „znany oszust" był łatwo namierzalny, a mimo to nieniepokojony.

Mirze Suchodolskiej nie pozostawało nic innego, jak tylko zawziąć się bardziej. Pod koniec lat nastych doszło do tego, że ofiary Andrzeja – zamiast do policji i prokuratury – zwracały się po pomoc do dziennikarki.

Adwokat

Mira uśmiecha się na wspomnienie swojego pierwszego spotkania z Andrzejem. Mógł być 2012 albo 2013 r., kiedy Daniel, znajomy właściciel sieci salonów fryzjerskich, opowiedział jej, że zgłosił się do niego światowej klasy adwokat z propozycją pomocy w kłopotach z galerią handlową. Niby wszystko się zgadzało – na wizytówce prawnika Londyn, Nowy Jork i Szanghaj jako miejsca działania kancelarii. Prawnik chwalił się, że właśnie pomaga oszukanym w głośnej aferze Amber Gold. Ale Daniel wyczuł w nim jakiś fałsz. Nie chodziło o gadane, elokwencji papudze nie brakowało – to było coś w postaci, jakaś smuga zmęczenia. A najbardziej podejrzana była jego wizytówka – Mirze wystarczyło, że na nią spojrzała i mówi: Daniel, to jakiś oszust. Wizytówka krzyczała złotem i brokatem. Wyglądała, wspomina dziś Mira, jakby ją zaprojektował grafik od plakatów disco-polo.

Na kolejne spotkanie z Andrzejem, globalnym adwokatem, przyszła Mira Suchodolska. Opowiada: do warszawskiej kawiarni wchodzi grubawy mężczyzna o nalanej twarzy, spocony, buty znoszone, garnitur tani ze sztucznego materiału, różowa koszulka polo. Krótko mówiąc: z koziej dupy rejsentasza. Zaczęłam go pytywać o jego kancelarię, o sprawy, które prowadzi. Bardzo motał. W pewnym momencie powiedziałam mu wprost: wie co, koleś, ty nie jesteś żadnym adwokatem. Ty nawet koło prawdziwego adwokata nie stałeś. Jak chcesz udawać, to popatrz jak ci ludzie wyglądają.

Andrzej, który był już wtedy oficjalnie Joanną, wstał i wyszedł. Trzeba przyznać, że od tego momentu przez lata działalności dbał o wizerunek. Czyli że Mira dała mu pierwszą lekcję stylu. Mira mówi, że to było raczej danie szansy, ostrzeżenie. Którego ani Andrzej, ani Joanna, ani ponowny Andrzej nie wzięli do siebie. Zagłębienie się w jego przeszłość oznaczało szok poznawczy – milicjant po technikum zawodowym był rekinem podejrzanych sztuczek po obu stronach granicy legalności. Mistrzem nagięć i szmiry. Poetą niedomówień i podszywek. Żonglerem liposuwpadki. Będąc oszustem, jednocześnie nim nie był, przynajmniej w oczach władz.

Dlatego stał się przewlekłym tematem, prasowym serialem, opowiadającym o Polsce.

Sztuczki

Z policji Andrzej nie tyle odszedł, ile uciekł. Zmieniły się ustrój i charakter służby, wielu dobrych kolegów musiało odejść do cywila z uwagi na zanurzenie w aparacie PRL. Niektórzy zakładali biznesy ochroniarskie i usługi detektywistyczne, zarabiali poważne pieniądze. Nowa władza namawiała do „brania życia w swoje ręce". Andrzej miał żonę i 10-letnią córkę, po policyjnej drabinie niby się wspinał, ale wolno i tanio.

W 2001 r. spiknął się z detektywem celebrytą tamtych dni Krzysztofem Rutkowskim. Rutkowski wyrabiał sobie markę w telewizji, ganiał przestępców przy kamerach. No i raz Andrzej zorganizował mu we Wrocławiu potrzebną dokrętkę z dziedziny kina akcji na potrzeby odcinka z Wiednia. W prawdziwej „realizacji" policyjnej ludzie Rudego spektakularnie rzucili na ziemię prawdziwych zbójów, w świetle kamer. Wyszło to na jaw, Andrzej – pracujący w wydziale przestępczości gospodarczej – dostał upomnienie. Innym razem – jak opisywali Rybak i Suchodolska – miał nocą zabrać z aresztu dwóch podejrzanych na pokątne rozmowy z prawnikiem, znajomym Rudego. Wpadł, odszedł z policji, ale ścignął go sąd – pierwsza instancja skazała Andrzeja za przekroczenie uprawnień, druga uniewinniła.

Z wyczyszczonym kontem – w obu znaczeniach tych słów – Andrzej rzucił się w świat modnej europejskości. Polska wchodziła do Unii, były pieniądze do wyjęcia z ogólnego chaosu, jaki się przy tej okazji wytworzył. W 2001 r. Andrzej zakłada stowarzyszenie Europejska Izba Arbitrażowa. W 2004 r. na jej miejsce powołuje fundację Europejski Trybunał Arbitrażowy, któremu prezesuje nieistniejąca jeszcze oficjalnie Joanna, czyli on sam. A jako Andrzej jest radą fundacji. W tym samym roku tworzy się Pro-Eko-Med-Utilitas, fundacja, w której zarządzie Andrzej zasiada wraz z kilkoma osobami w wieku tuż przed lub tuż po setnych urodzinach. Powstaje też Ogólnopolskie Stowarzyszenie Służb Mundurowych, które przez samych mundurowych bywa traktowane jako próba wydębienia przez Andrzeja wrażliwych danych ludzi polskich tajnych służb. A koroną tych przedsięwzięć jest Instytut Szkoleniowy Wymiaru Sprawiedliwości (ISWS) – ten wytrwa w działaniu najdłużej, prawie do samego aresztowania Andrzeja w Tczewie.

Mimo wpisów do KRS instytucje Andrzeja nie składają żadnych sprawozdań z działalności. Ich organy nadzorcze, w tym Ministerstwo Sprawiedliwości i Ministerstwo Środowiska, nie za bardzo się nimi interesują. Zresztą trudno nadążyć – Andrzej

Ten były milicjant był rekinem podejrzanych sztuczek po obu stronach granicy legalności. Mistrzem mgły i szmiry. Poetą niedomówień i podszywek. Żonglerem lipnych personaliów. I wszystko mu uchodziło.

pojawia się i znika, żongluje płcią i PESEL-em, przenosi biznesy do innych miast, czasem przeprosi któreś z ministerstw za podszywanie się pod instytucję państwową, czasem którąś firmę wygasi lub zmieni jej nazwę. Czasem wejdzie mu na plecy syndyk albo komornik, lecz odejdą jak niepyszni, bo Andrzej jest oficjalnie biedny i niewypłacalny. Chociaż pieniądze przez konta jego instytucji płyną.

Ale to wciąż nie jest w Polsce oszustwo w rozumieniu karnoprawnym.

Wiral

W internecie coś takiego nazywają wiralem – to wtedy, kiedy jakieś zjawisko żyje już całkiem niezależnie od swojego twórcy i samo wsysa coraz nowych odbiorców. Andrzej i Joanna są jak dwugłowy smok w nieustannym polowaniu na pieniądz. Nie umieją się zatrzymać. Korzystając ze swojego nadmiaru PESEL-i, wciąż tworzą firmy, wplatając w ich nazwy dobrze kojarzące się na światowym rynku marki, jak Axa lub Cartier.

Po swoich sądowych narodzinach w 2007 r. do pełni głosu dochodzi Joanna. W 2009 r. razem zakładają kancelarię prawną w londyńskim City, nazwą czynią swoje wspólne nazwisko. Gdy w Polsce wybucha afera Amber Gold, przybywają ofiarom na odsiecz i zdobywają prawdziwą sławę. Rzeczywistość przyspiesza. Zawiralowani dziennikarze przerzucają się nagłówkami o znanym, wybitnym prawniku z City, który odzyska dla ludzi stracone pieniądze. Który pozywa do sądu Skarb Państwa. Który pozywa firmy zachodnie, umoczone w aferę. Który zrobi porządek.

To są wszystko prawdy papierowe – Andrzej i Joanna żyją z nich, od kiedy on rzucił policję. Kończy się na paru małych pozwach pro forma, sprawy prowadzą zatrudniani przez Andrzeja nieopierzeni polscy prawnicy tuż po studiach – przegrywają, gubią się już na poziomie pism procesowych. Ale telefony od ambergoldowców dosłownie się urywają, ludzie sami przynoszą pieniądze na adwokackie honorarium – niecałe 1,5 tys. zł od głowy. Kasa puchnie, a kancelaria milknie. Gdy klient dzwoni dowiedzieć się o sprawę, Andrzej każe straszyć pozwami za nękanie. W 2014 r. londyńskie wcielenie Andrzeja najpierw zmienia nazwę, a w 2019 r. przestaje istnieć. Jego siedziby w City, podobnie jak tych w Polsce, daremno szukać – to biura wirtualne.

W połowie lat nastych Andrzej bryluje na salonach – tę *successful* część jego życia do tej pory ukazują nieskasowane strony na Facebooku. Jest wpisany na oficjalną listę lobbystów sejmowych. Uczestniczy w konferencjach prawnych na szczytach, objeżdża najdroższe hotele, Parlament Europejski, występuje w ukraińskiej telewizji jako *jurist*, który buduje relacje między narodami. Przedstawiają go tam jako „żyjącego lokalnie, myślącego globalnie". Ma swój własny fotel w łuckim teatrze. Kończy kurs prawny ze stosowania Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Na fotografiach występuje z politykami i profesorami. Mądrzy się w internecie i na wykładach na tematy finansów, cyberbezpieczeństwa, adwokatury, zmian w prawie cywilnym i karnym albo o ulubionej broni palnej. Dyskutuje podczas Corporate Banking Congress. W Brukseli uwiecznia się na zdjęciu na sali obrad z drogim komputerem, ubrany w dobre ciuchy. Każdy jego wpis skonstruowany jest tak, jakby to on, Andrzej, znajdował się w centrum wydarzeń: on oddaje się wspomnieniom w towarzystwie generalicji i oficerów służb specjalnych, on składa obywatelskie projekty ustaw, wypowiada się o decyzjach królowej brytyjskiej (choć tylko „miał przyjemność oglądać przejazd jej orszaku" w Westminsterze), robi ekspertyzy dla specjalistycznych portali prawnych. Zawsze dba o dołączenie biografii: „pracuje w American Institute For Law And Finance, jest członkiem rzeczywistym American Association of University Professors, a z jego usług można korzystać w City Of London". Jest *man of the world*. To żadne oszustwo.

Oczy go zdradzają. Są coraz smutniejsze ze zdjęcia na zdjęcie. Nieważne, czy jest Andrzejem, Joanną, czy Aśką-bramkarką na boisku w Bydgoszczy. Wyłazi smutek i samotność.

Pułapka

Pod koniec lat nastych coś musiało w Andrzeju pęknąć. Jest oficjalnie płci męskiej, ale wyskakuje z nowego pudełka jako zaniedbana Joanna po tranzycji. Ludzie, którzy go wtedy znają, mówią ogłędnie, że ma „trzeciorzędowe cechy płciowe" żeńskie. Tylko męskie ręce pozostały. Nikt jej o to nie pyta przez delikatność, a ona sama zachowuje się, jakby nie miała przeszłości. Jest tylko tu i teraz – hotel w Ostrowcu Świętokrzyskim i Aśka-zarządczyni zaczynająca dni od amolu, płynąca przez rausze, klnąca, kończąca na whisky i furiach.

Hotel schodzi na psy, Aśka skłócona z pracownikami. Przyjęła strategię biznesową – kasę bierz, kasy nie dawaj. Ludziom nie płaci, zatrudnia na czarno, na śmieciówki, zwodzi, myli tropy. Umowy podpisuje raz jako Andrzej, raz jako Joanna. Nie płaci za usługi technikom z okolic. Nie płaci właścicielce całości czynszu za dzierżawę. Kiedy przyjeżdżają gazownicy albo straż miejska, mówi, że nic nie wie, bo jest Joanną, a tu Andrzej rządzi. Ale go akurat nie ma i nie wiadomo, czy będzie.

Patryk Stępień, wtedy aktywista i społecznik z Ostrowca, dyrektor biura poselskiego Kamili Gasiuk-Pihowicz, pracuje w hotelu jako recepcjonista i organizator szkoleń. Odkrywa majstersztyk Andrzeja – hotel dzierżawi jako ISWS, upoważnia do tego Joannę, ale Joanna nic nie wie, bo wszystko zależy od Andrzeja. Patryk dzwoni do Miry Suchodolskiej, dziennikarki. Dziś opowiada: Joanna miała podejście do ludzi, potrafiła ich zjednać, była elokwentna. Całą śmietankę urzędową i media Ostrowca ▶

oswoiła błyskawicznie. Reklamy hotelu wisiały na miejskich festynach.

Pan Hyde wylazł z niej na terenie obiektu, po godzinach. Potrafiła łżyć pracowników. Kiedyś po pijaku wściekła się i wyrzuciła wszystkich gości z hotelu. Krzyczała, że to koniec tego burdelu, nie ma żadnego hotelu, koniec. Potem przepraszała. Ale goście na portalu Booking nie zostawiali na hotelu suchej nitki. Od czasu do czasu pojawiali się tu Ukraińcy i Białorusini w luksusowych autach z białą skórzaną tapicerką. To było jak święto. Joanna zapowiadała ich jako grube ryby, szefów wielkich banków. Zamykali się z Joanną, ostro pili, a rano na terminalu hotelowym pojawiały się wielkie sumy preautoryzowanych pieniędzy z ich kart. Za taniutkie reprodukcje obrazów ze ścian hotelu nabywcy (także Hindusi i Banglijczycy) mieli płacić nawet dziesięć razy więcej. A kiedy Andrzej stanął przed sądem, okazało się, że nie mają roszczeń. Pralnia pieniędzy? To wyjaśnią kolejne sprawy sądowe, które go czekają.

W 2019 r. Mira Suchodolska opisała sytuację w hotelu za rządów Joanny. Wcześniej czekała na nią pod Lublinem, gdzie Joanna miała objąć inny hotel w zarząd – Mira nawet zawiadomiła policję, że będzie „znany oszust". Nie pojawiła się ani Joanna, ani policja. Ostrowiecką sprawę zgłosił prokuraturze Patryk i inni pracownicy hotelu. Zawiadomili m.in. o wykorzystywaniu podwójnej tożsamości w celach przestępczych.

Joanna najpierw obiecała Patrykowi, że mu przestrzeli kolana. Potem znikła, rano już jej nie było w Ostrowcu. Kiedy ruszał proces w Kielcach, Andrzej się nie pojawiał. Na początku powoływał się na zły stan zdrowia, nawet złą pogodę. Potem znów zapadł się pod ziemię. Sąd wydał nakaz doprowadzenia. Policja sporządziła ciekawą notatkę z poszukiwań: „Z dotychczasowych ustaleń wynika jedynie, że wymieniony może przebywać na terenie kraju, jak i poza granicami Polski".

Przed sądem Andrzej zeznał, że jest niewinny.

Andrzej

Zbadali go biegli psychiatrzy. Wykryli „specyficzne zaburzenia osobowości", wzięli pod uwagę jego nawracające depresje, myśli samobójcze, transseksualność, na jaką się powołuje, jego wycofanie, brak zainteresowań i długodystansowych celów, a jednocześnie wielką pewność siebie i skłonność do ryzyka. Andrzej pochwalił się, że jest absolwentem kilku elitarnych uniwersytetów, polskich, amerykańskiego i niemieckiego. Nie stwierdzono deficytów, które czyniłyby go niezdolnym do logicznej obrony przed sądem.

Przed sądem nie wykazał skruchy. Ale sąd wziął pod uwagę, że Andrzej jest niekarany i prowadzi ustabilizowany tryb życia. Sąd sformułował także definicję oszustwa – to, że podawał się za inne płcie, podpisując umowy; że nie dotrzymywał warunków umowy cywilno-prawnej, jest niekaralne, ponieważ nie jest oszustwem. Żeby być oszustem, trzeba mieć zamiar bezpośredni, a tego dowieść się nie da.

Andrzej dostał dwa i pół roku więzienia za nieprawidłowości przy zatrudnianiu pracowników ostrowieckiego hotelu i naciągnięcie Banku Pekao na prawie 400 tys. zł, które musi zwrócić. Skończy odsiadywać karę w czerwcu 2026 r., ale możliwe – mówi prokuratura – że dojdą kolejne wyroki. Jest biedny, za proces zapłaciło państwo.

Andrzej odarty z persony to: jedynak, matka szwaczka, ojciec oficer ranny podczas służby policyjnej (dostał kamieniem w głowę, hospitalizacja), rozwiedziony (dorosłe dziecko), bezrobotny rencista ze świadczeniem 1,3 tys. zł na miesiąc. We Wrocławiu ulica, przy której stoi jego blok, łączy się z ulicą Na Ostatnim Groszu.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Słupki pod pręgierzem

Sukces był, słupki oglądalności szły w kosmos, więc skąd to oburzenie? Historia upadłej „królowej życia" Dagmary Kaźmierskiej pokazuje, jak media grają masowym odbiorcą.

KATARZYNA KACZOROWSKA

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

„K

chwalić, krym
w operze. Ale
nie było, byłab
opowiadać bz
w Ameryce.
teraz krokod
tego, co było
że igram z pr
dzej czy póź
płacić. Ale ni
bre nie wysz
trafiłabym
bym też wie
mi się wcze
zna mnie c

„Królową byłam zawsze. Od wielu lat wiem, jak smakuje sława. W Kotlinie Kłodzkiej znali mnie wszyscy. Nie ma się czym chwalić, kryminał to nie pierwszy rząd w operze. Ale gdybym udawała, że tego nie było, byłabym hipokrytką. Nie będę opowiadać bzdur, że byłam na wczasach w Ameryce. Nie zamierzam też ronić teraz krokodylich łez. One nie zmażą tego, co było. Zdawałam sobie sprawę, że igram z prawem. Wiedziałam, że prędzej czy później będę musiała za to zapłacić. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – gdyby nie więzienie, nie trafiłabym do telewizji i nie doceniłabym też wielu innych rzeczy, nad którymi się wcześniej nie pochylałam. Teraz zna mnie cała Polska".

W „Tańcu z gwiazdami" z Marcinem Hakielem. W kwietniu przerwała występy. Powód: względy zdrowotne.

To cytat z książki wydanej w 2021 r. Autorka: Dagmara Kaźmierska. Tytuł: „Prawdziwa historia królowej życia". Na okładce dojrzała blondynka w futrze, z nagimi ramionami i głębokim dekoltem, wygląda władczo i patrzy kusicielsko. Trzy lata później 10 kwietnia w czarnej sukni z równie głębokim dekoltem na jubileuszowej Gali Osobowości i Sukcesy odebrała wyróżnienie Osobowości Roku 2024. Znalazła się w jednym gronie z tancerzem Rafałem Maserakiem, reżyserką Magdaleną Piekorz i historykiem sztuki Markiem Żydowiczem, twórcą festiwalu Camerimage. Relacje z tego wydarzenia można znaleźć na wszystkich polskich portalach zajmujących się celebrytami i życiem towarzyskim sławnych ludzi. Niektóre z nich od dwóch tygodni umieszczają nad krótkimi notkami o fantastycznej kreacji Dagmary Kaźmierskiej informację, że opis powstał, zanim została ujawniona jej kryminalna przeszłość, z której nikt nie zdawał sobie sprawy. Choć sama bohaterka medialno-obyczajowego skandalu ostatnich dni wspominała o tej przeszłości i w wywiadach, których udzielała, i w książce podpisanej jej nazwiskiem, i w programach telewizyjnych, jak choćby nie tak dawno temu u Kuby Wojewódzkiego w TVN.

Wypatrzeć miał ją Piotr Wąsiński, reżyser i producent telewizyjny związany m.in. z Grupą ATM i TVP 3 Wrocław. Pierwsze kroki stawiała w paradokumencie Polsatu „Pamiętniki z wakacji", ale gwiazdą została w „Królowych życia", formacie emitowanym od 2016 r. na antenie TTV należącej do TVN. Z opisu programu wynika, że bohaterowie żyją według własnego scenariusza i na swoich warunkach. Są dalecy od przeciętności, czym u jednych wzbudzają sympatię i podziw, u innych – falę krytyki i zazdrości, zaś największą popularnością cieszy się Dagmara Kaźmierska – „królowa, wojowniczka i marzycielka", której życie to „pasmo przygód i mrożących krew w żyłach historii".

Kilka lat temu, kiedy serial bił rekordy oglądalności, Wąsiński nie krył, że zawsze fascynował się ludźmi z niejednoznaczną historią, a Kaźmierska przyciągnęła jego uwagę niebanalną osobowością. Dzisiaj na prośbę o rozmowę na temat jego roli w karierze właścicielki agencji towarzyskiej w Szalejowie Dolnym w Kotlinie Kłodzkiej, skazanej na 3 lata więzienia m.in. za stręczycielstwo, odpisuje krótko „nie komentuję sprawy". Osoba związana z telewizyjnymi produkcjami i znająca kulisy powstawania „Królowych życia" dopowiada: – *A co ma powiedzieć? Sukces był, słupki szły w kosmos, to kto by się przejmował… Jak grali nad morzem, to zdjęcia trzeba było przerywać na godzinę, bo taka kolejka po autograf się ustawiała…*

A inna mówi wprost: – *Wszyscy wiedzieli, że bohaterka masowej wyobraźni siedziała. I wiedzieli, za co siedziała, więc teraz to oburzenie, szok powszechny, likwidowanie konta programu na Instagramie, wycofywanie go z różnych platform czy zamieszczanie wyjaśnień, że Dagmara prowadziła burdel, jest po prostu śmieszne i totalnie fałszywe.* I podrzuca link do forum na portalu Filmweb, gdzie „wisi" opis „Królowych życia". Dwa lata temu ktoś wrzucił w komentarzach do tego opisu link do informacji z 2020 r. – inna „królowa życia" Joanna P. została zatrzymana razem ze swoim konkubentem Adamem J. Polska Agencja Prasowa informowała, że gwiazda hitu TTV miała z partnerem wręczyć łapówkę prokuratorowi. Milion złotych. Zatrzymanie miało zaś związek z morderstwem 75-letniej kobiety – w 2014 r. – na warszawskiej Pradze.

Niejaki Pan Drabiniasty dwa lata temu te rewelacje skomentował krótko: „A jedną z głównych bohaterek jest Dagmara Kaźmierska, która była w przeszłości karana za sutenerstwo. Może nie byłoby nic złego w przywracaniu godności ex zbrodniarzom, gdyby nie fakt, że otrzymują reality show kręcone dla hajsu".

Do 26 kwietnia Dagmara Kaźmierska nie tylko występowała w hitowym „Tańcu z Gwiazdami" Polsatu i była znana z równie przebojowego programu „Dagmara szuka męża" w TV4. Udzielała wywiadów w „Vivie", bywała na galach, jak na tej organizowanej od 15 lat przez Mariusza Pujszę, gdzie odebrała statuetkę dla Osobowości Roku 2024. Była stałą bohaterką Pudelka, Plejady, Jastrząb Post, całej masy plotkarskich portali, gdzie gwarantowała dobrą klikalność. 1,2 mln obserwujących na Instagramie musiało robić wrażenie na wydawcach, redaktorach, producentach…

O swojej młodości opowiadała bez nadmiernego wgłębiania się w szczegóły. Te ujawniły dopiero teksty portalu Goniec. Autor pojechał do sądu w Świdnicy i przeczytał akta sprawy, w której Dagmara Kaźmierska została skazana na trzy lata więzienia (odsiedziała 14 miesięcy, zyskując za kratkami przydomek „Księżniczka"). Goniec z tej historii zrobił serial, podbijając bębenka w mediach społecznościowych. Bo nie tylko królowa życia wie, jak budować swoją rozpoznawalność…

W pierwszej części Daniel Arciszewski opisał historię niejakiej Marysi (imię ▶

▶ zmienione), jednej z kobiet, która pracowała w agencji towarzyskiej prowadzonej przez Kaźmierską. I zacytował jej zeznania w śledztwie: „Dagmara krzyczała na mnie i biła mnie rękami po całym ciele. Mówiła, że kurwa to nie człowiek, że pozabija nas wszystkich, że nikt nam nie pomoże. Jak skończyła, Ruski chwycił mnie za szyję i zaczął mnie straszyć, że jak jeszcze raz ucieknę, to on się mną zajmie. Zostałam zaciągnięta do pokoju i zamknięta na klucz". W drugiej części inna kobieta, też świadek w tej samej sprawie, zeznawała: „Krzyknęłam jej wtedy, że jestem w ciąży. Nie uwierzyła mi i dalej mnie biła. (...) Przewróciłam się, leżałam, ale Dagmara dalej kopała i uderzała mnie pięścią w plecy. Biła aż do momentu, gdy zaczęłam się dusić".

W tych historiach jest przemoc, narkotyki, gwałty, próby wytrwania się z biedy prowadzące wprost do piekła świata przestępczego. Nie ma tu telewizyjnych kamer, autografów, futer, zdjęć przy ścianach z celebryckich imprez.

Dr Michał Kotnarowski z Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk po chwili zastanowienia mówi wprost: – *Ta historia więcej mówi nam o mediach niż o społeczeństwie. Bo to media, rozumiane bardzo szeroko, sięgają po postacie, które, oględnie mówiąc, przekraczają obowiązujące społecznie normy. I bohaterami masowej wyobraźni stają się ludzie z pogranicza, nierzadko wprost ze świata przestępczego. Mam wrażenie, że w ten sposób zaspokaja się w „zwykłych" obywatelach jakieś mroczne potrzeby, które nigdy nie zostaną wyrażone, a już tym bardziej zrealizowane, ale gdzieś tam głęboko sobie drzemią.*

Kotnarowski przywołuje inne przykłady osób, które są obecne w mediach, dalej robią w nich specyficznie pojmowaną karierę i nikt nie kasuje programów z ich udziałem, ani nie wyjaśnia, że redakcja nic nie wiedziała o ich przeszłości. To chociażby Jarosław „Masa" Sokołowski, od 2000 r. świadek koronny, którego zeznania doprowadziły do rozbicia gangu pruszkowskiego, a który w 2004 r. wystąpił w telewizyjnym programie „Alfabet mafii". 10 lat później w Dzień Dobry TVN był gościem programu „Masa zdradza sekrety kobiet polskiej mafii", polsatowskiego formatu „Państwo w Państwie", a od 2016 r. wspólnie z Arturem Górskim wydaje książki o polskim świecie przestępczym. Z kolei Krzysztof Rutkowski wciąż funkcjonuje jako detektyw, choć licencję stracił dawno temu, a jego działalność oceniana jest krytycznie, co nie przeszkadza mu istnieć w popularnych mediach.

Medioznawca prof. Adam Szynol z Uniwersytetu Wrocławskiego również uważa, że historia Dagmary Kaźmierskiej powinna postawić pytania o odpowiedzialność mediów. Bo bez nich tej kariery by nie było. – *I oczywiście nie jest żadnym odkryciem, że media się bardzo mocno skomercjalizowały, a do tego trendu dołożył się powszechny dostęp do internetu. Platformy społecznościowe przyspieszają procesy kreowania nowych gwiazd i celebrytów* – mówi. I dodaje, że przykład Kaźmierskiej pokazuje, jak światy tzw. mediów tradycyjnych i mediów online wzajemnie się napędzają. Bo media tradycyjne szukają do swoich programów osób popularnych, czasami także kontrowersyjnych, zgodnie z regułą, że najbardziej przyciągają emocje. A przecież nie wywoła ich porządny i odpowiedzialny obywatel, którego życie nie różni się specjalnie od egzystencji większości innych porządnych i odpowiedzialnych obywateli.

Szalejów Dolny w Kotlinie Kłodzkiej. W tym domu Dagmara prowadziła agencję towarzyską.

– *Mediaworkerzy, ale także showrunnerzy, wyszukując nowe gwiazdy, idą po linii najmniejszego oporu. Nie sprawdzają dokładnie historii czyjegoś życia, a nawet jeśli w tym życiu jest sporo, mówiąc, kolokwialnie, nabrużdżone, to nawet lepiej. No bo taka postać z kontrowersyjną przeszłością, jak ma milion obserwujących na Instagramie, TikToku i innych podobnych platformach, to na pewno przyciągnie przed ekrany telewizora część tej publiki. I zrobi słupki oglądalności* – podkreśla Adam Szynol.

A Michał Kotnarowski dodaje: – *To wzmożenie moralne, jakiego jesteśmy świadkami, wcale nie oznacza, że ten... nagle zmienią się standardy i za jakiś czas... w jakimś programie znów nie obejrzymy... nowa pani Dagmara. Jeśli o wszystkim... cydują te mityczne słupki, to naprawdę... byłbym tutaj optymistą, nawet ostrożnym.*

I przypomina tragiczną puentę, jaką życie... napisało do formatu „Pamiętniki z wa... kacji", gdzie grała Dagmara Kaźmierska... To kultowy „mięsny jeż", który pojawił się... w 22. odcinku, zrealizowanym w 2012 r.... w hotelu Vistaflor w Maspalomas na Grand... Canarii. Ot, historia jakich wiele – rodzice... są na wakacjach z synem i synową, z którymi... nie przepadają. Młoda kobieta po jakiejś... sprzeczce na zgodę przygotowuje danie... owego mięsnego jeża. W 2014 r. Piotr... Wańko, grający skonfliktowanego z rodzicami Henia, popełnił samobójstwo. Nie... wytrzymał kpin i szyderstw. Media o jego... tragicznej śmierci poinformowały sześć... lat później.

Po wybuchu afery z Kaźmierską program „Dagmara szuka męża" został usunięty przez Polsat z ramówki i z platformy Polsat Box Go. Skasowano również „Pamiętniki z wakacji" z jej udziałem. Taką samą decyzję podjął Player – z oferty pozbyto się m.in. sezonów „Królowych życia", w których występowała Kaźmierska. A do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji wpłynęła skarga na „Taniec z Gwiazdami". Polsatowi zarzucono promowanie osoby z kryminalną przeszłością.

30 kwietnia Dagmara Kaźmierska na swoim profilu na Instagramie zamieściła wpis zilustrowany efektownym zdjęciem: „Kochani, nie odzywałam się do Was kilka ostatnich dni. Jestem tylko człowiekiem, potrzebowałam się zmierzyć z tym, co się wydarzyło. Jeszcze kilka dni temu byłam przedstawiana w Mediach jako Królowa, a obecnie jako najgorszy zwyrodnialec, bestia zasługująca na wieczne potępienie za okropieństwa, które RZEKOMO miałam popełnić.

Nigdy nie ukrywałam, że prowadziłam klub towarzyski. KLUB TOWARZYSKI – a nie miejsce do gnębienia kobiet!!! Kochani nie jestem w stanie opisać czy opowiedzieć Wam teraz tego w kilku słowach, zrobię to już niedługo.

Dziękuję za Wasze wsparcie i wiarę we mnie. ❣️ I pamiętajcie: Świat nie zawsze jest taki jak nam go przedstawiają...".

Wpis „polubiło" ponad 57 tys. obserwujących konto.

KATARZYNA KACZOROWSKA

ILUSTRACJA **IZA KUCHARSKA**

Rozmowa z psychologiem prof. Michałem Bilewiczem o tym, co łączy Polaków, Żydów i meksykańskich Indian, oraz skąd się bierze zbiorowy narcyzm i altruizm.

Bóle pamięci

JOANNA PODGÓRSKA: **– Po lekturze pana książki „Traumaland" można dojść do wniosku, że my, Polacy, jesteśmy zatruci historią.**

MICHAŁ BILEWICZ: – Unikałbym słowa „zatruci". Zatrucie sugeruje coś trwałego, z czym się nie da żyć. Wolę określenie „trauma historyczna". Jesteśmy trochę inni. Nie tylko my, Polacy, ale i inne narody czy grupy etniczne, które doświadczyły traumy. Kraje, które Snyder nazywa skrwawionymi ziemiami, doświadczyły ludobójstw, masakr, czystek etnicznych. W krótkim czasie zginęło tu kilkanaście milionów ludzi. Do tego wywózki, pacyfikacje, gwałty, obozy, egzekucje. Żyjemy na grobach i to determinuje nasze reakcje. Okres powojenny nie ułatwił ludziom psychologicznie sensownego wyjścia z tej traumy. Nie było wystarczającego wsparcia dla ofiar. Nie było też atmosfery, w której wszyscy mogliby otwarcie mówić o swoich doświadczeniach. Dopiero teraz, po latach, te tematy powracają i trafiają do centrum debaty publicznej. Samym ofiarom to już nie posłuży, ale działa retraumatyzująco na kolejne pokolenia zalewane martyrologią.

Jak ta trauma się objawia?

Doświadczenia historyczne wpływają na lęki, nieufność, podatność na teorie spiskowe, stosunek do władzy, prawa, instytucji, a jednocześnie na to, co Bogdan Wojciszke nazywa polską kulturą narzekania. To się przejawia zarówno na poziomie psychologicznym, jak i społecznym – instytucje mają problem z funkcjonowaniem, gdy nie mogą się cieszyć zaufaniem społeczeństwa.

Trauma pokolenia wojennego jest oczywista. Odbiła się na kolejnym pokoleniu przez nie wychowanym. Ale z tego, co pan pisze, wynika, że oddziałuje na następne generacje. Jak ona się przenosi?

To jest coś, co mnie czasami zaskakuje. Niedawno z moim doktorantem Damienem Stewartem zauważyliśmy, że poziom traumatyzacji wojennej jest bardzo wysoki w najmłodszym pokoleniu; czwartym po wojnie. Doszliśmy do wniosku, że te wcześniej przemilczane historie, także w rodzinach, sprawiały, że ludzie czuli, że coś jest nie tak; te nieopowiedziane historie rzutowały na ich codzienne funkcjonowanie. Po 1989 r. zaczynały być opowiadane w sposób trochę nadmiarowy. Z przekazami o żołnierzach wyklętych, torturowanej Ince, Pileckim młodzi mają kontakt niemal na co dzień. Stały się one rodzajem popkultury, ale też orężem politycznym. Donaldowi Tuskowi zarzucano, że reprezentuje interesy niemieckie. PiS w kampaniach grał obrazami z czasów okupacyjnych. W 2020 r. ▶

straszono, że Rafał Trzaskowski sprzyja organizacjom, które chcą odebrać mienie pożydowskie. To wzmagało poczucie lęku i niepewności.

Edukacja też chyba odgrywa tu pewną rolę?

Przeprowadziliśmy badania wśród kilkuset licealistów z Małopolski odwiedzających muzeum Auschwitz. Badaliśmy ich przed, bezpośrednio po wizycie i miesiąc później. Wśród kilkunastu procent tych młodych ludzi wystąpiły pełne objawy stresu pourazowego. Jako psycholog mam poczucie, że tematy martyrologiczne są często poruszane przez nauczycieli bez uprzedniego przygotowania, a jednocześnie program szkolny jest tą traumatyczną wiedzą przepełniony. Mamy opowiadania Tadeusza Borowskiego – bardzo ciężką literaturę, której autor popełnił samobójstwo, nie mogąc unieść ciężaru swojego doświadczenia. Zapisy ekstremalnych zbrodni są w polskiej edukacji wszechobecne. Tak brutalny film jak „Katyń" jest dopuszczony dla widzów od lat 12, „Wołyń" – od 15. roku życia. To może sprawiać, że masakry stają się czymś normalnym i zaczynamy je banalizować. I to do tego stopnia, że miejsca związane z martyrologią stają się swego rodzaju Disneylandami. Dla mnie takim przykładem są sztolnie kompleksu Riese, które były nazistowskim obozem pracy. A dziś rodziny pływają tu łódkami w podziemiach i jedzą kiełbaski z kuchni polowej. To trochę makabryczne, zważywszy że ginęły tam setki ludzi, zmuszanych do niewolniczej pracy.

Na ile polska trauma historyczna przypomina traumę izraelską? Z Żydami historia obeszła się jeszcze bardziej okrutnie.

Dla mnie to ważny punkt odniesienia, bo podobne badania i refleksje od dawna pojawiały się w pracach izraelskich psychologów, którzy badali, jak Izraelczycy reagują na swoją historię. Ona wytwarza w Izraelu rodzaj kolektywnej mentalności, którą nazwano mentalnością oblężonej twierdzy. To przekonanie, że wszyscy są przeciwko nam, wszyscy nam zagrażają i chcą nas skrzywdzić. W ostatnich dniach mogliśmy tego doświadczyć. Kolejne wystąpienia ambasadora Yakova Livne, po tym jak w Strefie Gazy zginął polski wolontariusz, były typowym przykładem narracji skierowanej do Izraelczyków, a nie do Polaków; miały stanowić potwierdzenie, że świat jest przepełniony antysemityzmem, wrogi i nie można na nikogo liczyć.

Tę samą retorykę słyszę czasem w Polsce, która ma się przygotowywać do wojny z Rosją, a niektórzy chcą to robić, odwracając się plecami zarówno do Niemiec, zepsutego, liberalnego Bidena, jak i tzw. eurokołchozu. To całkowicie dysfunkcyjne, ale wynika właśnie z mentalności oblężonej twierdzy, w której dominuje przekonanie, że w pewnym momencie zostaniemy zdradzeni przez wszystkich sojuszników. Ten przekaz płynie też z lekcji historii i tekstów kultury do kolejnego pokolenia.

Wieczne ofiary?

Osamotnione ofiary, które nie znajdą żadnego wsparcia. Na to nakłada się powszechne przekonanie, że jeśli ktoś jest ofiarą, to nie może jednocześnie być sprawcą. Stąd niechęć Izraelczyków do przyznania, że dokonali strasznej zbrodni na działaczach humanitarnych.

A część Polaków odrzuca świadomość, że mieliśmy coś wspólnego z Holokaustem.

To ten sam mechanizm. To emocja powszechna wśród społeczeństwa, na której politycy mogą bardzo łatwo żerować. Szczególnie ci, którzy sami są na bakier z moralnością, jak Beniamin Netanjahu. Podobnie w Polsce: politycy, którzy robili ogromne przekręty, choćby w Funduszu Sprawiedliwości, mają usta pełne frazesów o bohaterskich Polakach.

Pewnych paraleli między mentalnością polską i izraelską można się było spodziewać. Ale podobieństwo Polaków i Indian jednak zaskakuje.

Wspólnie z Justyną Olko, która jest specjalistką od kultury Indian Nahua i prowadzi wiele badań w Meksyku, chcieliśmy zobaczyć, jak wyglądała sytuacja różnych grup w okresie pandemii. Poziom lęku u Indian i Polaków był bardzo wysoki; wyższy niż u Czechów, Rosjan czy Niemców. Zaskoczyły nas podobieństwa: z jednej strony ogromna nieufność, z drugiej – stygmatyzacja, której doświadczały grupy mniejszościowe. W różnych krajach o szerzenie pandemii obwiniano mniejszości; szukano kozła ofiarnego. W Polsce to zjawisko dotknęło m.in. Ślązaków i imigrantów z Azji Wschodniej. I w Polsce, i wśród Indian dominowała niechęć do zaufania instytucjom. Ten wątek pojawia się w wielu badaniach Indian. Zresztą samo pojęcie traumy historycznej zostało ukute nie na podstawie badań nad Holokaustem, ale właśnie badań doświadczenia Indian.

Najbardziej znane badania ludności Lakota pokazują, że przywoływanie historycznych obrazów cierpień, utraty ziemi, kultury, języka powoduje, że Indianie nagle zaczynają wpadać w głęboką, fundamentalną nieufność wobec państwa, ale także lekarzy i psychoterapeutów. I nie są w stanie wystarczająco korzystać z dostępnych im usług publicznych. W efekcie dają się u nich problemy związane choćby z alkoholizmem, bardzo powszechnym wśród rdzennej ludności amerykańskiej. Myślę, że problemy z alkoholem w Europie Środkowo-Wschodniej też są sposobem odreagowania traumatycznych doświadczeń historycznych, ale również stylu funkcjonowania rodzin. Psychologowie kliniczni w Polsce wskazują, jak trauma historyczna wpływa na funkcjonowanie rodzin, na style przywiązania czy wychowania, np. nadopiekuńczość.

Drugie zaskakujące podobieństwo, o którym pan pisze, to źródła antysemityzmu wśród Polaków i belgijskich Kongijczyków.

To bardzo ciekawe badania, które podjęła Laura de Guissme na Uniwersytecie w Brukseli, a my do niej potem dołączyliśmy. Okazało się, że sytuacja wygląda podobnie w Polsce, Serbii i na Węgrzech. Szukaliśmy odpowiedzi na pytanie, z czego się bierze tak duża niechęć do Żydów w tych krajach. Szczególnie zastanawiające było to właśnie w grupie belgijskich imigrantów z Konga, która z Żydami nie miała przecież wiele do czynienia. I nagle pojawia się w niej zaciekły antysemityzm. Okazało się, że wynika to z poczucia, że ludobójstwo, którego doświadczyli Kongijczycy, potworne zbrodnie dokonane tam przez Belgów za czasów króla Leopolda II, nigdy na dobrą sprawę nie zostały wystarczająco przez Belgów zadośćuczynione. Nie ma pomników, nie ma miejsc pamięci. Kongijczycy mieszkający w Belgii czują, że cała pamięć została zawłaszczona przez historię Holokaustu. Jedyne ludobójstwo, które jest godnie upamiętnione w Belgii, to ludobójstwo Żydów. Może dlatego, że – pomijając wątki związane z kolaboracją – nie dokonali go Belgowie. Łatwiej upamiętniać cudze zbrodnie, niż rozliczać się z własnych.

Belgijscy Kongijczycy przenieśli swoją niechęć na Żydów, czując, że ci zabrali im pamięć. To myślenie w kategoriach gry o sumie zerowej – jak jeden wygrywa, to drugi przegrywa. Ludzie myślą w ten sposób o historii i pamięci narodów. A przecież to właśnie uznanie ludobójstwa, jakim był Holokaust, doprowadziło do powstania regulacji prawnych, które pozwalają kolejne takie zbrodnie uznać za ludobójstwo i zobligować narody do interweniowania i rozliczania sprawców. Tacy zbrodniarze, jak Slobodan Milošević, nie zostaliby osądzeni, gdyby Rafał Lemkin nie stworzył definicji ludobójstwa i nie powstałby Międzynarodowy

© ALBERT ZAWADA/AGENCJA WYBORCZA.PL

Trybunał Karny w Hadze. Powszechne uznanie Holokaustu ułatwiło więc, a nie utrudniło, uznanie zbrodni doznanych przez inne nacje.

Polacy też postrzegają Żydów jako rywali do pamięci?

Tak to wygląda w Serbii, na Węgrzech czy właśnie w Polsce, gdzie dominuje poczucie, że narodowe traumy historyczne nie zostały powszechnie uznane. Moja książka jest po części próbą przywrócenia świadomości, że jesteśmy narodem straumatyzowanym; niezydowscy Polacy także mają swoją tragedię do opowiedzenia. Lokalnie o tym mówimy, ale globalnie – nie. Za każdym razem, gdy prowadzę zajęcia z amerykańskimi studentami, uderza mnie skala ich niewiedzy na temat losu Polaków w czasie okupacji. Jeśli wiedzą cokolwiek, to o powstaniu w getcie warszawskim, ale mało kto słyszał o powstaniu warszawskim.

Czy trauma historyczna sprawia, że na tle innych nacji Polacy mają wyższy poziom PTSD?

W Polsce wysoki poziom PTSD to w pewnym sensie zjawisko społeczne, które wynika z tego, jak wygląda nasza kultura i jak często przywołuje ona obrazy traumatycznej historii. Badania populacyjne, m.in. te prowadzone niedawno przez zespół prof. Marcina Rzeszutka, szacują ryzyko występowania klinicznego PTSD wśród Polaków na kilkanaście procent populacji. To bardzo dużo i skłania psychologów do zadawania pytań, z czego to wynika. Wygląda na to, że właśnie z retraumatyzacji; z tego, jak często Polacy są konfrontowani z pamięcią wojny i martyrologią. A to wytwarza pewien poziom nadwrażliwości.

Wysoki poziom PTSD sprzyja także wrogości czy przyzwoleniu na przemoc.

Traumatyczna historia przekłada się na większą wrogość i niechęć do obcych. Ale paradoksalnie w pewnych sytuacjach – na większy altruizm i chęć pomocy obcym. To, że Polacy tak bardzo zaangażowali się w niesienie indywidualnej pomocy uchodźcom z Ukrainy, można powiązać z typowym stylem reagowania straumatyzowanych społeczeństw. Nie oczekujemy, że państwo za nas coś załatwi, bo fundamentalnie nie ufamy, że działa na naszą korzyść i będzie nas wspierało. Stąd w momentach kryzysu następuje bardzo duży poziom samoorganizacji. Polacy działają wtedy tak, jakby państwa nie było. Szwedzi czy Norwegowie zakładają, że państwo zbuduje ośrodki dla uchodźców i „ogarnie" problem. W Polsce ta nieufność okazała się zbawienna, bo fala uchodźców była tak ogromna, że żadne państwo by sobie z tym nie poradziło.

Michał Bilewicz – psycholog społeczny, socjolog, profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie wykłada na wydziale psychologii. Kierownik Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW.

To, co się stało w Ukrainie, uruchomiło w naszej zbiorowej wyobraźni stare skrypty wojenne?

To zjawisko jest opisywane jako altruizm zrodzony z cierpienia, typowe dla straumatyzowanych grup. One często odreagowują swoją historię przez pomoc innym. To widać także wśród indywidualnych osób, które doświadczyły jakiejś tragedii – dużo częściej angażują się w działania organizacji społecznych czy wolontariat. Próbują przez to odzyskać poczucie sprawstwa, które utracili. Niedawno czytałem wywiad z 16-latką, która była wśród porwanych przez Hamas 7 października. Opowiadała, że nic od niej nie zależało, i że najgorsze w tym doświadczeniu nie były nawet głód ani przemoc, lecz właśnie poczucie skrajnej bezradności. Altruizm czasem pomaga kompensować poczucie bezradności, którego doświadczyły pokolenia Polaków.

Psychologia diagnozuje też wysoki poziom zbiorowego narcyzmu w naszym społeczeństwie. Znów wina historii?

Tak, bo zbiorowy narcyzm też jest następstwem utraty poczucia sprawstwa. U bezradnego człowieka zaczyna się wytwarzać narcystyczne przywiązanie do narodu czy grupy, w której funkcjonuje. Pojawiają się urojone wyobrażenia o wielkości, potędze, nieskalanej moralności grupy. Narcyz jest strasznie wyczulony na jej krytykę. Reaguje furią na krytyczne oceny swojego narodu. To bardzo częste w straumatyzowanych społeczeństwach.

Z badań wynika, że jesteśmy dumni z narodowej przynależności, a jednocześnie towarzyszy temu negatywny autostereotyp Polaka. Trochę to nielogiczne.

Te badania prowadził już na przełomie lat 80. i 90. Paweł Mlicki wraz z holenderską psycholożką Naomi Ellemers. Byli zaskoczeni, że polscy studenci, pytani, jaki jest typowy Polak, podawali same negatywne cechy: pijak, złodziej, brudas. A potem, zapytani, na ile ważne jest dla nich bycie Polakami, odpowiadali, że bardzo. Dla młodych Holendrów od przynależności narodowej ważniejsze było bycie studentem, kobietą czy mężczyzną, mimo że pytani o cechy typowego Holendra, wymieniali same pozytywy: oszczędność, pracowitość, zaradność. Polacy lubią narzekać na rodaków, hołdując jednocześnie przekonaniu, że polskość jest czymś szalenie ważnym. Może jest w tym pewien wątek patriotyzmu krytycznego; chcemy, żeby nasz naród był lepszy. Ale myślę, że główną rolę odgrywa tu jednak kultura narzekania.

Swojej historii nie zmienimy. To jak leczyć tę traumę?

Historii – nie, ale świadomość historyczną już tak; w każdym razie warto ją trochę zmodyfikować. Możemy zmieniać podstawy programowe nauczania historii. Z historii każdego narodu można wydobyć więcej epizodów sprawczych, wielkich odkryć naukowych, historii przedsiębiorców czy ludzi kultury. Albo można ją opisywać jako niekończące się pasmo cierpień i martyrologii. Dobrze, gdybyśmy potrafili opowiedzieć naszą historię w sposób prawdziwy. Nie przemilczać cierpień, ale też nimi nadmiernie nie epatować, bo to prowadzi do przekonania, że martyrologia jest esencją polskości; jedynym, co w naszej historii się liczy.

Myślę też, że warto częściej schodzić z poziomu historii państwa na poziom historii lokalnej. Nie jest tak, że Polska ma jednolitą historię. Inaczej wyglądała ona w różnych zaborach. Powstania, insurekcje, studenckie bunty czy internowania były doświadczeniem wąskiej grupy. Jednak trauma wojenna jest traumą powszechną, która dotknęła wszystkich warstw społecznych i całego obszaru kraju. Polaków znów tak wiele nie łączy. Nie jesteśmy wspólnotą krwi czy kultury, tym bardziej wspólnotą polityczną. Nasze państwo posklejane jest z różnych tożsamości, ale doświadczenie wojny jest wspólne. To kluczowy element polskiej opowieści. Inne traumy to didaskalia.

Tylko czy dziś, gdy zagrożenie wojną znów stało się realne, to dobry czas na leczenie traumy?

Ważne, jak o nim mówimy. Gdy chcemy wpłynąć na zachowania ludzi, nie powinniśmy wyłącznie straszyć wojną, ale proponować, co zrobić, by zapewnić sobie pokój czy bezpieczeństwo – inwestować w armię, budować schrony, wzmocnić relacje z partnerami w NATO. Mówienie o tym, co możemy zrobić, daje poczucie sprawstwa, a ono jest tu kluczowe.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

© ALBERT ZAWADA/AGENCJA WYBORCZA.PL

Klucz w ziemi

Przegoniliśmy Europę, w Polsce mieszkania drożeją najszybciej. Jednym z głównych powodów ma być brak działek budowlanych. To nieprawda. W Wiedniu mieszka o wiele więcej ludzi, a miasto zajmuje ledwie połowę powierzchni Warszawy.

JOANNA SOLSKA

Gruntów nadających się pod budowę mieszkaniówki nie brakuje, ale rząd PiS je „zabetonował". Państwowi właściciele nie chcą, żeby trafiły na rynek, prywatnym utrudniają sprzedaż ziemi prawo i samorządy lokalne. Państwo jest jak pies ogrodnika – samo nie buduje, innym utrudnia. – *Na rynku pojawiają się grunty prywatne, dla których najczęściej nie ma planów miejscowych, więc po co kupować działkę, jeśli nie wiadomo, czy można będzie zbudować na niej blok?* – pyta retorycznie Artur B., rzeczoznawca zajmujący się wyceną działek budowlanych. Na zarobki nie narzeka, więc zastrzega nazwisko do wiadomości redakcji.

Radzi przyjrzeć się warszawskiej Białołęce. Właścicielami części atrakcyjnych działek są deweloperzy, którzy kupili je, zanim rząd PiS uchwalił ustawę o ustroju rolnym, zamrażającą obrót ziemią. Chcieli zdążyć przed jej wejściem w życie. Teraz czekają, bo nie mogą rozpocząć budowy, działki są rolne. Białołęka jest

© ADAM STEPIEŃ/AGENCJA WYBORCZA.PL

gminą warszawską, a w dużych miastach gruntów nadających się pod budownictwo wielorodzinne nie trzeba już odrolniać, tak postanowił rząd PO-PSL w 2008 r. W czym więc problem? Jest haczyk, wmontowany w prawo przez PiS – działka przestaje być rolna, jeśli teren jest objęty miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego. Na 70 proc. powierzchni Białołęki go nie ma. W całym kraju jest jeszcze gorzej. Czyli grunty są, ale budować mieszkań nie ma na czym.

Wściekli są rolnicy, którzy zdecydowali się sprzedać ojcowiznę dopiero teraz. Obchodzą prawo, oferując klientowi najwyżej hektar. Cena – co najmniej 500 zł za metr. Rzeczoznawca taki jak Artur B. potwierdza, że wysoka cena za działki w tym miejscu nie jest wygórowana, przecież nabywca nie będzie tu sadził kapusty, tylko postawi bloki. Ale dziś nikt nie zapłaci tyle za grunt, na który nie ma planu. A więc działki miejskie są, deweloperzy chętnie by na nich budowali, tylko nie wiedzą, ile lat będą musieli czekać na plan. Na zamrożonej ziemi nie zarobią. Wyjściem są tzw. wuzetki (warunki zabudowy), ale polityka udzielania ich przez gminy jest mocno nieprzejrzysta, zachęca do korupcji.

Ani mieszkań, ani kapusty

Wiarygodność tezy Artura B., że w Polsce działek budowlanych jest mnóstwo, potwierdza ogólnodostępny geoportal.gov.pl. Otwieramy mapę Poznania, w środku miasta spory zielony obszar – to Kobyle Pole, atrakcyjne miejsce pod mieszkaniówkę, ponad 60 ha. Mogłoby tu powstać piękne osiedle, dobrze skomunikowane z resztą miasta. Na zielono zaznacza się grunty należące do państwowego Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa.

Kobyle Pole jest działką rolną, co w tym miejscu także nie byłoby przeszkodą, aby zbudować na niej bloki wielorodzinne, gdyby ten kawałek miasta objęty był miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego. Gdyby KOWR chciał to sprzedać inwestorowi, miasto mogłoby szybko wykonać tzw. plan punktowy, ale KOWR za rządów PiS sprzedawać działki nie zamierzał, a wykonanie planu kosztuje, więc miasto planu nie robiło. Atrakcyjny dla budownictwa kawałek miasta pozostaje nie do ugryzienia.

Kobyle Pole nie jest jedyną działką rolną utrudniającą rozwój miasta. W samym Poznaniu, w dzielnicy Naramowice, KOWR ma kilkaset działek na ponad 100 ha. Część z nich ma nawet plan zagospodarowania, ale KOWR jest jak pies ogrodnika – nie sprzeda. Nie tylko w Poznaniu, ale nawet w Warszawie. – *Aż 80 ha na warszawskim Targówku oraz ponad 70 ha na Augustówce także jest własnością KOWR* – uzupełnia rzeczoznawca. KOWR to zatem właściciel sporego kawałka kraju i do tej pory chciał, żeby tak zostało.

Rząd PiS powołał KOWR do życia, żeby nie wykupili nas obcy. Przekazał mu wszystkie należące do państwa grunty rolne i pozwolił, aby położył łapę także na prywatnych. Na wszelki wypadek wstrzymał też całkowicie obrót ziemią rolną. Od tej pory brak terenów pod budowę mieszkań staje się coraz bardziej odczuwalny, a ceny rosną. Nawet jeśli swoją ojcowiznę chce sprzedać rolnik, prawo pierwokupu jego ziemi ma KOWR. Rygorystyczne prawo nie dotyczy wszystkich.

Z audytu, jaki sporządził już nowy rząd, wynika, że niektóre osoby, bliskie władzy, atrakcyjne kawałki ziemi rolnej, której nie mogli kupić rolnicy, kupowały jak najbardziej. Daniel Obajtek z synem nakupili ziemi m.in. w gminie Choczewo, żeby wnieść ją do… Fundacji Rodzinnej. Wprawdzie ustawa mówi, że nierolnik ziemi rolnej kupić nie może, ale Obajtkowi KOWR sprzedał błyskawicznie. Według tej samej ustawy rolnik, któremu KOWR kupić ziemię pozwoli, nie może jej sprzedać przez pięć lat. Obajtkowi na sprzedaż gruntu synowi pozwolono szybko. Dziwnych transakcji działkami rolnymi jest więcej. Ziemi dla swoich nie brakowało.

Gdyby tylko uwolnić grunty budowlane, którymi PiS wywianował kolejną, powołaną przez jego rząd instytucję państwową – Krajowy Zasób Nieruchomości – w ciągu dwóch lat mogłoby powstać na nich 180 tys. nowych mieszkań – czytamy w raporcie Najwyższej Izby Kontroli. KZN miał budować tanie mieszkania na wynajem, nic z tego nie wyszło. Ale atrakcyjnych gruntów się nie pozbywa. W Warszawie w okolicy ul. św. Wincentego i Gilarskiej KZN otrzymał przed pięciu laty działkę, gotową do zabudowy pod bloki wielorodzinne. Dobrze skomunikowaną z resztą miasta, z dostępem do szkół, przedszkoli, sklepów i przychodni. Jest także miejscowy plan zabudowy, czyli wszystko, co potrzebne, aby zacząć stawiać domy. Chętnych do zamieszkania w tej okolicy będzie wielu. A jednak nic się nie dzieje. Jakby szefostwo tej firmy, opanowanej w czasach poprzedniego rządu przez partię Adama Bielana, liczyło, że jakoś się te atrakcyjne grunty uda sprywatyzować.

Spore zasoby ziemi są także w największych spółkach kontrolowanych przez państwo, takich jak PKP czy Poczta Polska. One także wolą je trzymać na czarną godzinę, choć Poczta, będąca w bardzo złej sytuacji finansowej, jedną z działek już sprzedała. Samorządy lokalne także mają tereny pod zabudowę, brakuje jednak pieniędzy na budowę bloków. Specustawa, tzw. lex deweloper, dała im możliwość sprzedania działek w zamian za wybudowane na nich mieszkania. Zdaniem władz lokalnych taka transakcja jest dla nich zbyt ryzykowna. Po pierwsze – grunt trzeba deweloperowi sprzedać, co zawsze wiąże się z zarzutem, że za tanio. Po drugie – sytuacja, że na gruncie dewelopera i w jego osiedlu część mieszkań będzie należała do gminy, może w przyszłości powodować konflikty. Obawy są spore, na wymianę „grunt za mieszkania" zdecydowały się zaledwie trzy gminy, w tym Gdańsk, który nie chce mieszkań, tylko przedszkole.

Wuzetka daje władzę

Im mniej jest działek, na których można budować, tym szybciej rosną ich ceny. W cenie 1 m kw. mieszkania aż 20 proc. stanowi cena gruntu, w Warszawie zaczyna przekraczać 30 proc. Podaż gruntów zwiększyłaby się od razu, gdyby gminy szybciej uchwalały plany. Ich włodarze oficjalnie twierdzą, że to żmudne i kosztowne, więc szybko się nie da. Słychać też jednak głosy, że planów nie robią celowo, gdyż… pozbawiają ich władzy. Jeśli inwestorzy wiedzą, co można w danym miejscu postawić, nie muszą już zabiegać o przychylność wójta czy burmistrza. Zrobienie planu uniemożliwia albo przynajmniej utrudnia korupcję. Wójt jednej z podwarszawskich miejscowości mówi wprost: – *Jak zrobię plan, to pozbawię się władzy*. Brak planu wcale bowiem nie oznacza, że nic się nie buduje. Królują wuzetki, czyli wydawane przez gminę warunki zabudowy. Miały przyspieszać proces inwestycyjny, spowodowały bałagan i korupcję. Na wuzetkach buduje się cały obwarzanek wokół Warszawy. Powstają takie dziwolągi jak dom jednorodzinny o długości 200 m.

W Warszawie przy ul. Oszmiańskiej na Targówku planów nie było, a deweloper chciał zarobić i postarał się o wuzetkę. W okolicy stoją domy czterokondygnacyjne, więc warunki zabudowy nowych bloków powinny być podobne – zapewnia rzeczoznawca. Tymczasem deweloper dostał zgodę na 12-piętrowe. Gdyby dzielnica zrobiła rzetelny plan zagospodarowania, to w tym miejscu bloków w ogóle być nie powinno. Stoją w zbyt bliskim sąsiedztwie wysokich transformatorów, które buczą, a w czasie burzy pełnią funkcję piorunochronów. Mieszkania wcale nie były tanie, ale blisko metra, więc znalazły nabywców. Teraz ludzie narzekają na uciążliwe sąsiedztwo.

Wuzetki pozwalają deweloperom na więcej, niż pozwalałby plan, o czym nabywcy mieszkań nie zawsze wiedzą. Że np. jeśli ich okna wychodzą na zaplecze wielkiej sieci handlowej, ▶

© ADAM STĘPIEŃ/AGENCJA WYBORCZA.PL

▶ to od bloków mieszkalnych powinna je oddzielać zielona strefa buforowa szerokości co najmniej 10 m. Wuzetki, przy dobrych układach z gminą, często ten wymóg pomijają. W planie nie do pomyślenia, ale bywają wuzetki, które zezwalają nawet na budowę osiedla 4 m od ruchliwej szosy.

Panuje opinia, że wuzetki są wygodne zarówno dla gminy, jak i dla deweloperów. Gmina może stawiać inwestorom dodatkowe warunki. Często są to warunki niekorzystne dla mieszkańców, a korzystne dla inwestora. Tak było przy budowie Miasteczka Wilanów, gdzie napisano, że deweloper szkołę wybudować może, ale nie musi, więc nie zbudował. Bartosz Rozbiewski, p.o. dyrektor Biura Architektury i Planowania Przestrzennego Warszawy, przyznaje, że jest to niezbyt transparentny proces ustalania zagospodarowania terenu. W dodatku odbywa się bez udziału mieszkańców. Do urzędu przychodzi inwestor i zgłasza, że chciałby coś wybudować. Jeśli nie ma planu, miasto sprawdza, co znajduje się w okolicy, i na tej podstawie ocenia, czy dana inwestycja wpisuje się w kontekst.

Wuzetki miały być narzędziem awaryjnym, a w praktyce zastąpiły plany. Cały teren wzdłuż Wału Miedzeszyńskiego na wschód zabudowany jest na wuzetkach, bez niezbędnej infrastruktury. Często się też zdarza, że na tym samym terenie określają one zupełnie odmienne warunki. Sprawy trafiają do sądów i ciągną się latami. Plan zaczyna się od przejrzenia sieci dróg. Autorzy wuzetek infrastrukturą przeważnie się nie interesują – bywa, że do najbliższej drogi trzeba dojść nawet 800 m.

Plan do kosza

Paulina Chmielewska, dyrektorka w Develii, dużej firmie deweloperskiej, która buduje mieszkania w największych miastach kraju, nie godzi się z opinią, że wuzetki są wygodne dla jej branży. – *Nasz wniosek o pozwolenie na budowę na warszawskim Bemowie leży w architekturze od 2021 r.* – twierdzi. – *Zobowiązaliśmy się zbudować kawałek drogi publicznej, ale ciągle nie jesteśmy w stanie podpisać umowy.* W Warszawie uzgodnienia administracyjne wydłużyły się już do kilku lat.

Piotr Tarkowski, członek zarządu firmy deweloperskiej Allcon z Trójmiasta, narzeka, że zarówno dla dewelopera, jak i jego klientów wuzetka jest czymś w rodzaju randki w ciemno. – *Plan miejscowy daje mi gwarancję, że będę mógł inwestycję zrealizować. Przy wuzetce takiej gwarancji nie ma.* W konsekwencji gwarancji nabycia mieszkania nie ma również klient wpłacający pieniądze. Deweloper nie podpisuje z nim bowiem normalnej umowy, tylko porozumienie warunkowe. Jeśli mieszkańcy oprotestują wuzetkę i blok nie powstanie, klient nie otrzyma kluczy do upragnionego mieszkania. Niechęć do robienia planów miejscowych wynika także z obaw gminy przed protestami mieszkańców, gdyż plan trzeba im udostępnić do wglądu. Wydanie wuzetki przesuwa protesty na później, a uwagi adresowane są już do inwestora.

W Warszawie wuzetki na duże inwestycje wydaje prezydent, czyli ktoś w jego imieniu, na mniejsze – burmistrzowie każdej z 18 dzielnic. Im więcej wuzetek, tym większa korupcja i chaos w mieście. Stolica pokryła planami już 44 proc. powierzchni miasta, samorząd chciałby wuzetki wyeliminować.

Ulica Traugutta, Szybka i rzeka Oława to samo centrum Wrocławia. Miasto w planie miejscowym zapisało, że teren zostanie zabudowany blokami wielorodzinnymi czterokondygnacyjnymi, podobnie jak w sąsiedztwie. Deweloperzy ostrzyli sobie na niego zęby, ale czekali, aż sprzedawca obniży cenę, przy takiej wysokości budynków wydawała się za wysoka. Okazało się, że atrakcyjną działkę kupił handlarz. I wtedy Rada Miasta postanowiła plan zmienić. Zamiast budynków czteropiętrowych powstają tu kilkunastopiętrowe wieżowce, najwyższy, 17-piętrowy, ma mieć 65 m wysokości. Zabudowa będzie gęściejsza, okoliczni mieszkańcy stracą część miejsc parkingowych, wieżowce zacienią im ruch... kania. Plan wyrzucono do kosza. Mieszkańcy bezskutecznie pro... testowali przeciwko zmianom, zadając przy okazji kilka pyta... na które od prezydenta Jacka Sutryka nie uzyskali odpowied...

Wartość terenu przy Traugutta gwałtownie wzrosła, wie... ze zmianą planu jego zagospodarowania. Dlaczego nie pozos... mowano o tym, zanim działka została kupiona przez prywatne... nabywcę, a potem sprzedana przez niego za cenę kilkakrotnie wyższą? Dlaczego rada miasta zrobiła mu tak kosztowny prezent? Jakie racje przemawiają za tym, żeby na działce przeznaczonej pod budownictwo mieszkaniowe powstawały apartamenty z ceną 30 tys. zł za metr oraz penthouse'y na wynajem?

Tomasz Stoga, szef wrocławskiego dewelopera Profit Develop... ment, miał sytuację odwrotną, tyle że na Białołęce. Kupił działkę pod budowę bloków wysokich, zgodnie z planem miejscowym. Gmina jednak postanowiła teraz plan zmienić. – *Mieszkańcy nie chcą bloków, boją się, że korki w dzielnicy będą jeszcze większe. Wolą, żeby w tym miejscu powstało osiedle domków jednorodzinnych* – wyjaśnia Stoga. Deweloperowi na drogiej działce opłaciłoby się budować bloki czteropiętrowe, na jednorodzinnych nie zarobi. Teren porośnie krzakami, jak wiele innych miejsc na Białołęce.

W planach miejscowych – jeśli są – zbyt dużo terenów miejskich przeznaczono pod usługi, a za mało pod budownictwo mieszkaniowe. Mieszkańcy potrzebują mieszkań, ale duże miasta wolą biurowce (na które obecnie popyt jest mniejszy). Wytłumaczenie jest proste – podatki od działalności gospodarczej są o wiele wyższe niż od mieszkań, a pseudoreformy podatkowe PiS oskubały samorządy z pieniędzy do cna.

Działalność w mieszkaniu

Trzech wrocławskich deweloperów kupiło działkę przeznaczoną na usługi. Dogadali się z radą osiedla, że zrobią drogi dojazdowe, potrzebną infrastrukturę i wybudują w tym miejscu kilkaset mieszkań, tylko proszą o zmianę planu. Na decyzję gminy czekają już trzy lata. Na działce rosną chwasty. Słynna patodeweloperka Hongkóng w Warszawie przy ul. Kasprzaka także powstała w miejscu zarezerwowanym w planie pod usługi. Bloki niemalże zachodzą na siebie, a mieszkania o powierzchni kilkunastu metrów nie spełniają norm, żeby się tak nazywać. Dlatego nabywca nie może się w nich zameldować. Winowajcą, oczywiście, jest deweloper, ale czy naprawdę gmina nie wiedziała, co buduje? Problem zostanie rozwiązany w prosty sposób, plan nie będzie nawet zmieniony. J.W. Construction nie sprzedaje mieszkań, tylko pomieszczenia hotelowe. W budynkach prowadzona będzie działalność gospodarcza, od której gmina otrzyma wyższy podatek niż od mieszkań, więc przymyka oko.

Mieszkania nie powstaną nawet w tzw. plombach, czyli w przerwach między domami. W trosce o mieszkańców wydano bowiem przepis, że przy blokach powyżej 21 mieszkań deweloper musi zorganizować plac zabaw dla dzieci. Więc wiele plomb nie zostanie zabudowanych – jest zbyt mało miejsca, odległość placu od okien mieszkańców byłaby mniejsza niż 10 m. Zamiast plomby między domami wyrosną pokrzywy.

Polak na całe życie zaciąga kredyt, ale nie może się nawet dowiedzieć, na co wydał te pieniądze. Czy nad jego balkonem wkrótce nie zawiśnie balkon sąsiada z bloku naprzeciwko albo nawet, czy tuż obok nie powstanie autostrada. Nie ma planów. Polska buduje się na wuzetkach, a obywatele, patrząc na działki porastające krzakami, mają wierzyć, że w kraju brakuje ziemi. Polska się skurczyła?

JOANNA SOLSKA

Sa

Latamy
straty
są nav
połącz

L

skorzy
o praw
W pier
lotnis
wództ
12 tys
chwal
wyśm
teraz
przev
lonej

Rz
Każd
loka
nicy
łącz
za t
cza
na k
w s
sko
wo
– p

© PIOTR PŁACZKOWSKI/REPORTER

Samolot plus

CEZARY KOWANDA

Latamy coraz więcej, ale małe lotniska wciąż przynoszą straty pokrywane przez podatników. Lokalne władze są nawet gotowe dopłacać liniom do deficytowych połączeń – oczywiście też z kieszeni mieszkańców.

Lotnisko w Babimoście koło Zielonej Góry rośnie jak na drożdżach. To najmniejszy z polskich portów, który ma regularne połączenia pasażerskie. W ubiegłym roku skorzystało z nich 54 tys. podróżnych, o prawie 30 proc. więcej niż w 2022 r. W pierwszym kwartale tego roku przez lotnisko należące do samorządu województwa lubuskiego przewinęło się już 12 tys. pasażerów. Lokalne władze się chwalą, że pod względem tempa wzrostu wyśmiewany przez wiele lat port zajmuje teraz drugie miejsce w Europie. Czy zatem przewoźnicy wreszcie odkryli, że koło Zielonej Góry znajduje się lotnicze eldorado?

Rzeczywistość wygląda nieco inaczej. Każdy odlot z tego portu hojnie dotuje lokalny samorząd, czyli lubuscy podatnicy. Na przykład LOT oferuje sześć połączeń w tygodniu do stolicy, ale dostanie za to w tym roku prawie 13 mln zł. Oznacza to ok. 250 zł dotacji w przeliczeniu na każdy udostępniony do sprzedaży fotel w samolocie. W ub.r. pasażerowie mogli skorzystać z połączeń narodowego przewoźnika do Krakowa, Gdańska i Zadaru – podatnicy zapłacili za to ponad 6 mln zł.

Była już marszałkini województwa lubuskiego Elżbieta Polak chwaliła się nawet, że łącznie region dopłacił tylko w 2023 r. do połączeń 24 mln zł. Nieoficjalnie samorządowcy przyznają, że bez takich prezentów z Zielonej Góry żadnych lotów by nie było. Bo z biznesowego punktu widzenia takie lotnisko, w województwie liczącym już poniżej miliona mieszkańców, po prostu nie ma najmniejszego sensu.

Tymczasem ambicje lubuskich władz są coraz większe. Tego lata pojawią się połączenia do Albanii, Turcji i Tunezji. Też oczywiście dotowane według prostego mechanizmu. Samorząd ogłasza przetargi na tzw. promocję regionu na pokładach samolotów latających w określonych kierunkach. Zgłaszają się do nich linie lub biura podróży, które inkasują pieniądze, a w zamian Babimost może się pochwalić coraz większą liczbą startów i lądowań. – *Promocja regionu lubuskiego to jedyna zgodna z przepisami możliwość współudziału województwa w zapewnianiu Lubuszanom i nie tylko im dostępu do lotniczych połączeń krajowych i zagranicznych* – przekonuje Paweł Kozłowski, rzecznik prasowy Zarządu Województwa Lubuskiego. Trudno tylko przypuszczać, że tłumy Albańczyków, Turków czy Tunezyjczyków, skuszonych taką reklamą, odwiedzą Zieloną Górę i okolice.

Puste porty

Ten region nie jest zresztą odosobniony w takiej, dość desperackiej, próbie zwiększania popularności małych lotnisk. Podobnie postępuje województwo kujawsko-pomorskie, aby wesprzeć bydgoski port. Obecnie obowiązują aż trzy kontrakty: roczny z LOT-em (prawie 9 mln zł), dwuletni z węgierskim Wizz Airem (12 mln zł) i prawie czteroletni z irlandzkimi liniami Ryanair, wart aż 27 mln zł. – *W ramach tych umów wykorzystujemy potencjał promocyjny, jakim dysponują korzystające z bydgoskiego lotniska przedsiębiorstwa lotnicze, do promowania zasobów turystycznych i gospodarczych województwa kujawsko-pomorskiego. W ten sposób staramy się zwiększyć atrakcyjność i rozpoznawalność naszego regionu w kraju i za granicą. Wykupujemy konkretną usługę promocyjną, co nie jest w żaden sposób formą dotacji czy wsparcia dla tych przedsiębiorców* – podkreśla Olgierd Sobkowiak, dyrektor Departamentu Zamówień Publicznych, Nadzoru Właścicielskiego i Inwestycji w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Kujawsko-Pomorskiego. Efekt? Z Bydgoszczy można polecieć LOT-em do stolicy, liniami Ryanair do Bristolu, Birmingham i Londynu, a liniami Wizz Air… też do Londynu. Oferta raczej skromna (chyba że ktoś ▶

lubi często odwiedzać Wielką Brytanię), ale pewnie bez dopłat byłoby jeszcze gorzej.

Zgodnie z przepisami unijnymi bezpośrednie dotowanie połączeń lotniczych możliwe jest tylko w wyjątkowych przypadkach – na przykład gdy chodzi o wyspy odległe od stałego lądu (jak w Grecji), aby ułatwić ich mieszkańcom poruszanie się po kraju. W Polsce żadna trasa nie mogłaby być subsydiowana z publicznych pieniędzy. Niektórzy pomysłowi samorządowcy wykorzystują zatem tę marketingową furtkę. Inni starają się przyciągać linie lotnicze bardzo niskimi opłatami za korzystanie z pustych lotnisk. Niestety obie te strategie są kosztowne, a ich efekty mizerne.

W Polsce szereg regionalnych lotnisk przynosi straty. Trudno zarabiać, jeśli rocznie obsługuje się poniżej miliona pasażerów. Tymczasem w ubiegłym, bardzo dobrym dla polskich lotnisk roku, port w podszczecińskim Goleniowie miał niespełna 500 tys. pasażerów, ten w podlubelskim Świdniku ok. 400 tys. podróżnych, a w Bydgoszczy i Łodzi było ich nieco ponad 350 tys. Najsłabiej, oczywiście poza Babimostem, wypadło lotnisko w Szymanach niedaleko Olsztyna (142 tys. pasażerów).

Ten port w samym 2022 r. stracił 18 mln zł, a łącznie w ciągu siedmiu lat, jak wyliczył portal Rynek Lotniczy, aż 146 mln zł. Danych za 2023 r. nie ma, ale z pewnością nie były wiele lepsze. Wszystko wskazuje na to, że i ten rok okaże się bardzo mizerny. Zwłaszcza że od kwietnia port o dumnej nazwie Olsztyn-Mazury stracił dwa połączenia Wizz Aira (do Dortmundu i Londynu). Pozostały tylko loty Ryanaira do Londynu i LOT-u do Krakowa (oba kierunki po dwa razy w tygodniu). Latem dojdzie co prawda jeszcze skromna oferta czarterowa, ale niewiele pomoże niemal pustemu lotnisku, które miało być dumą regionu. Działalność rozpoczęło w 2016 r., a lokalni samorządowcy zapowiadali, że dzięki niemu Mazury poznają tłumy zagranicznych turystów. Niestety siatka połączeń okazała się niewystarczająca, aby lotnisko mogło zacząć na siebie zarabiać. A gdy Wizz Air wpadł w tym roku w turbulencje (musiał uziemić 40 maszyn z powodu kłopotów z silnikami), zaczął ciąć połączenia przede wszystkim z mniejszych portów.

Historii sukcesu komercyjnego nie ma też na drugim z nowych lotnisk. Port koło Lublina działa od 2012 r. i nigdy nie przyniósł choćby złotówki zysku. W 2022 r. strata wyniosła 32 mln zł. Lublin może pochwalić się nieco bogatszą ofertą niż Szymany, bo latają stamtąd Wizz Air (do Londynu, a latem też do Bułgarii i Chorwacji), Ryanair (do Londynu, Mediolanu i Gdańska), a także LOT do stolicy. To jednak wciąż zdecydowanie za mało, aby wyjść choćby na zero. Także porty szczeciński i bydgoski przynoszą straty (ostatnio po 10 mln zł rocznie). W fatalnej sytuacji od dawna jest lotnisko łódzkie, które nie potrafi poradzić sobie z konkurencją portów mazowieckich. W 2022 r. strata wyniosła aż 35 mln zł. Jeszcze niedawno władze Łodzi planowały sprzedaż lotniska, ale ostatecznie chętnych nie znalazły. Teraz znowu zapewniają, że mają strategię rozwoju.

Chciwe linie

Samorządowcy odpowiedzialni za deficytowe lotniska zazwyczaj przekonują, że mimo wszystko warto w nie inwestować, bo to ważny atut regionów. Poza tym nie tracą nadziei, że w końcu nadejdą zyski. Wszyscy marzą o powtórzeniu u siebie scenariusza rzeszowskiego. Ten port też przez lata był na minusie, aż nagle osiągnął imponujące wyniki. W 2022 r. jego

zysk wyniósł ponad 130 mln zł – to jednak zasługa przede wszystkim strategicznej roli lasionki po rosyjskiej inwazji na Ukrainę. A przy okazji także przekroczenia w 2023 r. poziomu miliona obsłużonych pasażerów. Zdaniem ekspertów powyżej tej granicy porty mają szansę zacząć zarabiać. Trudno jednak zakładać, że którekolwiek z deficytowych lotnisk szybko zbliży się do tej magicznej granicy.

Zresztą spektakularny sukces Jasionki nie znaczy wcale, że zmniejszyła się lista problematycznych portów. Do tego grona dołączył w ubiegłym roku Radom, należący do państwowej spółki Polskie Porty Lotnicze (wcielonej pod koniec rządów Prawa i Sprawiedliwości do grupy Centralnego Portu Komunikacyjnego). Budowa za 800 mln zł nowego terminala była decyzją polityczną, a nie biznesową – podjętą na zlecenie związanych z Radomiem notabli PiS. Ówcześni przedstawiciele PPL obiecywali, że w 2023 r. radomski port obsłuży 250 tys. pasażerów, a w tym roku aż 450 tys. Linie miały chętnie korzystać z Radomia, skoro w Modlinie i na Okęciu brakuje miejsca. Rzeczywistość brutalnie zweryfikowała te plany.

Radomski port uroczyście otwarto w czerwcu zeszłego roku. Przez niespełna siedem miesięcy przewinęło się przez niego ok. 100 tys. pasażerów, w tym roku będzie ich zapewne nie więcej niż 150 tys. W kwietniu i maju z Radomia odlatują zaledwie cztery samoloty tygodniowo – dwa razy to maszyna LOT-u do Rzymu, a pozostałe dwa razy turystów do cypryjskiej Larnaki zabiera Wizz Air. Węgrzy podkreślają, że to połączenie traktują jako test przydatności Radomia. Nie ma już lotów narodowego przewoźnika do Paryża, bo przekierowywanie części połączeń z Warszawy do Radomia okazało się biznesowym absurdem. Latem dojdzie co prawda kilka połączeń czarterowych do południowej Europy, ale i tak będzie ich mniej, niż zakładały biura podróży. Niektóre z nich wyloty z Radomia zdążyły już wycofać ze swojej oferty.

Teraz także w Radomiu trzeba się zastanawiać, jak zachęcić przewoźników do korzystania z lotniska, które udaje jedno z warszawskich, chociaż jest oddalone od stolicy o 100 km. Dopłaty marketingowe nie wchodzą w grę, bo samorząd mazowiecki lotniska w Radomiu nie chciał, traktując je jako konkurencję dla Modlina. – *Nieprzypadkowo linie lotnicze oczekują specjalnych zachęt, aby oferować połączenia do małych, peryferyjnych portów. O wiele łatwiej im obsługiwać samoloty w dużych bazach. Korzystanie z niewielkich lotnisk jest bardziej problematyczne. Samorządowcy podkreślają, że mimo wszystko warto zapewniać mieszkańcom dostęp do połączeń z regionu. Tyle tylko że sami pasażerowie korzystają z coraz lepszych możliwości dojazdu do dużych portów, przede wszystkim dzięki rozbudowie dróg. Mamy coraz ostrzejszy podział lotnisk regionalnych na dwie grupy. Te duże, jak Kraków, Gdańsk czy Wrocław, rosną coraz szybciej. A te małe mają coraz poważniejsze problemy* – mówi Marek Serafin, redaktor portalu lotniczego pasazer.com.

Podkreśla, że podobnie jest w innych krajach europejskich. To przede wszystkim skutek prowadzonej przez lata unijnej polityki wspierania budowy lotnisk regionalnych, bez względu na biznesowy sens. U nas z takich dotacji po wejściu do Wspólnoty zdążyły jeszcze skorzystać województwa lubelskie i warmińsko-mazurskie. Ostatnio Unia zmieniła strategię i teraz już żadnych funduszy na takie inwestycje dostać nie można. Jednak pozostaje problem ogromnej liczby małych, chronicznie deficytowych portów: we Włoszech, Hiszpanii, Francji, Niemczech, a także u nas. Ich zamknięcie byłoby spektakularną porażką władz lokalnych, wolą więc pokrywać straty, a nawet dopłacać liniom, które oczywiście chętnie takie prezenty przyjmują.

Ślepe tory

Często taka sytuacja dotyczy regionów stosunkowo ubogich. A miliony na lotniska oznaczają ich brak gdzie indziej. W Polsce szczególne kontrowersje budzi dotowanie portów przez władze Lubuskiego czy Warmińsko-Mazurskiego, które równocześnie mają ogromne kłopoty z niedoinwestowaną koleją regionalną, za którą też odpowiadają.

W regionie lubuskim brakuje sprawnego taboru spalinowego (większość linii nie jest zelektryfikowana), a wiele połączeń od miesięcy jest odwoływanych. Czasem nawet nie udaje się podstawić zastępczego autobusu. Na Warmii i Mazurach część świeżo wyremontowanych linii obsługują zaledwie trzy lub cztery pary pociągów na dobę. A przywracanie połączeń na zrewitalizowanych trasach oznacza... zabranie kursów z innych, bo region nie chce więcej wydawać na kolej. W takich warunkach wspieranie milionami pustych lotnisk zakrawa na fanaberię, a nie na realizację rzeczywistych potrzeb pasażerów. Oni potrzebują przede wszystkim dojechać do pracy czy do szkoły w przyzwoitych warunkach. Kto zaś chce lecieć samolotem, ten chyba powinien robić to wyłącznie za własne pieniądze.

CEZARY KOWANDA

REKLAMA
HAUSER
REBEL WITH A CELLO
19 LIPCA 2024
TAURON ARENA KRAKÓW
21 LIPCA 2024
ATLAS ARENA ŁÓDŹ
HAUSEROFFICIAL.COM
BILETY: BILETSERWIS.PL
NOWY ALBUM W SPRZEDAŻY
Prestige
BILET SERWIS
RZECZPOSPOLITA
VIVA!
pro.art

Rosja wypuściła z więzień i wysłała na wojnę z Ukrainą tysiące kryminalistów. Ci, którzy przeżyli, z medalami wracają do domów. I lepiej im nie wchodzić w drogę.

Bohaterowie są wkurzeni

PAWEŁ

Wiktora Sawwinowa we wsi znali wszyscy i wszyscy się go bali. Mimo że niestary (35 lat), sporą część życia spędził za kratami. Sądzono go za kradzieże, rozboje, pobicia i groźby zabójstwa. Kiedy nie siedział, wracał do rodzinnej Kutany, która leży na bezdrożach wschodniej Syberii, 800 km od Jakucka. 100 domów, 12 uliczek, 700 mieszkańców. O takich miejscach mówi się: koniec świata. Wydawało się, że miejscowi będą mieli z Sawwinowem spokój na dłuższy czas. W 2020 r. został skazany na dziewięć i pół roku więzienia za zadźganie nożem kobiety. Odsiedział jednak tylko niewielką część wyroku. Prosto z więzienia zaciągnął się na wojnę w Ukrainie. I po sześciu miesiącach walk był wolnym człowiekiem. Wrócił. Cała wieś znów zaczęła się bać. Może poza nauczycielką Walentyną Fiodorową.

– *Lubiła pracę w szkole, kochała uczniów, absolwentów. Dlatego nie chciała się wyprowadzić z Kutany* – opowiada jej córka.

Show

64-letnia Walentyna wychowała tu całe pokolenia – uczyła od 1987 r. Była wielokrotnie odznaczana przez władze lokalne i centralne. A niedawno została laureatką konkursu „Najlepszy nauczyciel Rosji", co w maleńkiej osadzie było wielkim wydarzeniem. Jednak szacunek, którym była otoczona Walentyna, nie powstrzymał Sawwinowa. – *Nie pokazano nam nawet ciała mamy, tak bardzo było oszpecone* – mówi córka.

Sawwinow to jeden z kilkudziesięciu tysięcy osadzonych, którzy ruszyli na front.

Na początku rosyjscy wojskowi liczyli na błyskawiczny sukces w wojnie z Ukrainą. Gdy się jednak okazało, że armia radzi sobie marnie, zaczęto szukać rozwiązań ratunkowych.

Ludzi miał dostarczyć Jewgienij Prigożyn, biznesmen i założyciel Grupy Wagnera – prywatnej armii, którą Rosja wykorzystywała do zabezpieczania swoich interesów w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Układ był korzystny dla obu stron. Kreml mógł wysyłać na zagraniczne misje najemników, z którymi formalnie nie miał nic wspólnego, wagnerowcy zaś zarabiali na tym duże pieniądze.

Prigożyn nie palił się jednak do udziału w wojnie z Ukrainą – nie chciał tracić doświadczonych i ostrzelanych ludzi do atakowania znającego się na rzeczy przeciwnika. Gdy jednak zrozumiał, że się nie wymiga, ogłosił dodatkowy zaciąg do swojej armii. Brano tych, którzy wcześniej nie spełnili wymagań. Ale to też nie wystarczyło. Na froncie brakowało oddziałów do szturmowania pozycji dobrze bronionych przez Ukraińców. Wówczas Prigożyn rozpoczął tournée po zakładach karnych.

„Szef organizuje bataliony karne" – mówiono w Grupie Wagnera. To był spektakl. W koloniach karnych lądował prywatny śmigłowiec Prigożyna. Biznesmen wysiadał w wojskowej bluzie, do której przypięty był order Bohatera Rosji. Służba więzienna odnosiła się do niego z szacunkiem. Osadzeni patrzyli na przedstawienie, karnie stojąc w dwuszeregach.

Prigożyn wiedział, jak do nich przemówić. Sam w młodości był na bakier z prawem, odsiedział wyrok za rozbój. „Jestem przedstawicielem prywatnej firmy wojskowej Wagner. Potrzebujemy szturmowców" – mówił. A potem krótko nakreślał oczekiwania.

© PAULA BRONSTEIN/GETTY IMAGES

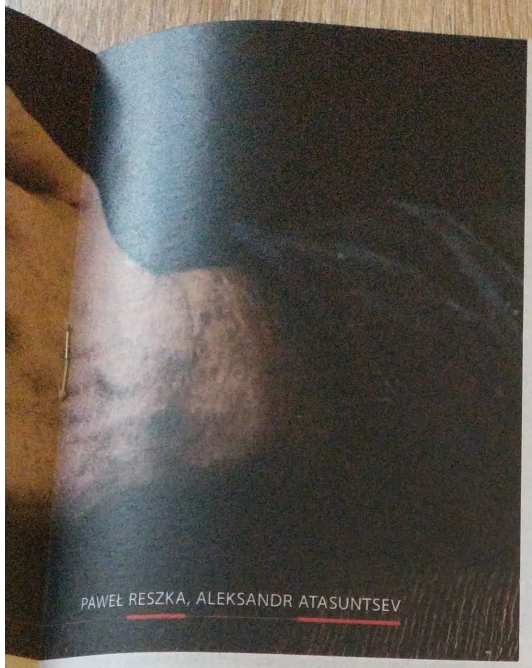

PAWEŁ RESZKA, ALEKSANDR ATASUNTSEV

trzeba walczyć i wykonywać rozkazy. „Tchórzostwo nie jest tolerowane, a dezerterów rozstrzeliwujemy. Nie wolno pić i używać narkotyków" – wymieniał.

Co w zamian? Comiesięczna pensja – równowartość 8,5 tys. zł. W razie śmierci: pochówek w Alei Zasłużonych, „jeśli taka jest w waszym mieście", albo na cmentarzu należącym do grupy. „Po pół roku wracacie do domu, otrzymujecie ułaskawienie. Wasze nazwiska wykreślone są z rejestrów skazanych. Ale można też zostać z nami. Czas na podjęcie decyzji: pięć minut" – proponował.

Z tymi, którzy powiedzieli „tak", odbywały się rozmowy indywidualne. To wagnerowcy decydowali ostatecznie, kogo wezmą. Na początku na przykład wzbraniali się przed zaciąganiem narkomanów i tych, którzy popełnili przestępstwa na tle seksualnym. Jednak straty były ogromne i po jakimś czasie zaczęto brać w zasadzie każdego.

Dekret

Prigożyn w indywidualnych rozmowach zapewniał, że grabież i przemoc seksualna na terenie walk są zakazane, ale tylko formalnie. W rzeczywistości można sobie folgować i nikt nie będzie miał o to pretensji.

W ten sposób na front trafiły tysiące osadzonych. Dane Prigożyna i organizacji pozarządowych mówiły nawet o 40–50 tys. Potwierdzają to analizy liczby osadzonych w rosyjskich więzieniach. Według informacji Olgi Romanowej, założycielki fundacji Ruś Siediasza, w samym 2022 r. liczba ta zmniejszyła się o 32 tys.

Na jakiej podstawie Prigożyn, a potem jego wysłannicy, mogli wyciągać wyrokowców zza krat? Załatwiać im ułaskawienie? Obrońcy praw człowieka się dziwili. Politycy nie potrafili udzielić odpowiedzi na te pytania. Jedno było jasne – wszystko odbywa się za zgodą władz. Jak inaczej wytłumaczyć, że cywile pojawiali się w kolonii karnej i wywozili stamtąd przestępców?

Podobno władze więzień dostawały kwity, że ich podopieczni są zabierani przez Federalną Służbę Bezpieczeństwa „do czynności śledczych". W praktyce polegały one na wyjeździe na niedługie przeszkolenie, a potem na front.

Jednak to, że nagle z więzień znikali ludzie z ciężkimi wyrokami, wywoływało wiele pytań. Natalia Nieczetna, mieszkanka Obnińska (120 tys. mieszkańców, obwód kałuski), zorientowała się, że z zakładu karnego wyszedł zabójca jej córki Władysław Korobienkow. Córka Natalii, studentka, została zamordowana w bestialski sposób. Pobito ją (60 uderzeń pałką), zgwałcono i poderżnięto jej gardło. Po dwóch latach poszukiwań, sprawdzaniu tysięcy połączeń telefonicznych, próbek DNA, a nawet pomocy jasnowidzów odnaleziono, osądzono i skazano Korobienkowa na 19 lat więzienia. Posiedział niedługo. W 2022 r. poszedł na wojnę w Ukrainie. Po odbyciu kontraktu został ułaskawiony przez prezydenta Rosji.

Podobnie było w przypadku Władysława Kanjusa skazanego na 17 lat za zabójstwo młodej kobiety. Rodzina ofiary zorientowała się, że morderca nie siedzi, gdy zaczął zamieszczać w mediach społecznościowych zdjęcia w mundurze. Okazało się, że w więzieniu spędził ledwie pół roku i pojechał walczyć w szeregach Grupy Wagnera.

Pytania były coraz częstsze. Zadawały je rodziny, dziennikarze, obrońcy praw człowieka. W końcu politycy byli zmuszeni się do nich odnieść. „Można zostać ułaskawionym na dwa sposoby. Według znanej procedury prawnej. Albo gdy zmyje się swoją winę krwią, na polu walki, w szturmowych brygadach" – komentował rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow.

Wolność

Chociaż w szturmowych brygadach łatwiej było zginąć, niż przeżyć, skazańcy garnęli się na wojnę. Lepiej bić się w Ukrainie z nadzieją na wolność, niż znosić podłe traktowanie przez służbę więzienną.

Działała też sława Prigożyna, który naprawdę dotrzymywał słowa. Pieniądze były płacone na czas, a pochówki uroczyste. W mieście Sierow na przykład trumna z ciałem Siergieja Mołodowa, który zginął w Ukrainie, okryta była flagą Rosji i niesiona na ramionach żołnierzy. Lokalne władze wydały oświadczenie, że denat był uczciwym człowiekiem: „Pomagał słabym i potrzebującym. Kochał muzykę, wolność, szybkość. O takich jak on mówią: człowiek do rany przyłóż".

W mieście zapamiętano Mołodowa z czegoś innego. W stanie upojenia alkoholowego przyłożył własnej matce. Okładał kułakami, kopał, aż zabił (11 lat więzienia).

Z honorami chowano także innych weteranów z kryminalną przeszłością. Na przykład Aleksandra Sitawiczusa (po pijanemu zastrzelił trzy osoby; 21 lat więzienia). Albo Stanisława Prudnikowa, który był handlarzem narkotyków w rodzinnym Bataisku koło Rostowa (12 lat do odsiadki).

Jednak ci, którzy wracali w trumnach, byli znacznie mniejszym problemem od tych, którzy pojawiali się w rodzinnych stronach w pełni sił. Na wolność odprowadzał ich sam Prigożyn. Na filmie rozpowszechnionym przez należące do biznesmena media widać, jak „szef" udziela wychodzącym do cywila ojcowskich rad. „Przestrzegajcie prawa, nie używacie narkotyków, nie pijcie za dużo, bab nie gwałćcie" – mówił. Dodawał, że w rewanżu za służbę mogą liczyć na grzeczne traktowanie ze strony policji i szacunek współobywateli. ▶

▶ W pierwszej grupie, którą zwolniono do domu, był m.in. Dmitrij Karawajczyk (17 lat za produkcję i handel amfetaminą w Petersburgu). Inni, których udało się zidentyfikować, także byli osądzeni za ciężkie przestępstwa, m.in. zabójstwa, rozboje z bronią w ręku, pobicia, kradzieże. Wszyscy przed wyjściem do cywila zostali odznaczeni medalami za odwagę.

Część ze zwolnionych nie wzięła sobie do serca ojcowskich rad „szefa". Zdemobilizowany Demian Keworkian obrabował i zabił dwie osoby na Kubaniu. Przestępstwo było bliźniaczo podobne do tych, za które odsiadywał wyrok 18 lat więzienia.

Przykłady można mnożyć. W maju 2023 r. w obwodzie wołgogradzkim trzech recydywistów, byłych najemników Wagnera, włamało się do domu przedsiębiorcy we wsi Oktrabrskij. Ograbili go i torturami próbowali zmusić do przepisania na nich majątku.

Paweł Nikolin (kradzieże i rozboje) po powrocie z frontu znów został aresztowany, bo strzelał do policjantów (jeden został ranny) pod Rostowem nad Donem. Pytany dlaczego, stwierdził, że pomylił ich z ukraińskimi żołnierzami. Arsen Mełkonian po powrocie trafił do aresztu za grożenie śmiercią byłej żonie i córce (przed pójściem na wojnę odsiadywał wyrok 11 lat za pobicie ze skutkiem śmiertelnym).

Pokuta

Prigożyn, pytany o wątpliwości moralne związane z wysyłaniem przestępców na front, odpowiadał pytaniem: „Wolicie, żeby w oddziałach szturmowych walczyli kryminaliści czy wasze dzieci?".

To był dobry argument. Bo Rosja boi się słowa „mobilizacja". Za to nikomu nie żal posyłać tysięcy wyciągniętych z więzień mężczyzn na pewną śmierć. Kryminaliści szturmowcy po podpisaniu kontraktu także nie mieli wyboru – albo szli do ataku, albo ginęli z rąk swoich. Za dezercję groziła śmierć przez rozrzaskanie głowy kowalskim młotem. Prigożyn dbał osobiście, by kara była wykonywana.

Rosja może być z nich dumna. Dzięki więźniom zdobyto Bachmut. A przede wszystkim zyskano czas, by regularna armia się przegrupowała, umocniła, odbiła ukraińskie kontrnatarcie i przygotowała swoją ofensywę. Jednak czas wagnerowców się kończył.

W połowie 2023 r. zdecydowano, że oddziały najemnicze będą musiały się podporządkować dowództwu wojskowemu. Sam Prigożyn, coraz bardziej skonfliktowany z ministerstwem obrony, zrezygnował z szukania najemników w więzieniach. Wkrótce potem, po nieudanym buncie i rajdzie na Moskwę, „zginął w katastrofie lotniczej". Grupa Wagnera została zaś w dużej części rozpuszczona do domów. Dotyczyło to także jej członków, którzy mieli na koncie wyroki.

Już wcześniej w koloniach karnych pojawili się nowi werbownicy – tym razem przedstawiciele armii, którzy rekrutowali do oddziałów Sztorm Z. Zasady były podobne. Oddziały były używane do atakowania w trudnym terenie. Kontrakt podpisywano na pół roku. Kto przeżył, mógł liczyć na ułaskawienie. Służba w Sztorm Z nie cieszyła się taką popularnością jak u Wagnera. Po pierwsze, w więzieniach rozeszła się wieść, że do końca kontraktu dożywają tylko nieliczni. Po drugie, armii zdarzało się nie dotrzymywać warunków (opóźnienia w wypłatach, niewypłacanie odszkodowań za rany), co było nie do pomyślenia w wojsku najemniczym.

Po wrześniu 2023 r. znacznie pogorszyły się warunki służby. Teraz skazańcy muszą walczyć nie pół roku, ale do końca „operacji specjalnej". A zamiast ułaskawienia ministerstwo obrony oferuje warunkowe zwolnienie. Natomiast w Dumie rozpoczęły się prace, by wpisać jakoś brankę więźniów w system prawny.

Andriej Kartapołow, przewodniczący parlamentarnej komisji obrony, mówi, że na front trzeba wysyłać tylko skazanych za najcięższe przestępstwa. „Będą w siłach zbrojnych nie jako kucharze czy kierowcy. Pójdą do jednostek szturmowych, gdzie naprawdę odpokutują swoje winy. Teraz z wiadomych względów nie będę zdradzał, jaki procent ich wraca. Ale zaręczam, że ten procent jest bardzo, bardzo mały" – przekonywał inny deputowanych.

Szacunek

Państwo na razie unika powszechnej mobilizacji, zwiększając wynagrodzenie dla ochotników – dziś wynosi ono 195 tys. rubli miesięcznie (ok. 8,4 tys. zł). Do tego władze regionalne dają spore jednorazowe premie, np. obwód moskiewski (rekord) 805 tys. rubli, obwód jamalsko-nieniecki – 800 tys.

Jednak gdyby finansowe zachęty nie wystarczały i pojawiła się nagła potrzeba, zawsze można się przecież cofnąć do stanu poprzedniego, kiedy najgorsi zbrodniarze mogli wrócić do domu poprzez okopy w Ukrainie.

Zresztą mleko już się wylało. Asmik Nowikowa z fundacji Obszestwiennyj Werdykt, która od lat bada zachowanie wojskowych powracających z frontu, mówi, że w Rosji nikogo nie interesuje, jak weterani odnajdą się w społeczeństwie: *– W pokojowym życiu agresja, choćby werbalna, jest czymś nienormalnym. Na wojnie to zwykły, a czasem i oczekiwany sposób działania.*

Wojskowi, którzy mieli wcześniej konflikty z prawem, to dodatkowy problem. *– Państwo nie ma żadnej kontroli nad tymi ludźmi. Nikt nie monitoruje, co robią, czym się zajmują. W dodatku nigdy przy podejmowaniu decyzji o ich ułaskawieniu nie brano pod uwagę zdania ofiar i rodzin ofiar* – mówi Nowikowa.

Ten ostatni problem słychać w pytaniu, jakie zadała Natalia Nieczetna, matka zamordowanej studentki: „Kto komu dał prawo, by wybaczać zabójcy mojego dziecka?". Dziś Nieczetna żyje w strachu. Boi się, że przestępca – już jako bohater – wróci do miasta. W mundurze, z medalem za odwagę i prawem do domagania się szacunku. Nie ona jedna.

We wspomnianej na początku niewielkiej Kutanie na wschodniej Syberii powrót Sawwinowa był dla mieszkańców dopustem bożym. Wieś przypuszczała, że może się to skończyć źle. Ze względu na przestępczą przeszłość Sawwinowa sąsiedzi starali się go unikać. Nawet rodzony ojciec nie chciał syna wpuszczać za próg. Sawwinow uważał to wszystko za brak szacunku.

Szczególnie dotkliwie odczuł to 23 lutego 2024 r., tj. w Święto Obrońcy Ojczyzny. Cały dzień snuł się po wiosce, stukał do drzwi, prosił o wódkę i o to, by zaproszono go pod dach. Pod wieczór zaszedł do starej nauczycielki Walentyny Fiodorowej. Ale ta obeszła się z nim obcesowo. Nie dość, że wygnała, to jeszcze zadzwoniła do sołtysa, żeby uspokoił awanturnika. Skończyło się na tym, że Sawwinowa do domu odprowadzał policjant.

Następnego dnia rano Sawwinow znów pił. Bo i znów była okazja – druga rocznica inwazji Rosji na Ukrainę, gdzie przelewał krew. Z tej okazji namówił przypadkowego mężczyznę, by razem wypili butelkę wódki. Widać o coś się posprzeczali, bo pod koniec imprezy Wiktor zabił swojego towarzysza za pomocą łomu. Następnie poszedł do domu nauczycielki, by odpłacić jej za wczorajsze upokorzenie. Sforsował drzwi i zaczął bić.

– W końcu wziął siekierę i uderzył w głowę – opowiada córka Walentyny Fiodorowej.

Potem zabójca podpalił dom, najpewniej, by zatrzeć ślady zbrodni. Jednak mało kto miał wątpliwości, że to on jest odpowiedzialny za podwójne morderstwo. Jeszcze tego samego wieczoru, w drugą rocznicę inwazji, został zatrzymany.

PAWEŁ RESZKA, ALEKSANDR ATASUNTSEV

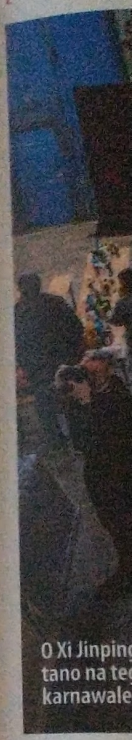

O Xi Jinping
tano na te
karnawale

Trwaja

P

tywę. Wed
wą anoma
niego ko
W chińsk
(czytaj: C
świata, a
Francuzi
po swoje
wie. W C
się wraz
w 1949 r.
chociażb
stwa ONZ
Zachodu
nych – w
To się
Chiny są
sów świa
zresztą e

O Xi Jinpingu pamiętano na tegorocznym karnawale w Moguncji.

© MICHAEL PROBST/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

Co się śni Xi

Trwające właśnie europejskie tournée Xi Jinpinga odsłania wizję świata według Chin. Europa odgrywa w niej rolę „dobrego Zachodu".

ADRIAN BRONA, MICHAŁ LUBINA

Przewodniczący Xi Jinping powtarza, że „świat doświadcza burzliwych przemian, niewidzianych od stulecia". Ta poetycka fraza dobrze oddaje chińską perspektywę. Według niej obecny ład jest „chwilową anomalią", powstałą w wyniku zachodniego kolonializmu i neokolonializmu. W chińskiej historii wyobrażonej to Azja (czytaj: Chiny) do XIX w. była centrum świata, a potem przyszli źli Brytyjczycy, Francuzi, Amerykanie. Urządzili glob po swojemu i postawili wszystko na głowie. W Chinach ta „anomalia" skończyła się wraz ze zwycięstwem komunistów w 1949 r. Ale gdzie indziej trwa, co widać chociażby po składzie Rady Bezpieczeństwa ONZ czy utrzymującej się przewadze Zachodu – zwłaszcza Stanów Zjednoczonych – w instytucjach międzynarodowych.

To się jednak wkrótce skończy, o czym Chiny są przekonane przynajmniej od czasów światowego kryzysu w 2008 r. Pekin zresztą chce ten proces upadku systemu przyspieszyć. Służą do tego takie instrumenty jak Szanghajska Organizacja Współpracy, format BRICS czy Azjatycki Bank Inwestycji Infrastrukturalnych (AIIB). Plus polityczne inicjatywy, z najsłynniejszym Jedwabnym Pasem i Szlakiem na czele.

Wszystko to nadbudowane jest Xijinpingowską wizją „wspólnego przeznaczenia ludzkości" czy łagodniej „wizją wspólnej przyszłości". Chodzi o stworzenie lepszego świata suwerennych państw, nienapadających na siebie, niesankcjonujących się wzajemnie, nienarzucających swoich modeli społeczno-politycznych (tak, tak, to wszystko są aluzje do amerykańskiego imperializmu). Za to współpracujących w imię wspólnych korzyści.

W tej sielankowej wizji Chiny byłyby *primus inter pares* w Azji, potem na całym globie. Tego ostatniego chińscy przywódcy nie mówią już wprost, bo też w chińskim świecie rozumie się to samo przez się. Za to badacze stosunków międzynarodowych zza Muru są już bardziej dosłowni. Jeden z nich, Zhao Tingyang, dowodzi, że Chinom uda się stworzyć „harmonizujący wszystkie narody system pod niebem", w którym ChRL będzie rządzić, premiując „kompatybilny uniwersalizm". Z kolei prof. Yan Xuetong w swojej koncepcji „moralnego realizmu" dowodzi, że w sinocentrycznym świecie Chiny będą przewodzić raczej dobrym przykładem niż za pomocą pałki. Ale jak to nie zadziała, trzeba będzie użyć siły. Choć niechętnie.

To jednak plany na przyszłość. Dziś Chiny nie tyle odrzucają obecny porządek międzynarodowy, ile chcą go „zreformować". Zachować pasujące im części i odrzucić pozostałe. Agendy oenzetowskie mogą zostać. Formaty typu G20 również. Zreformować należy niesprawiedliwą dominację Zachodu w Banku Światowym, Międzynarodowym Funduszu Walutowym i, rzecz jasna, w Radzie Bezpieczeństwa. Odrzucić też trzeba zachodnie ▶

rozumienie praw człowieka. Za to promować „dialog między cywilizacjami".

Tak przebudowany porządek nie miałby wiele wspólnego z obecnym, choć na zewnątrz wyglądałby podobnie. Byłby niczym firma, w której dotychczasowy właściciel utracił kontrolę na rzecz nowego udziałowca.

Chińska asertywność spod znaku Xi obudziła już Amerykę. Europa jest od USA mniej sinosceptyczna, choć krytycyzm wobec Pekinu i tu rośnie. A reszta świata, globalne Południe, przyjmuje chińskie propozycje życzliwie bądź neutralnie. Wiele państw Azji, Afryki czy Ameryki Łacińskiej nie ma negatywnych doświadczeń z Chinami, z Zachodem już tak. A przecież wciąż panuje porządek międzynarodowy zdominowany przez słabnący Zachód. To dla wielu niesprawiedliwe. Z tej perspektywy Chiny, podminowując dominację USA, są tymczasowo korzystne dla wielu państw, którym obecny porządek nie pasuje, a rozchwianie systemu jest na rękę. Najlepszym przykładem działania tej logiki jest Rosja.

Nasz Putin

Rosja zajmuje szczególne miejsce na chińskiej mapie świata. Chiny oczywiście nie zamierzają zajmować ropo- i gazonośnej Syberii, przynajmniej jeszcze nie. Rosja jest im potrzebna jako „bezpieczne tyły" od północy i jako dostarczyciel surowców. Przede wszystkim zaś jako kompan w rozmontowywaniu amerykanocentrycznego świata. „Związek Radziecki upadł, bo ludzie przestali wierzyć w komunizm" – orzekł Xi Jinping. Dla chińskiego genseka los ZSRR jest żywym memento, by nigdy nie luzować śruby społeczeństwu – zwłaszcza mniejszościom etnicznym, utrzymywać ideologiczną ortodoksję i bronić się przed płynącym z Zachodu „skażeniem duchowym".

W chińskiej interpretacji najnowszej historii Rosja zapłaciła wysoką cenę za pierestrojkę, głasnos't i wolnościowe reformy lat 90. XX w. Upadła jako mocarstwo i dała się zdominować Zachodowi. Dopiero Władimir Putin przywrócił porządek, starając się odbudować pozycję swojego kraju i zabezpieczając się przed ekspansją NATO na wschód. Z tego punktu widzenia to USA są winne wojny w Ukrainie, będącej kolejnym już dowodem amerykańskiego hegemonizmu. Rosja zaś tylko broni swoich żywotnych interesów. Chińczycy oczywiście są świadomi wydumanego pretekstu inwazji i rosyjskich zbrodni w Ukrainie. To jednak drugorzędne szczegóły, w zasadzie nieistotne wobec podstawowej użyteczności Rosji dla Chin.

Europa jest dla Chin ważna. Zwłaszcza Europa otwarta na chińską produkcję.

Moskwa nieustannie irytująca Zachód, stawiająca się USA i wiążąca – przynajmniej w części – amerykańską uwagę na Europie, jest dla Chin wymarzonym strategicznym parawanem. Można się za nią schować, załatwiać swoje sprawy po cichu. A do tego – na tle Moskwy – wychodzić na przewidywalne i pokojowe państwo. Ponadto Rosja testująca reakcję Zachodu swoimi kolejnymi wojnami jest użyteczna dla Pekinu, który może z bezpiecznego oddalenia obserwować reakcje. Zachód początkowo mocno poparł Kijów, ale z czasem entuzjazm osłabł, co jest ważną lekcją dla Chin. Mogą się one uczyć na cudzych błędach, a potem jeszcze spijać piankę z antyzachodniego resentymentu panującego na świecie. Prawdziwe *win-win*.

O ile jednak Rosja jest dla Chin kluczowym partnerem w rywalizacji z USA, o tyle Unia Europejska ma inną zaletę. Może pomóc w ożywieniu chińskiej gospodarki, która łapie zadyszkę. Jej relatywnie wysokie tempo wzrostu jest utrzymywane przez gigantyczną akcję kredytową. Wystarczy wspomnieć, że przy realnym wzroście PKB o 5,2 proc. w 2023 r. zadłużenie całej gospodarki w stosunku do PKB zwiększyło się o 14 pkt proc., osiągając łącznie 286 proc. PKB. Innymi słowy Chiny zdecydowanie szybciej się zadłużają, niż bogacą.

Wielu ekonomistów, np. Michael Pettis z Uniwersytetu Pekińskiego, widziałoby nowy silnik rozwoju w zwiększeniu konsumpcji wewnętrznej. Xi Jinping ma jednak inną wizję. W 2023 r. rzucił hasło budowania „nowych mocy produkcyjnych", które w skrócie oznacza jeszcze większy rozwój przemysłu. Przede wszystkich w branżach zaawansowanych technologicznie: odnawialnych źródłach energii, elektronice użytkowej czy chociażby elektromobilności.

Xi w przeszłości krytykował „zachodni welferyzm" jako prowadzący do rozleniwienia i stagnacji gospodarczej, więc można w Chinach wykluczyć drastyczny wzrost transferów z budżetu państwa do obywateli. Z kolei przedsiębiorstwa mają przeznaczać wypracowany zysk głównie na inwestycje w linie produkcyjne, zamiast na podwyższanie płac pracowników.

Ktoś jednak musi kupować wszystkie te wytworzone dobra… Jeżeli nie będą to Chińczycy, trzeba jeszcze zwiększyć eksport. W tym miejscu kluczowy staje się rynek Unii Europejskiej.

Kierunek Europa

W chińskiej wizji świata Unia Europejska jest przede wszystkim „dobrym Zachodem". Takim, który nie będzie konkurencją dla Chin na arenie międzynarodowej, bo sam nie aspiruje do bycia liderem. Partnerem, w odróżnieniu od USA, niesprzedającym uzbrojenia Tajwanowi, nieposiadającym siatki sojuszów w Azji Wschodniej, niepodburzającym sąsiadów (Filipiny, Wietnam) przeciwko Chinom. Jest po prostu dobrym wspólnikiem biznesowym, przy współpracy z którym można zarobić.

Unia Europejska wydaje się w dodatku wygodnym partnerem. Rozdrobionym, z szeregiem sprzecznych interesów, gdzie nie ma jednego silnego ośrodka decyzyjnego. Dlatego do tej pory chińscy decydenci dość łatwo rozgrywali europejskich polityków, przede wszystkim poprzez reglamentowanie dostępu do własnego rynku. Za każdym razem, gdy pojawiały się problemy w relacjach z UE, wystarczyło, by chińskie państwowe koncerny podpisały kilka dużych kontraktów gospodarczych. Najlepiej z firmami francuskimi lub niemieckimi. Wtedy problemy nagle znikały.

Wizja chińskiej dominacji gospodarczej nad Europą jednak powoli się rozwiewa. Zaczęło się jeszcze przed pandemią, gdy Komisja Europejska nazwała Chiny partnerem we współpracy, ale także gospodarczym konkurentem i systemowym rywalem.

W następnych burzliwych latach wiele państw unijnych miało za złe Chinom brak transparentności w sprawie rozwoju pandemii. Pojawiły się unijne sankcje na chińskie biznesy wykorzystujące przymusową pracę Ujgurów. A chińskie wsparcie dla działań rosyjskich w Ukrainie pogrzebało relacje z większością państw wschodnich rubieży UE. Dramatyczny wzrost dwustronnego deficytu handlowego (o ponad 200 mld euro w latach 2020–22), którego symbolem jest zalew europejskiego rynku przez chińskie samochody elektryczne, również nie pomógł.

Od kilkunastu miesięcy Chiny starają się więc ocieplić swój wizerunek wśród

państw zachodnich. Do tej pory na odcinku europejskim wielkim nieobecnym był jednak sam Xi Jinping. Po raz ostatni gościł w Europie (nie licząc Rosji) w 2019 r., podczas gdy wcześniej starał się co najmniej raz w roku odwiedzić Stary Kontynent. Przed 2019 r. nastroje były jednak zupełnie inne.

Obecne europejskie tournée Xi to w dużej mierze misja ratunkowa. O ile w czasie pandemii handel dwustronny między UE i Chinami szybko rósł, o tyle teraz niemal równie szybko spada. W 2023 r. eksport do Europy zmniejszył się o ponad 100 mld euro, a coraz głośniej w Brukseli mówi się o kolejnych sankcjach, cłach antydumpingowych oraz podatku węglowym. Utrata jednego z kluczowych rynków miałaby fatalny skutek dla realizacji polityki gospodarczej Xi.

Przyjazd Xi do Europy poprzedziła wizyta Olafa Scholza w Chinach. Miała to być okazja do „naprostowania" pewnych spraw. Handel z Chinami był jednym z elementów sukcesu niemieckiego przemysłu w ostatnich dwóch dekadach. Konkurencja z Chin może jednak w przyszłości pogrążyć niemieckie koncerny. Wizyta Scholza nie przyniosła jednak żadnego przełomu, a jej efektem było kilka pomniejszych umów na dostęp niemieckich produktów rolnych do rynku chińskiego.

W ten sposób Xi osiągnął już połowę sukcesu. Na drugie pół liczył podczas wizyty w Paryżu rozpoczynającej się 5 maja. Głównym celem było odwiedzenie Francji od pomysłu forsowania ceł antydumpingowych na chińskie produkty, zwłaszcza samochody elektryczne. Pałac Elizejski mniej więcej od roku lobbuje za tym pomysłem, bo obawa o rodzimą produkcję przeważyła, jak się zdaje, nad obawą o dostęp do wielkiego chińskiego rynku. Xi zapewne namawiał więc Emmanuela Macrona do utrzymania status quo. I jeżeli Pekin przekona do swoich racji zarówno Berlin, jak i Paryż, to widmo głębszych zmian w polityce UE wobec Chin może zniknąć. Potwierdzi się przekonanie o tym, że państwa unijne można do woli rozgrywać między sobą.

Waga symboli

Wizyta we Francji nie była jednak jedynym punktem europejskiego tournée Xi. W tych dniach odwiedza on również Węgry i Serbię. Nie są to kluczowe dla Chin destynacje z punktu widzenia gospodarczego, jednak niosą ze sobą również ważną, bo symboliczną, wartość w polityce międzynarodowej.

Węgry pod wodzą Viktora Orbána należą do grona najbliższych partnerów Chin w Europie. Od lat węgierski przywódca zabiega o względy Pekinu, odwdzięczając się tonowaniem krytyki w sprawie łamania praw człowieka, agresywnej polityki zagranicznej oraz praktyk gospodarczych Pekinu. Po wielu latach te umizgi zaczęły przynosić wymierne efekty w postaci chińskich inwestycji – chociażby budowy fabryki baterii do samochodów elektrycznych, która ma być warta ponad 7 mld euro. Węgrzy liczą jednak na więcej. Można się spodziewać, że wraz z wizytą Xi zostaną ogłoszone kolejne możliwe projekty. Dla osłabionego na europejskiej arenie Budapesztu kluczowe będzie również chińskie poparcie polityczne.

Jeszcze większe znaczenie symboliczne ma wizyta Xi w Serbii. I nie chodzi już w tym przypadku o gospodarkę – z perspektywy Pekinu konieczne jest „danie twarzy" wiernemu partnerowi. Prezydent Aleksandar Vučić również należał do grona polityków, którzy mocno zabiegali o wsparcie chińskie. W sposób wylewny potrafił dziękować Chinom – gdy na początku pandemii do Belgradu przyleciał samolot z chińskimi maseczkami, to w wyrazie podzięki Vučić ucałował na lotnisku chińską flagę.

Na 7 maja były też zaplanowane obchody 25. rocznicy zbombardowania ambasady chińskiej w Belgradzie podczas interwencji NATO w wojnie w Kosowie. Amerykanie utrzymują, że było to działanie przypadkowe, w co strona chińska nie wierzy. Co roku z tej okazji w stolicy Serbii odbywają się niewielkie uroczystości wspominające to wydarzenie. Tym razem ich ranga miała być wyższa w związku z zapowiadanym udziałem w nich samego Xi. To zdarzenie sprzed ćwierćwiecza pokazuje według Chińczyków prawdziwe oblicze Zachodu, a zwłaszcza Ameryki, dążącej do upokorzenia Chin. Stanowi też fundament narracji o tym, że NATO jest reliktem zimnowojennym, agresywnym sojuszem szkodzącym pokojowi na świecie.

To właśnie te aspekty wizyty Xi w Europie mogą się okazać dominujące. Chiński przywódca w ostatnich latach wysyłał jednoznaczny komunikat do świata: gospodarka już nie jest najważniejsza, kluczowe jest bezpieczeństwo reżimu i uznanie pozycji Chin na świecie jako jednego z dwóch głównych mocarstw. W dalszej perspektywie nawet dominującego. Do tego czasu jednak Europa jest ważna. Europa otwarta na chińską produkcję.

ADRIAN BRONA, MICHAŁ LUBINA

REKLAMA

24 NAGRODY NAUKOWE POLITYKI

Przez 23 lata wsparliśmy 377 naukowców kwotą ponad 7 000 000 zł

Jesteś młodym ambitnym naukowcem?
Prowadzisz niebanalne, ważne społecznie projekty badawcze?
Wystartuj w konkursie o nasze stypendia naukowe!

Wypełnij formularz zgłoszeniowy: polityka.pl/stypendia
Czekamy do 12 czerwca!

Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2024
FUNDACJA ONKOLOGII DOŚWIADCZALNEJ I KLINICZNEJ
Dr Irena Eris
Patron medialny TOK FM

Niewidomi w Gazie

„Rafah może zaczekać, zakładnicy nie mogą". Protest przeciw rządowi Beniamina Netanjahu, Tel Awiw, 29 kwietnia.

Nawet izraelski historyk Yuval Noah Harari musiał przyznać, że trudno być prorokiem we własnym kraju. Pomysłów na pokojową przyszłość regionu wciąż jednak nie brakuje.

ADAM KRZEMIŃSKI

Znów w drodze z nową książką. Tym razem Yuval Noah Harari prezentuje w Europie trzecią część komiksowej wersji swojej historii wszystkiego. 280-stronicowa opowieść graficzna „Sapiens – mistrzowie historii" to rozrysowany na obrazki telewizyjny show, coś w rodzaju „Mam talent". Jest widownia. Jest prowadząca. Jest jury: archeolog ojciec Klüg, japońska antropolożka Aiko Yoshita, hinduska biolożka Arya Saraswati i sam Harari, oczywiście jako historyk. Są eksperci sprawdzający fakty dzięki wehikułowi czasu. I są kandydaci do tytułu mistrza historii.

Jednak media – jak „Spiegel Online" – wypytują autora przede wszystkim o doraźną politykę, o nową sytuację na Bliskim Wschodzie, o wojnę Putina z Ukrainą, o kondycję Europy i Zachodu. Harari odpowiada, że od 24 lutego 2022 r. toczy się wojna światowa, nawet jeśli Chiny zachowują się bardziej odpowiedzialnie niż Rosja. Jednak aby powstrzymać Putina, potrzebny byłby zdecydowany sygnał ze Stanów Zjednoczonych i z Europy – na początek choćby przekazanie Ukrainie 300 mld dol. z rosyjskich aktywów w zachodnich bankach, co pozwoliłoby jej przetrzymać agresję niezależnie od tego, kto zostanie prezydentem USA.

Harari zawsze bronił liberalnej demokracji. I nadal uważa, że ta pozytywna wizja przyszłości znajduje mocne oparcie w wierze w wolność i postęp. „Mamy zasoby, aby sprostać najpilniejszym wyzwaniom. Możemy złagodzić zmiany klimatyczne, bo nie są armagedonem zesłanym przez Boga. Sztuczna inteligencja jest nadal tylko naszym tworem". Przetrwanie naszego ustroju nie zależy od Putina czy Xi, lecz od nas. W latach 60. XX w. wybuchła wojna kulturowa wokół praw obywatelskich czy rewolucji seksualnej. Komunizm wydawał się stabilny, a podziały polityczne na Zachodzie były znacznie większe niż obecnie. Ale minęło 20 lat i to komunizm upadł, a nie liberalna demokracja – przypomina historyk.

Jednak w sprawach własnego kraju – po barbarzyńskiej masakrze mieszkańców przygranicznych wiosek izraelskich przez Hamas i brutalnym odwecie Izraela w Gazie – jest już bardziej bezradny. Wśród Izraelczyków i Palestyńczyków powróciły najgorsze koszmary. Dominuje nienawiść. Mówienie o empatii wobec drugiej strony i jej cierpienia uchodzi za zdradę. „Pokój i zaufanie trzeba nam wszczepić z zewnątrz. A otrzymujemy jedynie zastrzyki chaosu, nieufności i nienawiści". Nie tylko na Globalnym Południu, także na Zachodzie dominuje uproszczona pod wpływem marksizmu wizja polityki i historii jako permanentnej walki uciskanych z ciemiężycielami. Izrael jest przedstawiany jako europejskie państwo kolonialne, choć sporo Izraelczyków pochodzi z Bliskiego Wschodu, bo po 1948 r. Żydzi musieli uciekać z wielu państw arabskich. „Jedyną realną drogą dla Izraelczyków i Palestyńczyków jest rozwiązanie w postaci dwóch państw" – między Jordanem a Morzem Śródziemnym.

W 1993 r., gdy Icchak Rabin i Jasir Arafat podpisywali uzgodnione w Oslo porozumienie, pokojowe współistnienie Izraela i Autonomii Palestyńskiej wydawało się na wyciągnięcie ręki. Jednak w 1995 r. żydowski ekstremista zastrzelił premiera Izraela za „zdradę". Po czym izraelska fala osadnictwa na Zachodnim Brzegu i kolejna palestyńska intifada z samobójczymi zamachami i atakami rakietowymi z Gazy rozwiały nadzieje na powstanie państwa palestyńskiego. Hamas nie kryje, że zamierza zniszczyć państwo żydowskie. Izraelska ultraprawica chce całkowitej aneksji Zachodniego Brzegu i deportacji Palestyńczyków do krajów arabskich. A premier Beniamin Netanjahu – utrzymania status quo przez permanentne „zarządzania konfliktem" w nadziei na to, że wspierane przez USA Porozumienie Abrahamowe z sunnickimi państwami arabskimi pozwoli izolować skrajnie wrogi szyicki Iran – opowiada Harari.

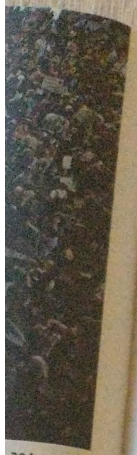

29 kwietnia.

wszczepić
edynie za-
enawiści",
niu, także
oszczona
a polityki
ki uciska-
st przed-
wo kolo-
ochodzi
r. Żydzi
abskich.
czyków
e w po-
danem

Arafat
orozu-
zraela
ało się
995 r.
emie-
elska
zegu
obój-
wymi
anie
ryje,
skie.
itej
rta-
ich.
zy-
ne
to,
nie
mi
gi

© OMAR ZYDYSZEWSKI/AGENCJA EAST NEWS

Wydarzenia 7 października zburzyły wszelkie rachuby. W czasie ataku Hamasu zamordowano 1200 Izraelczyków, a niemal 250 porwano jako zakładników. Odwet pochłonął 25 tys. ofiar, w tym 5 tys. dzieci. Netanjahu zapowiada trwałą izraelską obecność w Strefie Gazy. Do jej północnej części musiało się ewakuować ok. 2 mln ludzi. I mało kto wierzy, że Izraelczycy zgodzą się na państwo palestyńskie wolne od okupacji wojskowej.

Niemniej wspomniane przez Hannah Arendt „rozwiązanie dwupaństwowe" między Jordanem i Morzem Śródziemnym jest rzeczywiście znów na wokandzie. Najnowszy numer „Foreign Affairs" poświęca mu trzy poważne analizy. Martin Indyk, były ambasador USA w Izraelu, który w 1993 r. uczestniczył w Oslo w negocjacjach izraelsko-palestyńskich, uważa wręcz, że wstrząs po ataku Hamasu i izraelskim odwecie może – o paradoksie! – ożywić ideę dwóch państw.

Atak 7 października – argumentuje – pokazał, że Izrael wbrew zapewnieniom Netanjahu nie może już „sam się obronić". Poza tym państwo żydowskie nie jest w stanie przekazać 50 mld dol. na odbudowę zrujnowanej Strefy Gazy, a bez tego i bez rewitalizacji Autonomii Palestyńskiej bogate państwa arabskie nie dadzą ani grosza. A jeśli Gaza pozostanie ruiną, to Hamas się tam odtworzy. Netanjahu nie ma więc innego wyjścia, niż wrócić do idei dwóch państw… Tyle że Autonomia potrzebuje nowego, nieskorumpowanego i technokratycznego przywództwa, wyszkolonych sił bezpieczeństwa i zreformowanych instytucji, które nie będą podsycać nienawiści do Izraela i nagradzać „męczenników" za akty terroru.

Wojny, przypomina Martin Indyk, zwykle kończą się wtedy, gdy obie strony są u kresu sił i dochodzą do przekonania, że lepiej współżyć z wrogiem, niż podejmować kolejne daremne próby jego zniszczenia. Izraelczycy i Palestyńczycy jeszcze nie są w tym punkcie. Ale są już przejawy opamiętania (POLITYKA 12). Po ataku Hamasu w arabsko-żydowskiej Hajfie było niewiele starć między obydwiema społecznościami. A arabski poseł do Knesetu Mansur Abbas (niemający nic wspólnego z premierem Autonomii Palestyńskiej Mahmudem Abbasem) odważnie nawoływał: „My wszyscy, arabscy i żydowscy obywatele Izraela, musimy dołożyć wszelkich starań, by współpracować ze sobą, by zachować pokój i spokój". Nawet jeśli ani Izraelczycy, ani Palestyńczycy jeszcze nie są gotowi na głęboki kompromis, to „z czasem większość obu społeczności może uznać, że jedynym sposobem na zagwarantowanie przyszłości swoim dzieciom jest rozejście się – w szacunku, a nie nienawiści…".

W tym samym numerze „Foreign Affairs" Marc Lynch i Shibley Telhami uważają, że dwa państwa to dziś iluzja. Jednak Dalia Dassa Kaye i Sanam Vakil, dwie amerykańskie politolożki pochodzenia irańskiego, twierdzą, że na Bliskim Wschodzie już zarysowuje się „postamerykański ład regionalny", który może „naprawić ten region" właśnie w duchu dwóch państw między Jordanem i Morzem Śródziemnym.

To stary spór o przyszłość Izraela i charakter syjonizmu, który toczy się od publikacji w 1896 r. „Państwa żydowskiego" Theodora Herzla. W 2003 r. znany historyk Tony Judt wywołał burzę esejem „Israel: The Alternative" (na łamach „The New York Review of Books"), w którym wywodził, że skoro idea dwóch państw przestała być realna, a żydowskie państwo narodowe – z milionową mniejszością arabską – stało się „anachronizmem", to należałoby pomyśleć o dwunarodowej republice. Nawet tak znani demokraci jak Amos Oz odrzucili ten wywód jako „skażony antysemityzmem".

Jednak idea powraca. W 2020 r. Omri Boehm, izraelski filozof, wykładowca w Tel Awiwie, Nowym Jorku i Berlinie, w książce „Republic of Haifa" naszkicował utopijną wizję federacji izraelsko-palestyńskiej. Z europejskiej perspektywy czyta się ją jak próbę przeszczepienia na Bliski Wschód ustroju Unii… Wspólna konstytucja gwarantowałaby trójpodział władz, rozdział związków wyznaniowych od państwa, demokratyczne wybory, rządy prawa bez względu na rasę, religię, płeć czy obywatelstwo, a także pełne uznanie praw narodowych Żydów i Palestyńczyków. Granice między obydwoma państwami byłyby otwarte. Obywatele Izraela podobnie jak i Palestyny mieliby prawo mieszkać, pracować i kupować ziemię na całym terytorium federacji.

Stolica Izraela znajdowałaby się w zachodniej Jerozolimie, a Palestyny – we wschodniej. Arabski i hebrajski miałyby status języków urzędowych w obu państwach: arabski nauczany jako obowiązkowy drugi język w szkołach izraelskich, a hebrajski – w palestyńskich. Zarówno Holokaust, jak i Nakba (wygnanie Palestyńczyków z Izraela po 1948 r.) byłyby publicznie upamiętniane przez Żydów i Palestyńczyków, pod auspicjami wspólnych instytucji badawczych. Izraelscy uczniowie uczyliby się o Nakbie, a palestyńscy – o Holokauście.

Prawo do powrotu zarówno Żydów, jak i Palestyńczyków zostałoby uznane przez oba państwa. Wspólny komitet ustalałby normy imigracji Żydów do Izraela, a Palestyńczyków do Palestyny. A we wspólnym Sądzie Najwyższym zlokalizowanym w Hajfie obowiązywałaby równa reprezentacja Żydów i Palestyńczyków.

Znamienne, że po 7 października akurat szwajcarska telewizja SRF – a więc w kantonalnym państwie wielu języków, religii i kultur – zaprosiła Boehma na długą rozmowę. Także w Niemczech Boehm jest na fali. Za pracę „Radical Universalism", swoją rozprawę z „tożsamościowcami" wszelkiej maści, otrzymał w marcu na lipskich targach książki Nagrodę Porozumienia Europejskiego. W debatach przyznaje, że nie tylko prawica, ale i modny dziś na lewicy ruch woke, „tożsamościowego przebudzenia", łamie uniwersalizm praw człowieka, stawiając na pierwszym miejscu egoistyczne roszczenia własnej grupy etnicznej, kulturowej, wyznaniowej.

O rozziewie między tym, co uniwersalne, a tym, co lokalne w dziejach ludzkości opowiadają też „Mistrzowie historii" Hanriego. W Niemczech komiks wyszedł pod wymownym tytułem „Das Spiel der Welten" (Gra światów). Zaczyna się od wojny na Bliskim Wschodzie. A konkretnie – od zdobycia w 1291 r. przez Mameluków Akki, twierdzy krzyżowców, co położyło kres Królestwu Jerozolimy. Autor zgrabnie prześlizguje się nad szczegółami. W jego show pierwszym kandydatem do mistrzowskiego tytułu jest pan Przypadek, krupier dziejów, które są Kołem Fortuny. W skali 1–100 dostał od jury 29 punktów. Bo to przez przypadek chrześcijaństwo stało się religią światową – w II w. w Rzymie mogła to być równie dobrze jakaś inna sekta.

Faworytami są Lady Empire i Captain Dollar, zyskując po 32 punkty. I tyle samo Skyman – Człowiek Nieba, z długą siwą brodą i Okiem Opatrzności. Przyznaje, że dziś trudno mu zdzierżyć ateistów, ale zarówno imperia, jak i pieniądz wymagają wiary w pewne wartości, których źródłem jest różne, a jednak podobne, myślenie religijne. Pod koniec całą zabawę psuje postać Scientifika, który oświadcza, że prawdziwą mistrzynią historii jest nauka. To ona w ciągu ostatnich 500 lat dała ludziom nowe środki transportu i łączności, zmieniając planetę w globalną wioskę… I o tym będzie następny sezon komiksu. A my wszyscy wystąpimy w rolach widzów i uczestników tektonicznych wstrząsów naszych czasów. ■

ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

Homo cooperativus

Ludzie to zwierzęta stadne. Ale kiedy i jak zaczęli się organizować, by współdziałać na rzecz ogółu? Jakie pierwsze reguły życia społecznego tworzyli? Są już odpowiedzi.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Choć w naszym przeludnionym świecie ten i ów marzy czasami o samotności, mało kto chce jednocześnie rezygnować z dogodności cywilizacji, będących przecież efektem ludzkiej współpracy. Mimo napięć i konfliktów, jakie generuje grupa, bycie w niej jest naturalną potrzebą – i to nie tylko ze względów prokreacyjnych. Pod wieloma względami razem jest łatwiej i raźniej. Zdecydowana większość mieszkańców naszego globu żyje w społeczeństwach o rozbudowanych strukturach społecznych opartych nie tylko na więzach krwi, ale i na współpracy wewnątrz grup kulturowych, językowych, religijnych, politycznych, zawodowych.

Ok. 10 tys. lat temu część ludzi przeszła na rolnictwo, wybrała osiadły tryb życia i nieznany wcześniej model społeczny oparty na nierównościach i podziałach. Jednak zorganizowaną i wychodzącą poza rodzinę współpracę znano już wcześniej – w egalitarnych grupach paleolitycznych łowców-zbieraczy.

Obozowiska sprzed kilkunastu tysięcy lat na stanowisku Swan Point na Alasce świadczą o tym, że pierwsi tamtejsi mieszkańcy doskonale planowali łowy. Ich dietę i trasę wędrówek odtworzono, analizując skład izotopów strontu w kolejnych warstwach wzrostowych ciosów dwóch mamutów. Zarówno młody osobnik, który żył 17 tys. lat temu, jak i żyjąca 3 tys. lat później 20-letnia samica chodzili przez północno-zachodnią Kanadę tymi samymi szlakami. Z artykułu w styczniowym „Science Advances" wynika, że myśliwi podążali za tymi trąbowcami, zakładając obozy w pobliżu ich żerowisk. Tam właśnie dopadali odłączone od stada samce, a pod koniec epoki lodowej, gdy step zarosły nielubiane przez mamuty lasy, również niedożywione samice.

Wyprawiając się na grubego zwierza, ludzie musieli się jakoś „skrzykiwać", a to rodzi pytanie o początki języka.

Kwestia porozumienia

Pomysł, by polować na szlakach migracji zwierząt, nie był nowy, tę samą taktykę łowiecką stosowały zapewne homininy już 2 mln lat temu. Archeolog z Tel Awiwu Meir Finkel odkrył ostatnio, że pół miliona lat temu *Homo erectus* zakładał zasadzki na słonie wędrujące przez dolinę Hula w Górnej Galilei. Robił to blisko wodopojów, gdzie łatwo je było osaczyć, ale jednocześnie w pobliżu wychodni krzemieni, z których pozyskiwano surowiec na narzędzia. Inne obozowiska neandertalczyków, denisowian i ludzi współczesnych w Azji, Europie i Afryce też ulokowano przy „kamieniołomach" i ciekach wodnych, na trasach migracji słoni, koni czy reniferów. Jednak poza planowaniem, czyli wybraniem dobrego miejsca, i zaopatrzeniem się w zastępujące w walce zęby i pazury kamienne narzędzia, łowy na potężnych roślinożerców wymagały dobrze zorganizowanej współpracy.

Ponieważ nasi przodkowie żyli w co najwyżej 20-osobowych grupach krewniaczych, w których byli też starcy i dzieci, wyprawiając się na grubego zwierza, musieli się jakoś „skrzykiwać", a to rodzi pytanie o początki języka. Niezależnie od tego, czy powstał on z kołysanek śpiewanych przez matki, czy z potrzeby przekazania wiedzy o tym, jak łupać kamienie i polować, stał się sposobem nawiązywania i pogłębiania społecznych relacji. – *Najstarsze ślady po homininach w jaskiniach w Hiszpanii mają 1,4 mln lat. Osobniki te mogły przybyć z Afryki nie tylko drogą lądową, ale i na tratwach, a trudno sobie wyobrazić, że budowano je i pływano nimi po morzu bez umiejętności współpracy i komunikacji* – zauważa dr hab. Iwona Sobkowiak-Tabaka, badaczka paleolitu z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. – *Bardziej bezpośrednie dowody na znajomość języka pojawiają się w czaszkach Homo erectus w postaci odcisków w okolicy ośrodka Broki, czyli obszaru mózgu odpowiedzialnego za mowę, nie ma natomiast wątpliwości, że językiem posługiwał się neandertalczyk, bo miał gen mowy FOXP2.*

A zatem *Homo heidelbergensis*, który na terenie dzisiejszego Schöningen w Dolnej Saksonii między 420 a 290 tys. lat temu zabijał za pomocą świerkowych oszczepów (najstarszej drewnianej broni, jaką dotąd znaleziono) konie, żubry i jelenie, posługiwał się językiem. Mowa była też niezbędna przy polowaniach neandertalczyków na mierzące 4 m słonie *Palaeoloxodon antiquus* 125 tys. lat temu. Na odkrytych w końcu XX w. koło Neumark-Nord w Niemczech 3400 fragmentach kości ponad 70 olbrzymów archeozoolodzy Sabine Gaudzinski-Windheuser i Lutz Kindler znaleźli ślady rzezi i oprawiania. Zdaniem badaczy w organizowanych przez 300 lat polowaniach za każdym razem musiało uczestniczyć 70 osób, które najpierw zaganiały słonia w pułapkę, zabijały go, a potem oprawiały jego tuszę i musiały zakonserwować 4 tony pozyskanego mięsa. Na szczątkach nie ma ani jednego śladu zębów i pazurów drapieżników, co oznacza, że łowcy nie dopuścili do tego, by zwierzęta im odebrały zdobycz. A to kolejny dowód udanej i dobrze zorganizowanej pracy grupowej.

Nasi przodkowie zaganiali zwierzęta, być może budując drewniane zasieki. Byli do tego zdolni, o czym może świadczyć zeszłoroczne odkrycie śladów drewnianych przepraw sprzed pół miliona lat nad rzeką Kalambo w Zambii. Jednak najstarsze monumentalne drewniano-ziemne i kamienne konstrukcje służące do zaganiania zwierząt wznosił w różnych częściach świata człowiek współczesny w późnym paleolicie i mezolicie. Kamienny szaniec sprzed 9 tys. lat znajduje się na dnie jeziora Michigan. Niedawno niemieccy badacze namierzyli podobny i równie stary na dnie Bałtyku, 10 km od wybrzeża w miejscowości Rerik. Ta największa i najstarsza w Europie konstrukcja ma niemal kilometr i składa z 1673 kamieni. Ułożono je na trasie wędrówki reniferów (*Rangifer tarandus*) wzdłuż brzegu znajdującego się w tym miejscu niegdyś jeziora lub na granicy torfowiska. Bariera na pewno nie powstała bez planu, nadzoru i współpracy. Wszystko wskazuje na to, że również kobiet.

Kwestia podziałów

Hipoteza, że w paleolicie w społecznościach łowców-zbieraczy miał miejsce silny podział pracy na polujących mężczyzn i zbierające kobiety, jest bowiem błędna. Stopień umięśnienia i identyczne urazy na ciałach przedstawicieli obu płci żyjących wcześniej niż 12 tys. lat temu świadczą o tym, że wszyscy wykonywali podobne prace. W czasopiśmie „American Anthropologist" antropolożki Sarah Lacy i Cara Ocobock piszą, że nawet jeśli mężczyźni szybciej biegali i dalej rzucali oszczepem, estrogeny czyniły kobiety bardziej wytrzymałymi, co też było bardzo przydatne na polowaniach. Archeolodzy zaś dowodzą, że egzemplarze broni znajdowane w grobach kobiet z epoki paleolitu nie były atrapami ani symbolami, jak do niedawna uważano. Zmarłe doskonale się nimi posługiwały.

W paleolicie polowanie było powszechnym zajęciem młodych mieszkanek Nowego Świata. Gdy badanie DNA szczątków z Wilamaya Patjxa w Peru wykazało, że to nie mężczyznę, lecz nastolatkę pochowano 9 tys. lat temu z ostrzami do oszczepów i narzędziami do oprawiania skór (zapewne wikunii andyjskich), archeolog Randall Haas postanowił zbadać inne znane z obu Ameryk pochówki z bronią. Okazało się, że w 22 z 27 grobów datowanych na 14–8 tys. lat leżały kobiety. Badacze przypuszczają, że łowczynie na całym świecie używały miotaczy oszczepów, tzw. atlatli. Drewno się nie zachowuje, ale zaobserwowane w ciałach ludzi sprzed 40 tys. lat temu urazy prawego łokcia są typowe dla korzystających z tej broni. Łuki i miotacze ułatwiały kobietom udział w polowaniach, rekompensując deficyty siły, być może wpłynęły też na zmianę taktyki łowieckiej, bo pociski latały dalej i raziły z większą siłą.

Jak bardzo przesiąknięci byliśmy myśleniem o „naturalnym" podziale na role męskie i damskie w społeczeństwach pradziejowych, pokazuje Abigail Anderson z Seattle Pacific University. Analizowała ona ponownie 63 przebadane w ciągu ostatnich 100 lat współczesne społeczności koczownicze z całego świata. Okazało się, że kobiety polują w aż 46 z nich – co prawda na grubszą zwierzynę wyprawiają się głównie nastolatki, ale zajście w ciążę i opieka nad dziećmi nie przekreśla kariery łowieckiej. Matki zostawiają potomstwo na czas polowania pod opieką innych. O ile jednak mężczyźni częściej wyprawiają się na łowy sami, daleko od domu i na grubego zwierza, traktując to zajęcie jako rodzaj wyzwania, rywalizacji i popisu, o tyle kobietom chodzi głównie o pożywienie ▶

Nie wszędzie tam, gdzie rolnictwo się zakorzeniło, od razu pojawiały się nierówności.

▶ dla siebie i dzieci, więc zależy im na czasie, skuteczności i bezpieczeństwie, dlatego polują blisko domu, na małe zwierzęta i w grupach.

Być może główną przyczyną, dla której ludzie zaczęli tworzyć większe grupy, była potrzeba dzielenia się opieką nad potomstwem, bo to podnosiło przeżywalność dzieci, a matki miały więcej czasu na inne czynności. U łowców-zbieraczy z kongijskiego plemienia Mbendjele BaYaka niemowlęta i małe dzieci przez 9 godz. dziennie otoczone są troskliwą opieką średnio 15 opiekunów różnych płci, co oznacza, że w grupach, w których nie ma wyraźnego podziału na obowiązki męskie i kobiece, matki mają większe wsparcie. Konieczna jest jednak równowaga, bo wprawdzie im większa społeczność, tym więcej potencjalnych opiekunów, ale grupa musi być na tyle mała, by nie doszło do hierarchizacji i podziałów obowiązków według płci.

Kwestia demografii

Dzietność, a co za tym idzie liczebność grup, jest kluczowym warunkiem komplikacji organizacji społecznej, jaka nastąpiła, zdaniem naukowców, dopiero w neolicie. – *Pośrednim dowodem są występujące w zębach ślady po tzw. szokach żywieniowych, które u kobiet oznaczają też kolejne ciąże* – tłumaczy dr hab. Sobkowiak-Tabaka. – *Analiza zębów pań żyjących w mezolicie i neolicie na terenie dzisiejszej Serbii wykazała, że ten szok był rzadszy u łowczyń niż rolniczek. Za przyczynę uznali długie karmienie piersią, bo na stanowiskach neolitycznych występują bardzo liczne kościane łyżeczki ze śladami po ząbkach niemowlaków, służące do karmienia ich owsiankami. Przejście na pokarm zastępczy powodowało, że kobiety szybciej traciły laktację i mogły zajść w kolejne ciąże. Łowczynie-zbieraczki karmiły dzieci nawet przez pięć lat.* Przypuszczalnie nie był to jedyny powód, dla którego kobiety w paleolicie rzadziej rodziły (być może częściej dochodziło do poronień lub stosowały naturalną antykoncepcję). Na pewno jednak nie miały większych kłopotów z prokreacją. W przeciwieństwie do neandertalek i denisowianek.

Nasi bezpośredni kuzyni nie byli ani głupsi, ani mniej sprawni. Znali język, ogień, narzędzia, mieli sztukę, życie duchowe. Na ich wyginięcie wpłynęła demografia, pisze Tim Higham w książce „Nie tylko Homo sapiens. Nowa historia pochodzenia człowieka". Między 100 a 50 tys. lat temu populacja człowieka współczesnego zaczęła rosnąć, odwrotnie niż u naszych kuzynów. Badania DNA wykazują, że ci ostatni mieli znacznie mniejszą różnorodność genetyczną i częstsze wśród nich było zjawisko homozygotyczności, co można wiązać z chowem wsobnym. Naturalne przyczyny mogły wynikać np. z problemów przy porodach, bo neandertalczyk miał bardzo dużą głowę. Pewną przesłanką jest fakt, że dowody hybrydyzacji są tylko w naszym DNA jądrowym, a nie mitochondrialnym, co oznacza, że neandertalczycy mieli dzieci z kobietami naszego gatunku, ale mężczyźni z neandertalkami najprawdopodobniej nie.

Łowcy-zbieracze z ludu Khoisan z Namibii czy Hadzabe w Tanzanii żyją w grupach 60-osobowych i spotykają się co jakiś czas, tworząc wielkie zgromadzenia. Nie ma tam żadnej hierarchii. Ludzi łączą język, religia, więzy krwi i przyjaźnie. W społeczeństwach homininów skala tych zjawisk była znacznie skromniejsza. Z badań genomów neandertalczyków i denisowian wynika, że żyli w 20-osobowych społecznościach, co oznacza mniejszą siłę (mniej rąk do pracy), liczbę pomysłów na rozwiązywanie problemów (skromniejsze „burze mózgów") i słabiej rozbudowane sieci połączeń towarzyskich. Według prawa Metcalfe'a 20 osób ma ich 190, natomiast 60 – 1770, co sprawia, że przepływ informacji jest większy, propagując innowacyjność oraz kulturę, umacniając grupy i sprawiając, że stają się coraz bardziej złożone.

Płodność ludzi, umiejętność łączenia się oraz zawierania sojuszy stanowiły bufor podczas katastrof, zmian klimatu czy epidemii, dając nam przewagę nad naturą i innymi homininami.

Kwestia bogacenia

Choć neandertalczyk też tworzył sztukę, zaczęła ona zyskiwać popularność dopiero wtedy, gdy w Europie ok. 45 tys. lat temu na stałe zamieszkał człowiek współczesny, który wykorzystał ją do identyfikacji i jednoczenia się grup. Luksusowe przedmioty służyły zapewne do zawierania sojuszy i były znakiem wyjątkowości posiadających je osób. Pytanie tylko, czy w egalitarnych społecznościach pojawiali się jacyś paleolityczni liderzy, chociaż by ci, którzy zaplanowali i nadzorowali budowę kręgów w anatolijskim Göbekli Tepe lub szańców łowieckich.

– *O wysokim statusie mężczyzny i dwójki dzieci pochowanych w Sungirze na Syberii ok. 35 tys. lat temu świadczy włożone im do grobu 10 tys. paciorków i innych wyrobów z ciosów mamuta, których wykonanie wymagało ok. 10 tys. roboczogodzin* – twierdzi dr hab. Sobkowiak-Tabaka. – *Mimo to uważam, że to za mało, by mówić o istnieniu hierarchii. Bardziej przekonujące są badania, które dowodzą, że osoby pochowane w bogatszych grobach odżywiały się lepiej lub inaczej niż te, które pogrzebano znacznie skromniej. Jednak taką sytuację obserwujemy dopiero od czasu, gdy człowiek nauczył się pozyskiwać metale .*

Hierarchiczne struktury społeczne z systemem dziedziczenia pozycji poprzez więzy krwi pojawiły się wraz z rozdzieleniem obowiązków w grupie według płci czy zajęć (na bardziej i mniej prestiżowe). Aby do tego doszło, musiała istnieć możliwość gromadzenia pożądanych przez innych dóbr, co archeologicznie jest uchwytne dopiero w momencie pojawienia się umiejętności wytopu metali. Dawała ona olbrzymią przewagę, stając się źródłem bogactwa i statusu. Co jednak nie znaczy, że w paleolicie i mezolicie nie współpracowano, nie było przywódców duchowych czy nadzorców prac budowlanych. W końcu łowcy zbieracze nie tylko potrafili upolować mamuta, lecz także – zapewne z powodów religijno-kultowych – 12 tys. lat temu wznieśli kamienny krąg w Göbekli Tepe.

Nie da się już podtrzymać tradycyjnej narracji, według której rozwój złożonych społeczeństw przebiegał liniowo – od prostych, egalitarnych grup łowców-zbieraczy do złożonych, hierarchicznych państw rolniczych. Pisali o tym David Graeber i David Wengrow w „Narodzinach wszystkiego" (POLITYKA 50/22 i 43/2023). Stąd płynność form organizacji społecznych wśród niektórych plemion natywnych, w których w zależności od pory roku, zasobów i potrzeb duże scentralizowane struktury ze zdefiniowaną hierarchią zmieniają się w małe mobilne grupy łowców. Są też argumenty archeologiczne – nie wszędzie tam, gdzie się już rolnictwo zakorzeniło, automatycznie pojawiały się nierówności i nie wszystkie miasta powstały, opierając się na rolnictwie i hierarchii władzy. Mechanizmy ewolucji życia społecznego nie były proste i liniowe również dlatego, że interakcję między warunkami środowiskowymi, innowacjami technologicznymi i organizacją społeczną bywały różne w różnych częściach świata.

Jedno jest pewne – to płodność, umiejętność tworzenia sojuszy oraz ludzka chciwość zadecydowały o tym, jak dziś wygląda świat. Zaważy też na jego przyszłości.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

© GETTY IMAGES

Jakby zgasło światło

Postęp w zrozumieniu tajemniczej choroby, jaką jest zespół przewlekłego zmęczenia, nie tłumią kontrowersje dotyczące jej przyczyn. Ale jesteśmy bliżej przełomu.

PAWEŁ WALEWSKI

Najgorsze co może spotkać pacjenta, to zlekceważenie objawów albo posądzenie o symulanctwo. Jeśli powie o sobie za mało, nie będą mogli mu pomóc; kiedy za dużo, pomyślą, że jest psychicznie zaburzony. – *To częste doświadczenie osób, które skarżą się na zespół chronicznego zmęczenia* – przyznaje prof. Beata Tarnacka z Narodowego Instytutu Geriatrii, Reumatologii i Rehabilitacji w Warszawie. Jest neurologiem i specjalistką rehabilitacji medycznej, więc zawsze trafiali do niej pacjenci z przewlekłym bólem i schorzeniami układu nerwowo-mięśniowego. Jednak od trzech lat coraz częściej spotyka chorych z rzadko rozpoznawanym wcześniej zespołem, którym – jak wyznaje – sama dopiero uczy się pomagać.

Lekarze nie rozumieją

– *Początkowo myślałam, że mają zapalenie mięśni, skoro nie mogą wstać z łóżka albo unieść do ust kubka z kawą* – opowiada. Typowa miopatia – choroba, w której włókna mięśniowe nie funkcjonują prawidłowo. Ale elektromiografia (EMG) nie odbiega u nich od normy. Nie mają podwyższonego poziomu kinazy kreatynowej, co świadczyłoby o procesie rozpadu mięśni, a w pobranych z nich wycinkach też wszystko w porządku. Dolegliwości, na które się skarżą, nie pasują do podręcznikowych diagnoz, więc bezskutecznie pielgrzymują po gabinetach różnych specjalistów. „Ja też bywam zmęczony", „To objaw wypalenia", „Pani nic nie dolega, proszę odpocząć albo wziąć się w garść" – słyszą od reumatologów, endokrynologów, hematologów, psychiatrów, kardiologów albo neurologów. A ostatnio również z ust lekarzy od chorób zakaźnych, bo nierzadko bywa, że wysoka gorączka oraz infekcja to pierwsze i jedyne uchwytne objawy, które mogą podać w wywiadzie, więc wydaje im się, że chociaż ci nie potraktują ich jak hipochondryków.

Ktoś miał mononukleozę, kogoś na kilka tygodni powaliła grypa albo ostatnio covid. Minęły, ale w dalszym ciągu coś było nie tak: „Nagle jakby zgasło światło", „Mój mózg nie chce odpalić", „Straciłem zdolność chodzenia", „Całe dnie przesypiam". Poza tym bóle stawów, problemy z pamięcią i koncentracją, które w ostatnim ▶

▶ czasie zaczęły trapić wielu pacjentów po przebytym zakażeniu SARS-CoV-2. – *W kilku badaniach oszacowano, że nawet połowa chorych z zespołem postcovidowym spełnia kryteria zespołu przewlekłego zmęczenia* – mówi prof. Tarnacka. A to oznacza, że pandemia przyczyniła się do zwiększonej zapadalności na zespół, który od dawna w medycznej nomenklaturze funkcjonuje pod skrótem ME/CFS (ang. *myalgic encephalomyelitis/chronic fatigue syndrome*; o ciekawej ewolucji tej nazwy i związanych z nią zawiłościach czytaj w ramce obok).

W przeciwieństwie do pocovidowej mgły mózgowej (którą można dość łatwo powiązać z zakażeniem koronawirusem) przy zespole chronicznego zmęczenia bezpośredniej współzależności z różnymi infekcjami wykazać się nie da (bo prawdopodobnie dzieli je dużo dłuższy odstęp czasu). Ale to właśnie Covid-19 pomógł wydobyć na światło dzienne problemy, które do tej pory były powszechnie lekceważone. Statystyki epidemiologiczne podpowiadają, że cierpią z ich powodu 3–4 na 1000 dorosłych osób. – *Większość przypadków nie jest zdiagnozowana, ale na podstawie ogólnoświatowych danych możemy przyjąć, że w Polsce jest ich od 70 do 150 tys.* – szacuje prof. Tarnacka.

Zmiana nastawienia do zespołu przewlekłego zmęczenia i lepsze perspektywy dla chorych, których mało kto diagnozuje (a jeszcze rzadziej leczy), szczególnie cieszą prof. Pawła Zalewskiego z Collegium Medicum w Bydgoszczy: – *Dzięki Covid-19 mamy wysyp prac naukowych na ten temat. Jak ostatnio podliczyłem, ukazało się ich już ponad 7 tys.*

Jedna z nich, autorstwa jego zespołu z Katedry Fizjologii Wysiłku Fizycznego i Anatomii Funkcjonalnej, ukazała się w 2022 r. w „Journal of Translational Medicine" i dotyczy najwłaściwszego, jak się wydaje, podejścia fizjoterapeutycznego przy leczeniu CFS. – *Proponujemy ogólnoustrojową krioterapię w połączeniu ze statycznymi ćwiczeniami rozciągającymi* – mówi prof. Zalewski. Przynajmniej jakiś konkret! – *Tak, to istotna wskazówka terapeutyczna, biorąc pod uwagę brak jakichkolwiek innych opcji leczenia dla tych pacjentów.*

Schorzenie zainteresowało go od strony badawczej w 2011 r., kiedy był na stażu w Newcastle University. Trafił tam na oddział integrujący lekarzy kilku specjalności – kardiologów, neurologów i geriatrów – zajmujących się pacjentami z omdleniami i źle tolerującymi wysiłek. Po powrocie do Bydgoszczy zajął się rozpoznaniem sytuacji takich chorych w Polsce i wkrótce przystąpił do badań, które zaowocowały m.in. wspomnianym artykułem.

Jak rekrutowali pacjentów, skoro są niewidoczni dla specjalistycznej i podstawowej opieki zdrowotnej? – *Zaproszenia publikowaliśmy w mediach, więc zostaliśmy zalani zgłoszeniami* – wspomina. – *Spośród 1800 chętnych wyselekcjonowaliśmy do udziału w badaniach 92 osoby, a z nich ostatecznie 64, które miały zaawansowany CFS w stopniu średnim. Czyli jako tako funkcjonowały, nie były przykute do łóżek.*

Badania nie tłumaczą

CFS to choroba trudna do zdiagnozowania nie tylko dlatego, że brakuje swoistych biomarkerów, lecz także z uwagi na olbrzymi stopień zróżnicowania objawów. – *Pacjenci z łagodną postacią mogą pracować lub chodzić do szkoły, choć stanowi to dla nich wysiłek. Jednak co czwarty chory, według danych z literatury, nie wychodzi z domu lub, w jeszcze cięższych stadiach, jest przykuty do łóżka* – mówi prof. Tarnacka. – *Charakterystyczne są też fluktuacje w ciągu dnia, co powoduje, że pacjent u lekarza może wyglądać na zdrowego, a po powrocie do domu nie może wstać z fotela, bo nawet taki wysiłek jest dla niego zbyt duży.*

Z tego powodu niektóre wyniki badań klinicznych są łatwe do zakwestionowania. Ich autorom zarzuca się brak należytej staranności w doborze „właściwych" pacjentów (analizowane grupy powinny być jak najbardziej jednolite pod względem zaawansowania choroby, zespołu objawów itd.). Spotkało to niedawno amerykańskich naukowców z National Institutes of Health (NIH) w Bethesdzie, którzy pod koniec lutego opublikowali w „Nature Communication" wyniki 7-letnich obserwacji 17 chorych (doszukując się istotnych różnic, w porównaniu ze „zdrową" grupą kontrolną, w ich układzie odpornościowym i mikroflorze jelitowej).

Pojawiły się jednak głosy negujące prawdziwość tej diagnozy. Prof. Carmen Scheibenbogen z Instytutu Immunologii Szpitala Charité w Berlinie uznała badania za niereprezentatywnych dla populacji chorych z CFS: „Musieli być dość zdrowi i sprawni, jeśli mieli siły, by przez 7 lat regularnie przyjeżdżać z całego kraju do Bethesdy pod Waszyngtonem na wielodniowe wyczerpujące testy". Prof. Zalewski ma podobne wątpliwości: – *Każda podróż dla tych pacjentów to nadludzki wysiłek. Ci, którzy przyjeżdżają do nas, niejednokrotnie przez dobę muszą ją „odleżeć" i odpocząć w hotelu.*

Jak wygląda ich codzienne życie, dobrze oddaje dokument „Unrest" z 2017 r. (dostępny na YouTube), w którym jedna z pacjentek opowiada: „Pamiętam szesnaste urodziny spędzone w łóżku. Siedemnaste, osiemnaste, dziewiętnaste, dwudzieste, dwudzieste pierwsze. W dwudzieste drugie udało mi się na chwilę usiąść na krześle". Niektórzy osiągają względną poprawę w stosunku do tego, co było na początku, ale nigdy nie odzyskują pełnego zdrowia. – *Często zdarza się, że podczas rozmowy i zbierania wywiadu po godzinie ci ludzie*

Grypa japiszonów

ME/CFS – skrót nazwy zespołu przewlekłego zmęczenia (ang. *chronic fatigue syndrom*). Jej pierwsza część (ME – *myalgic encephalomyelitis*) ma uwypuklać ból mięśni (*myalgic*) pod wpływem procesu zapalnego ośrodkowego układu nerwowego, a więc mózgu i rdzenia (*encephalomyelitis*). To ukłon w stronę pierwszych naukowych opisów tej choroby, datowanych na 1955 r., kiedy w londyńskim Royal Free Hospital wybuchła wśród personelu epidemia, która objęła blisko 300 osób. Cierpiały one na znużenie, bóle mięśni, zawroty głowy, omdlenia, potliwość. Obiektywne dowody zajęcia procesem zapalnym mózgu i rdzenia pojawiły się w 2. i 3. tygodniu choroby.

W 1994 r. opracowano kryteria rozpoznania, choć do dzisiaj nie ma testu ani biomarkerów, na podstawie których można by stawiać diagnozę (mówi się więc jedynie o konieczności występowania, bez związku z innymi chorobami, zmęczenia przez co najmniej 3–6 miesięcy, plus takich objawów, jak omdlenia, brak tolerancji wysiłku, zawroty głowy, ból). W 2016 r. w Stanach Zjednoczonych zaczęto stosować skrót **SEID** (*systematic exertion intolerance disease*) dla podkreślenia ogólnoustrojowej nietolerancji wysiłku, ale brak w tej nazwie tła zapalnego ograniczył jej upowszechnienie.

Sporą popularnością wśród pacjentów cieszy się autoironiczne określenie *Yuppie Flu* (w wolnym tłumaczeniu: grypa japiszonów), użyte po raz pierwszy w latach 80. XX w. w kontekście skarżącego się na zmęczenie, zaburzenia snu i koncentracji przeciążonego pracą młodego pokolenia. CFS rzeczywiście dopada na ogół ludzi w wieku 25–45 lat, prowadzących aktywny tryb życia, ale ich dolegliwości nie ustępują po krótkiej regeneracji ani urlopie.

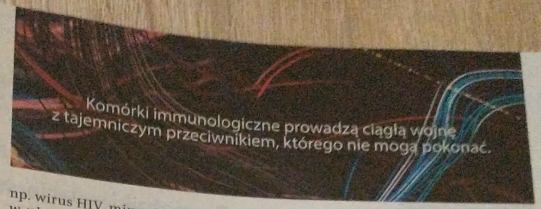

mówią lub coraz trudniej ich zrozumieć, mięśnie twarzy słabną i przestają pracować – relacjonuje prof. Zalewski.

Podstawową cechą CFS jest nietolerancja wysiłku – ale nie taka, która może się pojawić przy zaburzeniach pracy serca lub płuc albo wynikająca z braku motywacji do podjęcia aktywności. Przed wystąpieniem choroby wielu pacjentów prowadziło aktywny tryb życia. Charakterystyczne jest odroczenie pojawienia się zmęczenia w czasie (nawet do 48 godz.), ale może ono potem trwać znacznie dłużej niż regeneracja u osób zdrowych, a więc nie zwykle 24–28 godzin, tylko nawet tygodnie. – *Ważną komponentą są zaburzenia autonomicznego układu nerwowego, tzw. dysautonomie, czyli najczęściej omdlenia* – mówi prof. Tarnacka. – *Oraz nadwrażliwość: na światło dzienne, dźwięki. I znów nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje.*

Odpoczynek nie pomaga

Badania przyczyn w ostatnich latach podążały w różnych kierunkach, ale wygląda na to, że trzeba będzie je scalić. – *Etiologia tych zaburzeń jest na pewno wieloczynnikowa* – oświadcza prof. Zalewski. – *Zaczyna się od infekcji, a kończy naruszeniem równowagi mikrobioty w jelitach, rozregulowaniem odpowiedzi immunologicznej, zaburzeniem pracy mitochondriów. Wszystko razem i wszystkiego po trochu.*

Prześledźmy zatem ten proces, zapoczątkowany przez jakąś infekcję. Może ją wywołać koronawirus, który dostaje się do organizmu przez nos, więc drogą komórek węchowych przenika do układu nerwowego. Przed 2020 r. na liście potencjalnych czynników zakaźnych wymieniano: cytomegalowirusy, bakterie *Chlamydia pneumonie* oraz wirusy opryszczki i Epsteina-Barra wywołujące mononukleozę. W pracowni prof. Zalewskiego pojawiła się kiedyś nastolatka, która ciężko przechorowała tę chorobę, i w wieku 15 lat dopadł ją CFS: – *Była wysportowana, trenowała pływanie i w ciągu kilku tygodni rozwinął się u niej pełnoobjawowy zespół przewlekłego zmęczenia. Nie mogła u nas wykonać żadnej próby wydolnościowej, nie wiedziała, co się z nią dzieje.*

Silne zakażenie najprawdopodobniej pozostawia w układzie odpornościowym trwały ślad. Odkryli to właśnie wspomniani naukowcy z NIH, którzy dowodzą, że komórki immunologiczne są w stanie przewlekłej aktywności, jakby zaangażowane w ciągłą wojnę z tajemniczym przeciwnikiem, którego nie mogą pokonać. Może to wynikać z tego, że patogeny nadal pozostają w ukryciu w organizmie (biologia zna takie przypadki: np. wirus HIV, mimo że nieoznaczalny w płynach ustrojowych, ukrywa się w różnych komórkach) lub w inny sposób uaktywniają stan zapalny.

Ponadto udało się wykazać, że część mózgu zaangażowana w koordynację i kierowanie działaniami u pacjentów z CFS wykazuje zmniejszoną aktywację (inaczej niż u osób zdrowych). Chodzi o okolicę skroniowo-ciemieniową, zaangażowaną w stymulowanie komend wydawanych przez ośrodkowy układ nerwowy na przykład kończynom (aby się poruszały) albo ustom (aby się otwierały). Nadto potwierdziło się już od dawna spodziewane zubożenie mikroflory jelitowej (wykazała to również w Polsce jedna z doktorantek prof. Zalewskiego), które może wywoływać reperkusje w pracy mózgu i układzie odporności.

Ale to jeszcze nie wszystko. Prawdopodobnie dochodzi także do zaburzeń hormonów na tzw. osi podwzgórze–przysadka–nadnercza. Zmniejszenie stężenia kortykoliberyny wydzielanej w podwzgórzu skutkuje obniżeniem poziomu kortyzolu produkowanego przez nadnercza, co odbija się na pracy układu immunologicznego. Dopatrzono się także zmian na poziomie mitochondriów – struktur, które nazywane są komórkowymi elektrowniami, gdyż produkowana jest w nich energia napędzająca cały organizm. – *Ten czynnik ma ważne znaczenie* – podkreśla prof. Zalewski. – *Ale czy zmiany w mitochondriach są wtórne wobec zmian funkcji w ośrodkowym układzie nerwowym, czy odwrotnie, tego nie udało się jeszcze ustalić.*

Siłownia nie wzmacnia

Stąd wynikają pozytywne efekty zalecanej przez jego zespół krioterapii i statycznych ćwiczeń rozciągających, które, jak wynika z badań naukowych, mogą wzmacniać aktywację mitochondriów w komórkach mięśniowych. Z kolei uogólniona krioterapia resetuje układ autonomiczny, który u osób z CFS jest – jak określa to mój rozmówca – rozdygotany: – *Początkowo zimno aktywuje układ współczulny, ale w dłuższej perspektywie wywiera efekt tonizujący. Efekty krioterapii zazwyczaj przyspiesza wysiłek cardio, ale nie u tych chorych. Zalecenia, aby chodzili na siłownię lub więcej ćwiczyli, są błędem, bo mogą pogorszyć ich stan zdrowia!*

Innego leczenia nie ma. Prof. Tarnacka przyznaje, że dobrze sprawdza się tzw. pacing (ang. tempo): – *To strategia samodzielnego zarządzania aktywnością. Pacjenci są aktywni, kiedy mogą, i odpoczywają, kiedy są zmęczeni. Proponuję prowadzenie dzienniczków, by planować aktywność i dodatkowy odpoczynek przed bardziej forsownymi zajęciami fizycznymi lub nawet emocjonalnymi. Chorzy, którzy nauczą się rytmu dnia, często odzyskują sprawność.*

W kuracji farmakologicznej sięga się po suplementy (koenzym Q10, witaminy, L-argininę, choć ich skuteczność nie została potwierdzona) albo leki zarejestrowane w terapii fibromialgii (np. pregabalinę). Trzeba poprzestać na uśmierzaniu dolegliwości, a więc leczyć ból, bezsenność, depresję. Jedna z opcji uwzględnia podawanie w małych dawkach naltreksonu, zwyczajowo stosowanego przy leczeniu uzależnień od alkoholu i opioidów, który może zmniejszać poczucie zmęczenia.

– *Nie możemy zaoferować konkretnej terapii, ale w Australii, USA i Wielkiej Brytanii są już przynajmniej interdyscyplinarne zespoły lekarzy, fizjoterapeutów i psychologów, do których pacjenci mogą się zwrócić ze swoimi problemami* – sumuje prof. Zalewski. W Polsce czeka ich najczęściej długi slalom, zanim trafią do właściwych specjalistów. Ilu nie podejmie nawet takiej próby, bo nie ma sił, by wyjść z domu?

PAWEŁ WALEWSKI

O związkach pomiędzy zdrowiem psychicznym i fizycznym poczytasz w Poradniku Psychologicznym POLITYKI **„DUSZA I CIAŁO”**.
Szukaj na **sklep.polityka.pl**

KUP TERAZ

Nagrody Historyczne POLITYKI 65 lat

NAGRODY HISTORYCZNE

Poniżej prezentujemy nominacje w kategoriach
oraz Pamiętniki, relacje, wspomnienia. W ubiegłym
Źródła i Debiuty (można się z nimi zapoznać
Za tydzień, 15 maja

KATEGORIA PRACE NAUKOWE, MONOGRAFIE

Magda Szcześniak, Poruszeni. Awans i emocje w socjalistycznej Polsce, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2023

Autorka odziera „człowieka z awansu" z patyny ironii. Przywraca mu ludzkie rysy i należne miejsce w dyskursie epoki. Przygląda się tekstom kultury poważnie (i bez emocji), by dostrzec wiele ambiwalentnych odczuć, które wiązały się lub były wiązane w PRL z doświadczeniem społecznej mobilności klas ludowych. Dzięki kulturowemu słuchowi dostrzega w pamiętnikach początku lat 60. moment tytułowego emocjonalnego „poruszenia", które rezonowało następnie w mediach i literaturze jako opowieść w równym stopniu o dumie i poczuciu ulgi, jak frustracji i rozczarowaniu.
Świeże spojrzenie na skomplikowaną historię PRL. Obowiązkowo.

BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA

Marcin Zaremba, Wielkie rozczarowanie. Geneza rewolucji Solidarności, Znak Horyzont, Kraków 2023

Kolejny sukces Marcina Zaremby. Przedstawia, jak rodziła się w latach 70. rewolucja Solidarności, z jakich źródeł, inspiracji, tradycji oraz zdarzeń czerpała idee i siły. I jak zawsze widzi szeroko i głęboko, i jak zawsze pokazuje wzorcowy warsztat historyka. Jako że proces powstawania i dojrzewania opozycji demokratycznej w dekadzie Gierka został już znakomicie opisany, Marcin Zaremba zajął się przede wszystkim drugą stroną barykady. Władzą i jej ludźmi, aparatem, partią. I z tej perspektywy pokazuje, jak nieuchronnie musiało się pojawić owo tytułowe „wielkie rozczarowanie". Także i ta klęska była owocem grzechu pierworodnego ustroju i systemu, przecież miała twarz Edwarda Gierka i jego towarzyszy.

WIESŁAW WŁADYKA

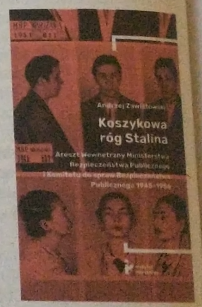

Andrzej Zawistowski, Koszykowa róg Stalina. Areszt Wewnętrzny Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego 1945–1956, Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego, Warszawa 2023

Rzetelnie opracowana monografia miejsca – tytułowego aresztu. Ciekawa, wielowątkowa opowieść oprowadza czytelnika po historii budynku, instytucji, ludzi (sprawców i ofiar). Poznajemy początki systemu represji z innej perspektywy: wyboru budynków, w których będą miały miejsce. Książka opowiada o „urządzaniu" resortu, „bezbronności człowieka", który trafiał na Koszykową, odsłania nieoczywiste obrazy w historii tej instytucji. Dowiadujemy się np. o obsadzeniu komendantury grupą migrantów z Francji, co skutkowało rozmowami w języku francuskim na korytarzach aresztu! Oprowadzają nas po nim wspomnienia więźniarek i więźniów, funkcjonariuszy. Książka rekonstruuje ważne miejsce w przeszłości, istotne dla zrozumienia historii powojennej władzy w Polsce, społeczeństwa, dziejów Warszawy.

BOŻENA SZAYNOK

POLITYKI ZA ROK 2023

Prace naukowe, Prace popularnonaukowe tygodniu ogłosiliśmy nominacje w kategoriach na polityka.pl/nagrodyhistoryczne). ujawnimy laureatów.

Nagrody Historyczne POLITYKI od 1959

KATEGORIA **PRACE POPULARNONAUKOWE**

Kalina Błażejowska,
Bezduszni. Zapomniana zagłada chorych,
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023

W latach 1939–45 niemieccy okupanci zamordowali w Polsce ponad 20 tys. upośledzonych i chorych psychicznie. Chociaż była to liczba niewiele mniejsza od np. dobrze opisanych i upamiętnionych ofiar pacyfikacji wsi, stanowili temat pomijany, wręcz tabuizowany. Kiedy więc kilka lat temu Błażejowska przymierzała się do książki o nich, słyszała, także od specjalistów, słowa nie tyle zachęty, co przestrogi i powątpiewania. Na szczęście nie posłuchała i jej historyczne śledztwo przyniosło fascynujące wyniki. Znalazła świadków, dokumenty, nowe wątki. Opisane w książce losy ofiar i sprawców z tylko dwóch szpitali - w mazowieckim Gostyninie (dorośli) i śląskim Lublińcu (dzieci) są lekturą wstrząsającą. I trudno się od niej oderwać.

JERZY KOCHANOWSKI

Cezary Łazarewicz,
Na Szewskiej. Sprawa Stanisława Pyjasa,
Wydawnictwo Czytelnik,
Warszawa 2023

Ta książka nie przynosi ulgi. Reporter, który zjadł zęby na sprawach kryminalnych, krok za krokiem, świadek za świadkiem rekonstruuje historię, którą przed nim próbowali zrozumieć koledzy Staszka Pyjasa, prokuratorzy i sędziowie. Mnożą pytania. Sprawdza i podważa tropy. Jeszcze raz czyta opinie Instytutu Medycyny Sądowej. Szuka wszystkich możliwych kontekstów, by ostatecznie i tak zostawić czytelników i historyków z tym jednym zdaniem: „Pyjas zmarł na skutek upadku z wysokości, a jego przyczyn nie da się ustalić".
To boli. Ale też niczego chyba bardziej nie potrzebujemy dzisiaj niż prawdy. Prawdy o ludziach i miejscach, które powoli, na naszych oczach zmieniają się w suche podręcznikowe fakty.

BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA

Agata Szydłowska,
Futerał. O urządzaniu mieszkań w PRL-u,
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023

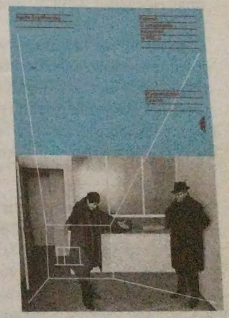

Mieszkanie i jego wnętrze stały się pretekstem do barwnej, interdyscyplinarnej, uporządkowanej chronologicznie opowieści o PRL. Autorka opisuje powojenne życie w ruinach, w cudzych mieszkaniach, dzielenie niewielkich przestrzeni z obcymi ludźmi, różne odsłony socjalistycznego budownictwa. Codzienność w różnej przestrzeni (miasto, prowincja, nowoczesność i rudery, hotele) opisana jest np. wyglądem kuchni, toalety, wyposażeniem (meble czy firanki), historią prania. Autorka opowiada nam o meblach, ale także o ich twórcach, pokazuje wpływ socjalistycznych realiów: sęki stawały się ozdobą z braku lepszego drewna. Ciekawe cytaty i zdjęcia zaglądają w opisywaną rzeczywistość z różnych perspektyw. Pokazują m.in. radzenie sobie z ciasnotą, zaradność wobec „braków", awans cywilizacyjny czy problemy intymności w peerelowskich mieszkaniach. ▶

BOŻENA SZAYNOK

KATEGORIA **PAMIĘTNIKI**

W tej kategorii Jury obradowało w ograniczonym składzie, z wyłączeniem prof. Jerzego Kochanowskiego, zaangażowanego w opracowanie jednej z książek.

Beata Gołembiowska, Sierpień '80 rozpoczął Jerzy Borowczak,
Wydawnictwo Nieoczywiste, Warszawa 2023

Rewolucje ujawniają ukryte talenty ludzkie, wyłaniają charyzmatycznych przywódców. W armii Napoleona wielu czołowych dowódców było ludźmi z tzw. prostego ludu, synami bednarza lub praczki. Rewolucja Solidarności potwierdza tę tezę. Wałęsa to klasyczny przykład, ale były i inne. W Gdańsku jednym ze spontanicznie wyrosłych przywódców był Jerzy Borowczak. Zdawało się, że wiemy wszystko o strajku stoczniowców. Tak miałem prawo sądzić: moja żona, Halina Paszkowska, była współrealizatorem filmu „Robotnicy '80" i przebywała w stoczni aż do podpisania układu z rządem. Od niej dowiedziałem się o wielu szczegółach. A jednak Borowczak dopowiedział mi wiele spraw dotyczących nastrojów wśród robotników i wzajemnych relacji między przywódcami robotniczymi, a także o atmosferze rozmów ze stroną partyjno-rządową. Ta część wywiadu rzeki wydaje mi się szczególnie cenna. Znamienne są słowa Wałęsy: bez Jerzego Borowczaka nie byłoby Lecha Wałęsy, nie byłoby Solidarności.

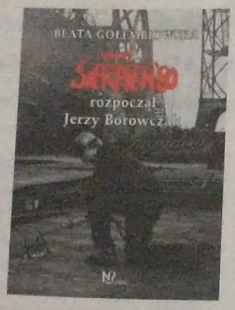

MARIAN TURSKI

Małgorzata Wryk, Opowieść mojej mamy. Ocalić rodzinną historię od zapomnienia,
Znak Horyzont, Kraków 2023

To opowieść wysłuchana i wyczytana. Niezwykły patchwork uszyty z rozmów, dokumentów, zapisków i pamięci autorki o rodzicach oraz krewnych, których w szczególny sposób dotknęły dwudziestowieczne totalitaryzmy.
Książka nie jest jednak tylko rekonstrukcją rodzinnej historii Wandy i Edwarda Serwańskich, ale być może przede wszystkim próbą poradzenia sobie ich córki z trudnym bagażem (post)pamięci drugiej wojny światowej i stalinizmu. Małgorzata Wryk otwiera przed czytelnikami drzwi swojego rodzinnego domu jako „świadek z drugiej ręki", często – jak sama przyznaje – bezradny wobec bagażu pamięci, jaki dźwigali jej bliscy. I wciąż żałuje, że nie zadała o przeszłość wszystkich pytań, które – w imieniu swoim i swoich dzieci – mogła im zadać.

BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA

Wiesław Złoch, Swój plan wykonam. Dziennik górnika z 1972 r.,
opracowanie i przypisy Ryszard Kaczmarek i Jerzy Kochanowski, wstęp Jerzy Kochanowski, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2023

Ten dziennik jak wehikuł czasu przenosi nas do 1972 r. Zapiski z każdego dnia, w ciągu jednego roku były wymogiem konkursu, w którym Wiesław Złoch wziął udział. Dzięki niemu poznajemy Polskę „wczesnego Gierka" z perspektywy 30-letniego górnika, mieszkańca Katowic, żonatego, ojca dwójki dzieci. Notatki zapraszają nas do jego domu, kopalni, rodziny, kręgu znajomych, na zakładowe wczasy. Poznajemy jego plany, ulubione gazety, polską codzienność, wielką i małą politykę. Dziennik zbiera nie tylko radości i nadzieje obywatela PRL, ale także okruchy rzeczywistości niesprawiedliwej i niewydolnej gospodarczo. Dlaczego te zapiski są wyjątkowe? Bo pisał je człowiek decydujący się „niczego nie ukrywać, bo przecież szczerość i prawda, choćby była najsmutniejsza, to są rzeczy najważniejsze".

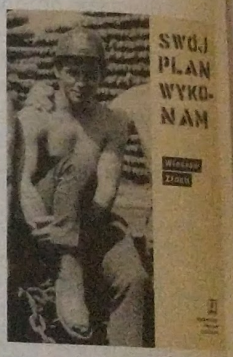

BOŻENA SZAYNOK

Nominowało Jury w składzie: prof. dr hab. **JERZY KOCHANOWSKI** (z wyłączeniem kategorii pamiętniki), dr hab. **BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA**, prof. dr hab. **DARIUSZ STOLA**, dr hab. **BOŻENA SZAYNOK**, red. **MARIAN TURSKI**, prof. dr hab. **WIESŁAW WŁADYKA**.

Mecenasami Nagród Historycznych POLITYKI są:

zaks sprzyjamy wyobraźni

Dantex

ABUR Systemy automatyki

© JESUS HELLIN/EUROPA PRESS VIA GETTY IMAGES

Królestwo w skali mikro

Bywa skorumpowana i zdeprawowana, ale jednocześnie jest najskuteczniejszym narzędziem sprawowania władzy. O rodzinie i jej roli w dziejach świata opowiada brytyjski historyk Simon Sebag Montefiore.

TOMASZ TARGAŃSKI: **Wielu autorów opisuje historię ludzkości z perspektywy religii, technologii albo pracy. Pan zdecydował się wrócić do korzeni i opowiedzieć ją z punktu widzenia wielkich ludzi oraz ich rodzin. Dlaczego?**

SIMON SEBAG MONTEFIORE: Miałem poczucie, że historycy tracą zainteresowanie czynnikiem ludzkim. Dawniej nikt nie miał wątpliwości, że to wielkie jednostki napędzają historię. Dziś jesteśmy nieufni w stosunku do wielkości, nie wierzymy w nią. Rolę motorów rozwoju przejęły wielkie procesy, instytucje czy trendy ekonomiczne. Lecz koniec końców, to my wypełniamy je treścią. Element ludzki czyni historię tak fascynującą, ponieważ jesteśmy istotami nieprzewidywalnymi, kierowanymi przez emocje i namiętności, których często sami nie rozumiemy bądź nie zdajemy sobie z nich sprawy. Można sprowadzić historię do wymyślnej gry liczb. Są badacze, którzy próbują wyjaśnić zagadki przeszłości za pomocą wielkich modeli matematycznych. Przystępując do pisania książki, chciałem na powrót postawić człowieka w centrum historii. Najlepszym sposobem, aby to zrobić, wydała mi się rodzina. Bo w niej, jak w soczewce, skupiają się ludzkie dramaty, ambicje i uczucia. Od zawsze była też polem spotkań między rasami, kulturami i religiami, bez czego nie sposób opowiedzieć historii naszego złożonego świata. Perspektywa rodzinna daje poczucie ciągłości.

Simon Sebag Montefiore – brytyjski historyk i autor bestsellerowych książek, w tym m.in. „Stalin. Dwór czerwonego cara" czy „Jerozolima". Jego najnowsza praca „Świat. Historia rodzinna" ukazała się nakładem Wydawnictwa Znak.

W szkołach uczymy się, że rodzina to „podstawowa grupa społeczna", ale pan pokazuje ją raczej jako instytucję polityczną. Skąd pochodzi jej siła?

Myślę, że wynika ona z fundamentalnej dla nas jako ludzi potrzeby przynależności. Zawiera się ona w słowie „familiarność", które tak naprawdę oznacza przecież bliskość. Siła rodziny jako instytucji politycznej wynika zaś z jej plastyczności. To niezwykle uniwersalna instytucja, która może służyć za kręgosłup dla państwa, religii czy biznesu. Mijają tysiąclecia, a rodzina nadal jest jednym z najskuteczniejszych narzędzi akumulacji władzy i bogactwa. Ideologiczne kostiumy mogą się zmieniać, ale gdy w grę wchodzą polityka i pieniądze, najczęściej opieramy się na krewnych.

Weźmy rodzinę Bonapartych. Napoleon i jego bracia zaczynali jako republikanie, by stopniowo przesuwać się w kierunku monarchii, a nawet absolutyzmu. Napoleon III przebył zaś drogę od demokratycznie wybranego prezydenta do cesarza ▶

▶ Francuzów, wzbogacając swoją monarchię o silny komponent demokracji bezpośredniej, czyli plebiscyty. Rządzący Koreą Północną Kimowie to miks marksistowskiej dyktatury z koreańskim nacjonalizmem. Chcę przez to powiedzieć, że polityka dynastyczna jest w stanie zaadaptować się do każdego ustroju. Nie ma ideologii, która zdołałaby wykluczyć jej nadzwyczajne zalety z punktu widzenia sprawowania władzy.

Ale właśnie z tego powodu wiele reżimów próbowało wykluczyć rodzinę z polityki. Choćby przywódcy Związku Radzieckiego: władza nie była tam dziedziczna.

Bolszewicy, szczególnie pierwsze pokolenia, byli pod tym względem bardzo pryncypialni. Żadne z dzieci Stalina nie zrobiło kariery politycznej. Jego życie rodzinne było owiane tajemnicą. Późniejsi sekretarze generalni partii też trzymali swoje dzieci z dala od sceny politycznej. Jakakolwiek protekcja czy nepotyzm kłóciły się z marksistowską moralnością, choć w całym państwie korupcja kwitła w najlepsze. Innym przykładem jest Hitler, który chlubił się tym, że nie założy rodziny, bo jego jedyną wybranką jest Rzesza. To jednak wyjątki. Z perspektywy ludzkiej cywilizacji widać, że Samuel Johnson był bliski prawdy, kiedy powiedział, że każde królestwo jest rodziną, a każda rodzina małym królestwem.

W książce pisze pan o „rodzinach władzy". Co odróżnia je od rodzin rozumianych biologicznie?

Te ostatnie, które znamy wszyscy, traktują wychowanie dzieci jako przedsięwzięcie czysto prywatne. W rodzinach władzy z definicji stawka jest wyższa. Dlatego posługują się one zaufaniem i rodowodem jak spoiwem do gromadzenia władzy, utrzymania zamożności oraz dzielenia niebezpieczeństw. Nie dotyczy to wyłącznie rządzących całymi państwami dynastii. Większość rodzin, które posiadają jakiś majątek, nieuchronnie oddaje się polityce dynastycznej w ten czy inny sposób. W grę zaczynają wchodzić preferencje rodziców, ich słabość do któregoś z dzieci. Istotną różnicą względem rodziny biologicznej jest też to, że rodziny władzy niekoniecznie muszą opierać się na więzach krwi. Adopcja była rozpowszechnioną praktyką wśród rzymskiego patrycjatu i służyła przede wszystkim temu, by uniezależnić się od biologicznej ruletki, czyli bezpłodności albo konieczności przekazania władzy nad rodem synowi, który nie miał zadatków na przywódcę. Dowodem na skuteczność tej metody jest adoptowany syn Juliusza Cezara, czyli Oktawian August, który okazał się jednym z najwybitniejszych politycznych umysłów w dziejach Zachodu.

A jak władza wpływa na stosunki wewnątrz rodziny?

Deprawuje je. Nie ma wyjątku od tej reguły. Chyba najbardziej przerażającą cechą rodzin władzy jest to, że groza współistnieje tam z intymnością. Neron najpierw sypiał ze swoją matką, a później ją zamordował. Kösem, żona sułtana Ahmeda I, najpierw kazała udusić swojego syna, a później sama została uduszona przez wnuka. Niedawno Kim Dzong Un zamordował swojego brata, wykorzystując telewizyjne reality show jako scenerię i truciznę VX. W paranoicznej atmosferze dworu więzy krwi, które miały przecież gwarantować stabilność i zaufanie, stają się obciążeniem dla wszystkich stron. Zarówno głowa rodu, jak i następcy podejrzewają się o spiskowanie przeciw sobie. W takich sytuacjach zaufanie wyparowuje i często przechodzi na ludzi spoza kręgu rodzinnego. Tak powstawały wielkie kariery doradców w stylu Potiomkina.

Kwestia sukcesji jawi się jako najbardziej ryzykowny element dynastycznej polityki. W jaki sposób różne kultury na przestrzeni dziejów rozwiązywały problem pokojowego przekazania władzy?

Każdy system miał swoje zalety. Każdy też miał na swój sposób zapewnić stabilność i kontynuację w tym bardzo niestabilnym świecie. Dziedziczne monarchie dzieliły się z grubsza na dwie kategorie. W pierwszej dominowała primogenitura i zgodnie z jej regułami władza przechodziła na najstarszego syna. Jej zaletą była przejrzystość. Hierarchia była jasno określona, co sprzyjało budowaniu zaufania i rządów prawa. Na tym fundamencie z czasem wyrosły monarchie konstytucyjne w krajach zachodniej Europy. Inny system dziedziczenia praktykowano w Chinach oraz wśród dynastii stepowych, jak Osmanowie czy Czyngisydzi. Tam dynastia opierała się na selekcji – z wyboru lub przy użyciu siły – najzdolniejszego księcia jako następcy. Władca miał zwykle wielu potomków. Bez różnicy, czy matką była żona, czy któraś z konkubin – wszystkich synów traktowano w miarę równo. A w chwili śmierci głowy rodu mieli oni mniej więcej równe szanse na sukcesję. Rywalizacja między synami była niezwykle krwawa i niestety często kończyła się tym, że po objęciu władzy zwycięzca prewencyjnie zabijał swoich braci i bratanków, aby nie rzucili mu wyzwania w przyszłości. Dlatego dzieje Imperium Osmańskiego są pełne sułtanów bratobójców. Skala przemocy była tak duża, że na dworze w Stambule utrzymywano nawet specjalną jednostkę zabójców – tzw. niemych, czyli *dilsiz* – którzy dusili książęta cięciwami łuków. Fakt, że byli głuchoniemi, miał odgrodzić ich od wpływów z zewnątrz.

Raczej nie była to recepta na zapewnienie państwu stabilności.

Nie. Każda sukcesja niosła groźbę wojny domowej. Ale ci, którzy wychodzili zwycięsko z tak krwawej rywalizacji, często okazywali się wielkimi zdobywcami. Cechowały ich bowiem agresja i bezwzględność. Żadne

Mahomet i jego zwolennicy podążają na bitwę, folio z ok. 1820 r.
Powyżej: **pomnik cesarza Oktawiana.**

© SHUTTERSTOCK, HERITAGE IMAGES/GETTY IMAGES, PHOTOQUEST/GETTY IMAGES, CORBIS/GETTY IMAGES

imperium nie jest jednak w stanie przetrwać wstrząsów co kilka lub kilkanaście lat. Primogenitura ze względu na swoją przewidywalność jest bardziej stabilna. Fakt, że pod względem geograficznym był to system w dużej mierze ograniczony do Europy, daje do myślenia. Reszta świata funkcjonuje inaczej. W krajach, które oficjalnie nie są monarchiami, choć są nimi *de facto*, jak Syria rządzona przez rodzinę Asadów, czy niektóre republiki afrykańskie, gdzie urząd prezydenta jest w zasadzie dziedziczny, nie ma jasnych procedur dziedziczenia. Weźmy Arabię Saudyjską. Teoretycznie korona przechodzi tam na najstarszego członka rodu Saudów. Ale rzeczywistą władzę sprawuje dziś książę Muhammad bin Salman, który okazał się najzdolniejszy i najbardziej bezwzględny w zakulisowych rozgrywkach.

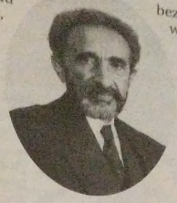

Cesarz Etiopii Hajle Syllasje. Poniżej: popiersie cesarza Francuzów Napoleona I wyrzeźbione przez Antonia Canovę.

Który model dziedziczenia był więc najskuteczniejszy z punktu widzenia kierowania państwem?

System oparty na adopcji miał chyba najwięcej zalet. Przede wszystkim dlatego, że łączył w sobie elementy dynastyczne z merytokracją. Gwarantował stabilność z jednej strony, a z drugiej zapewniał dostęp świeżej krwi i talentów. Jeśli rządząca dynastia zamyka się na świat zewnętrzny, jej siły witalne słabną, a groźba, że pojawi się ambitny outsider, rośnie. Jednym z takich właśnie outsiderów był słynny Nadir Szah z Iranu, który obalił wielką dynastię Safawidów i dał początek nowej. Aby uniknąć podobnych sytuacji, w Imperium Osmańskim istniał system adopcji zdolnych jednostek do rodziny panującej poprzez ślub z jedną z córek sułtana. Damat był oficjalnym tytułem oznaczającym zięcia sułtana. Swoistym wentylem bezpieczeństwa dla ludzi chcących się wykazać, ale nie spokrewnionych z rodem panującym, był także urząd wielkiego wezyra, który de facto kierował bieżącą polityką imperium.

Która z rodzin władzy na przestrzeni dziejów osiągnęła największy sukces? Czy istnieje jakieś kryterium, wedle którego można to ocenić?

Najbardziej oczywista wydaje się długowieczność. Historia pokazuje, że łatwiej zdobyć władzę, niż się przy niej utrzymać. Dlatego jeśli rodzina jest w stanie pozostać u steru przez długi czas, jak Haszymici, którzy wywodzą się od rodu samego Mahometa i przez niemal tysiąc lat rządzili Mekką, to musi oznaczać sukces. Haszymici zasługują na uwagę, bo przetrwali wszystkie zawirowania XX w. i rządzą Jordanią do dziś. Sam Mahomet dał początek kilku dynastiom, które stworzyły rozległe imperia na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Kluczem do panowania na Bliskim Wschodzie było i w pewnym sensie nadal jest powołanie się na pokrewieństwo z rodziną proroka. Innym przykładem może być dynastia salomońska z Etiopii: trwała z przerwami od połowy XIII w. aż do obalenia cesarza Hajle Syllasje w 1975 r. Z kolei jeśli odrzucimy długowieczność, a jako kryterium przyjmiemy siłę, broń, jaką dysponuje jedna rodzina, to najpotężniejsi są koreańscy Kimowie. Mają przecież broń atomową. Przyszłość pokaże, czy fakt, że dysponują tak niszczycielską siłą, zapewni im długotrwałe panowanie.

Czy pomimo rozprzestrzeniających się idei demokratycznych i równościowych w XXI w. wciąż jest jeszcze miejsce dla dynastii i rodzin władzy?

Bez wątpienia. Jeśli spojrzymy poza szeroko pojęty Zachód, zobaczymy, że rodzina nadal stanowi fundamentalną wartość w polityce i poza nią. Dla większości ludzi na świecie to ona, a nie bezosobowe państwo jest źródłem ochrony i sprawiedliwości. Zobaczmy, co stało się w Afganistanie. Wycofanie się stamtąd Amerykanów w 2021 r. i przejęcie władzy przez Talibów można przecież postrzegać jako porażkę zachodniego myślenia opartego na zaufaniu wobec państwa oraz zwycięstwo tradycyjnych instytucji klanowych, które od tysięcy lat były w tym regionie świata synonimem prawa i porządku. Ponadczasowym atutem rządów rodzinnych jest to, że ludzie wiedzą, kto jest u władzy teraz i co ważniejsze, mogą się domyślić, kto będzie następcą. To daje poczucie bezpieczeństwa, którego moim zdaniem nie doceniamy.

W demokracjach szczycimy się tym, że pożegnaliśmy politykę dynastyczną, że w obliczu państwa jesteśmy równi bez względu na status rodzinny. Ale to tylko naskórek. Myślenie klanowe wciąż jest silne. Nawet w Ameryce, ze wszystkimi jej mechanizmami kontroli i równowagi władzy, Donald Trump próbował niedawno zaprowadzić rządy oparte na członkach swojej rodziny. I wielu Amerykanom to się podobało, co może dziwić w kraju, który powstał w wyniku rewolucji wywołanej przeciw wszystkiemu, co uosabiała dziedziczna monarchia brytyjska. Czego to dowodzi?

No właśnie, czego?

Że między ideałami demokracji i równości a głęboko ludzkim instynktem dziedziczności istnieje niezbywalne napięcie. Wielu ludzi czuje, że obietnice, jakie niosą demokracje – sprawiedliwości uosabianej przez ślepą Temidę czy równych szans bez względu na pochodzenie – nie zostały spełnione. Zrodzone na tym tle rozgoryczenie wykorzystują różnej maści autokraci. Zauważmy, że z perspektywy całej ludzkiej cywilizacji bezosobowe racjonalne państwo jest pomysłem dość nowym, można nawet powiedzieć dziwacznym. Ograniczenie naszej potrzeby familiarności i bliskości tylko do sfery prywatnej – co jest przecież fundamentem demokracji – napotyka opór. Na przestrzeni ostatnich kilku wieków państwo wymyślało najróżniejsze sposoby, aby ograniczyć wpływ więzów krwi w polityce czy gospodarce. Urzędy są dziś wybieralne, nie dziedziczone. Podobnie jak zawody, choć jeszcze nie tak dawno większość profesji, nawet na Zachodzie, była dziedziczna. Ten instynkt – przekazywania bogactwa lub statusu społecznego – z pokolenia na pokolenie tkwi głęboko w nas. Najlepszym dowodem na jego trwałość jest fakt, że jeśli spojrzeć na badania, większość dzieci lekarzy, prawników czy nauczycieli akademickich idzie w ślady rodziców. Jest to szczególnie widoczne w Ameryce. Również w tamtejszej polityce rodzinne klany mają ogromne wpływy. Koniec końców w swojej książce chciałem pokazać, że siła rodziny nadal jest motorem napędowym historii.

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI

KUP TERAZ

O 44 wielkich rodach królewskich
możesz poczytać
w Pomocniku Historycznym POLITYKI
„WIELKIE DYNASTIE EUROPY".
Szukaj na **sklep.polityka.pl**

na scenie

Serce, mózg i inne organy 5/6

Serce ze szkła. Musical zen, libretto Klaudia Hartung-Wójciak i Maria Peszek, muzyka Andrzej Smolik, Maria Peszek, reż. Cezary Tomaszewski, Studio Teatrgaleria w Warszawie i Teatr im. Słowackiego w Krakowie

Sytuacja wyjściowa musicalowego „Serca ze szkła" jest taka, jak w wydanym dwa lata temu zbiorze rozmów **Marii Peszek** i **Jana Peszka** „Naku•wiam zen". „Ja, Maria, znajduję siebie jako człowieka, ale też jako artystę, w dupie i stwierdzam, że to nie jest przyjemne miejsce. Nie jest tak, że to całkiem nowe dla mnie miejsce, że ja tu nigdy wcześniej nie byłam. Jasne, że byłam. Ale tym razem skala jest inna" – stwierdza córka i zwraca się po radę do ojca – osoby i artysty, który z życiowych i zawodowych zakrętów wychodził, nie tracąc optymizmu, zaufania do świata i twórczej energii. W spektaklu zadaje swoje pytania w kostiumie stylizowanym na lapoński czy innuicki i jest jednocześnie Marią/Manią, Kajem z Andersenowskiej „Królowej Śniegu" oraz charyzmatyczną piosenkarką, a jej ojciec (zarazem Królowa Śniegu) odpowiada ustrojony w błękitną suknię, brokat i blond koński ogon (autorką scenografii i szalonych kostiumów jest Aleksandra Wasilkowska, także architektka nagradzana m.in. przez POLITYKĘ). Szukanie źródeł życiowej siły zmienia się w opowieść o rodzinie, o sztuce i artystach, o zawodowej frustracji leczonej alkoholem i strachu dziecka o rodzica, o PRL-u i Kościele, o inności i akceptacji. Z piosenkami w rozmaitych konwencjach i tańcem, w których realizm łączy się z surrealizmem, baśnią i przaśnością. Jak w wyśpiewywanym na operową modłę, z emfazą godną życiowego credo, zdaniu: „Kocham trzy zapachy: z pisi, z pupy i spod pachy". Peszkowie nieraz udowadniali, że nie ma dla nich tematów tabu, a miłość rymuje się ze słowem „szczerość". Tu osobista perspektywa spotyka się z polską i uniwersalną, bo to ostatecznie historia o podążaniu własną drogą w kraju przeoranym przez autorytaryzm świecki i kościelny oraz trening akceptacji siebie, swojego ciała, słabości i świata wokół. W świetnym wykonaniu całego zespołu.

ANETA KYZIOŁ

na scenie

Nie tylko dla dzieci 5/6

Mieczysław Wajnberg, **Pinokio (Złoty kluczyk)**, reż. i choreografia Anna Hop, kier. muzyczne Marta Kluczyńska, Teatr Wielki – Opera Narodowa

Cieszy nie tylko fakt, że dostaliśmy stworzoną miejscowymi siłami wartościową pozycję dla dzieci (to zawsze towar deficytowy), ale też że jest to muzyka Mieczysława Wajnberga, wciąż dopiero u nas odkrywana. A przecież kompozytor, mimo że przez większość życia mieszkał w Moskwie, był warszawiakiem i do końca życia czuł się z Polską związany. Balet ten powstał w połowie lat 50., a wystawiono go w kolejnej dekadzie. Został napisany co prawda nie wprost do znanej bajki Carla Collodiego, lecz do jej parafrazy „Złoty kluczyk" autorstwa Aleksieja Tołstoja, gdzie drewniany pajacyk nazywa się Buratino. Twórczynie spektaklu dostosowały jednak muzykę do treści oryginalnego „Pinokia", szeregując po swojemu poszczególne fragmenty. Udało im się to znakomicie, a całość przyciąga zarówno ucho, jak i oko. Jest błyskotliwa pod każdym względem: efektownej choreografii, pomysłowej scenografii ze znakomitym wykorzystaniem świateł i projekcji (Małgorzata Szabłowska) oraz świetnej muzyki pod batutą Marty Kluczyńskiej. To spektakl, który sprawia frajdę i dzieciom, i dorosłym. Po pierwszej serii nie powróci przed wakacjami, ale w przyszłym sezonie na pewno.

DOROTA SZWARCMAN

Skala ocen: 1(dno)–6(wybitne)

anie

mózg
gany 5/6

udia Hartung-Wójciak i Maria
szek, reż. Cezary Tomaszewski,
m. Słowackiego w Krakowie

„Serca ze szkła" jest
u zbiorze rozmów **Marii**
zen". „Ja, Maria, znajduję
rtystę, w dupie i stwier-
e jest tak, że to całkiem
śniej nie byłam. Jasne,
twierdza córka i zwraca
życiowych i zawodo-
izmu, zaufania do świa-
je pytania w kostiumie
ednocześnie Marią/
niegu" oraz charyzma-
owa Śniegu) odpowia-
koński ogon (autorką
dra Wasilkowska,
TYKĘ). Szukanie
odzinie, o sztuce
holem i strachu
kceptacji. Z piosen-
rych realizm łączy
wśpiewywanym
redo, zdaniu: „Ko-
eszkowie nieraz
niłość rymuje się
potyka się z pol-
żaniu własną
ecki i kościelny
ci i świata wokół.

ANETA KYZIOŁ

wej sce-
aniem
łowska)
arty Klu-
a frajdę
serii nie
yszłym

RCMAN

na ekranie

Miłość i bijatyka 4/6

Kaskader (The Fall Guy), reż. David Leitch, prod. USA, 126 min

Zanim David Leitch został reżyserem wysokobudżetowych filmów akcji, spędził wiele lat na planach w roli kaskadera. Postanowił więc złożyć hołd kolegom i koleżankom po fachu: tym, których na ekranie niemal nie dostrzegamy, a bez których kino rozrywkowe byłoby zdecydowanie mniej efektowne. Materiał znalazł w popularnym serialu z lat 80. „The Fall Guy", którego główny bohater, Colt Seavers, korzysta z kaskaderskich umiejętności w pracy łowcy nagród. We współczesnej wersji Colt ma twarz **Ryana Goslinga**, kiedyś był dublerem bufonowatego gwiazdora Toma Rydera (Aaron Taylor-Johnson) i właśnie wraca na plan po długiej rehabilitacji fatalnej kontuzji. Właściwie to chciał już porzucić ten zawód, lecz zdecydował się na jeszcze jeden występ tylko dlatego, że film reżyseruje jego była dziewczyna Jody (Emily Blunt). Na miejscu się przekonuje, że nie tylko musi wykonać kilka niebezpiecznych sztuczek, lecz także odnaleźć Rydera, który zaginął, a wiele wskazuje na to, że naraził się gangsterom. Reszta to ciąg pościgów i bijatyk – fantastycznie zresztą zaaranżowanych – wymieszanych z komedią romantyczną (wszak uczucie łączące Colta i Jody nie wygasło całkowicie) i autotematycznym komentarzem na temat pracy przy wielkich hollywoodzkich produkcjach. „Kaskader" na szczęście sprawdza się w każdej z tych dziedzin: jest lekki, bezpretensjonalny, chwilami zamierzenie głupiutki, a zarazem na tyle sprawnie wyreżyserowany, że nie pozostawia wrażenia zmarnowanego w kinie czasu. W sam raz na otwarcie sezonu letnich blockbusterów.

JAKUB DEMIAŃCZUK

na ekranie

Kto tu jest obcy? 4/6

The Old Oak, reż. Ken Loach, prod. Wielka Brytania, Francja, Belgia, 113 min

Akcja nowego filmu Kena Loacha (jak sam reżyser zapowiada, jednocześnie ostatniego w jego wieloletniej karierze) rozgrywa się w północnej Anglii, lecz mogłaby się toczyć w dowolnym miejscu Europy. Do małego miasteczka w regionie zmagającym się z bezrobociem i ekonomiczną zapaścią przyjeżdża niewielka grupa imigrantów z Syrii. Ich obecność budzi powszechną niechęć i ataki agresji, w dyskusjach padają argumenty, które niestety w Polsce znamy zbyt dobrze („nie jestem rasistą, ale…"). Nieliczni mieszkańcy, w tym właściciel tytułowego pubu Pod Starym Dębem, próbują zaprzyjaźnić się z przybyszami czy choćby zrozumieć ich dramatyczną sytuację, lecz poza tym konflikty eskalują z każdym dniem. W pewnym sensie Loach wraz ze swoim stałym scenarzystą Paulem Lavertym od lat snują tę samą – choć w różnych wariantach – opowieść o kulturowym i ekonomicznym wykluczeniu, o systemowej przemocy, o dekadach zaniedbań, które rujnują tkankę społeczną. To kino w ścisłym sensie polityczne, zaangażowane, lecz jednocześnie głęboko humanistyczne. Loach i Laverty nie dają, bo i dać nie mogą, recepty na rozwiązanie sygnalizowanych problemów, lecz już sam fakt, że głośno o nich mówią, zawsze był znaczący. Pobrzmiewają w „The Old Oak" echa esejów Didiera Eribona o brunatniejącej klasie robotniczej, ale jest też jak zwykle u Loacha cień wiary w ludzi i nadziei na zmiany. Skromne, kameralne kino, za to wielka lekcja empatii. JD

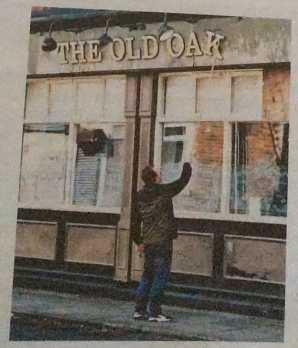

w galerii

Kolorowi na szarym tle 4/6

Ultraawangarda. Koło Klipsa i poznański underground lat 80. XX wieku, Muzeum Narodowe w Poznaniu, do 28 lipca

Wystawa przenosi nas w czasy, gdy w progresywnej pod względem kulturalnym Polsce działo się – w przeciwieństwie do dziś – wiele dobrego i ciekawego. W dużym stopniu za sprawą tytułowej formacji artystycznej działającej między 1983 a 1990 r. Mizerii i szarości dnia codziennego schyłkowego PRL-u przeciwstawiała sztukę intuicyjną, pełną witalności, fantazji, żywiołowości, a nawet humoru. Krytyczka Ewa Gorządek widzi w niej na przykład

nową ekspresję europejską z postmodernistycznym wymiarem oraz doświadczeniem surrealizmu, malarstwa materii, pop-artu, sztuki Duchampa i ruchu Fluxus. Mordercza, ale i wciągająca to mieszanka, którą tworzyli Mariusz Kruk, Leszek Knaflewski, Krzysztof Markowski i Wojciech Kujawski. Ekspozycja zasłużenie przypomina ową formację z jej szalonymi dziełami, choć nie jest w stanie odtworzyć atmosfery wczesnych wystaw. Choćby dlatego, że były niezwykle starannie zaaranżowanymi przestrzennymi instalacjami, w których każda praca miała swoje ściśle określone miejsce i przypisaną rolę. Wyrwane z podziemnego kontekstu i wstawione w kubiki muzealne, wiele tracą. Osobną część poświęcono poznańskiej awangardowej scenie muzycznej owych czasów, którą tworzyły takie kapele, jak Pidżama Porno, Malarze i Żołnierze, Zbombardowana Laleczka. Są plakaty, nagrania, fotografie, zapisy wideo. Domyślam się, że szło o rozszerzenie potencjalnego targetu wystawy. Jednak niepotrzebnie i trochę na siłę, ze stratą dla mocy rażenia obu tych fenomenów kultury owych czasów.

PIOTR SARZYŃSKI

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, ŚWIĄTNICKA/TEATR WIELKI-OPERA NARODOWA, UNIVERSAL STUDIOS/DP, AURORA FILMS, WŁODZIMIERZ KOWALIŃSKI

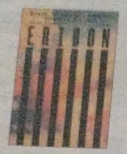

Matka odchodzi 5/6

Didier Eribon, **Życie, starość i śmierć kobiety z ludu**, przeł. Jacek Giszczak, Karakter, Kraków 2024, s. 288

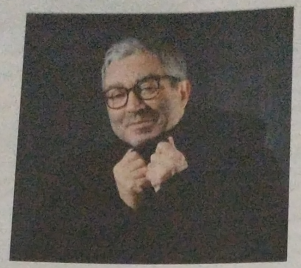

W głośnym „Powrocie do Reims" Didier Eribon opisywał swoją wizytę – po latach nieobecności – w rodzinnym domu. Śmierć ojca pozwoliła autorowi opowiedzieć o paraliżującym wstydzie i wysokiej cenie awansu społecznego. W „Życiu, starości i śmierci kobiety z ludu" Eribon powraca – tym razem do umierającej matki. Organizuje przeniesienie do ośrodka opiekuńczego i stara się towarzyszyć jej w ostatnich miesiącach życia. I znów osobiste wyznanie jest tu zespolone z brawurową analizą socjologiczną. Eribon skupia się na zagadnieniu starości i zniedołężnienia, pisze o wykluczeniu, krytykuje indolentną opiekę społeczną, zastanawia się, dlaczego osoby starsze, zwłaszcza ze środowisk robotniczych, są tak boleśnie pomijane w życiu politycznym, w rozprawach intelektualnych, w literaturze. Jest to także opowieść o życiu kobiety bez perspektyw. Nieszczęśliwe dzieciństwo, mordercza praca w fabryce, macierzyństwo, wreszcie, po trwającym ponad pół wieku nieudanym małżeństwie, krótki epizod miłosny na starość – tak w skrócie wyglądało heroiczne i pełne goryczy życie kobiety z ludu. Dopiero po śmierci matki Eribon zaczął ją rozumieć, stał się dumny ze wszystkich jej niedoskonałości, ograniczeń i porażek, bo to one pomogły go ukształtować. „Trochę spóźniona ta duma" – dodaje ze wstydem. I powtarza za Albertem Cohenem, autorem „Książki o mojej matce": „Synowie matek jeszcze żyjących, nie zapominajcie nigdy, że wasze matki są śmiertelne". Czułe i poruszające wyznanie.

MACIEJ ROBERT

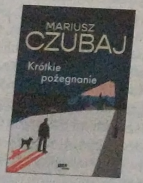

Praga noir 4/6

Mariusz Czubaj, **Krótkie pożegnanie**, Wydawnictwo Znak, Kraków 2024, s. 320

Tutaj się zagadek prędko nie rozwiązuje, jedna prowadzi do kolejnej, zmuszając bohatera do konfrontacji z przeszłością, którą wolałby wyprzeć. Błażej Janczar, kiedyś policjant, dziś handluje winylami na warszawskiej Pradze. Niby stara się nie wychylać, ale nadal siedzi w nim potrzeba sprawiedliwości. Gdy w akcie małej zemsty wypisuje markerem na aucie przypadkowych osób hasło „Kocham Putina i co wy na to, polaczki?", okazuje się, że ktoś go przyłapał i sfotografował. Odbiera odtąd tajemnicze wiadomości, które każą mu się cofnąć w przeszłość: do czasów, gdy zabił człowieka i gdy pochował siostrę, zamordowaną w niewyjaśnionych okolicznościach. Policja pokpiła sprawę, a Janczar nie chciał w niej grzebać, by nie wybudzić własnych demonów. Teraz w pewnym sensie musi. Sceneria jest u Czubaja współczesna, trwa wojna w Ukrainie, politycy PiS uśmiechają się z billboardów, ale warszawska Praga, i w ogóle Polska, tonie w mrocznej nostalgii, której czas się nie ima. Za to ima się jej dyskretnie czarny humor. Duch pisarza krąży w tej powieści i jest to duch Raymonda Chandlera, do którego nawiązuje rzecz jasna już tytuł i parny, gęsty klimat. A może to opary polskiego absurdu? Albo nastrój jak z obrazów Edwarda Hoppera, które też się tutaj nie przypadkiem pojawiają. Mariusz Czubaj jest autoironiczny i oldskulowy w dobrym znaczeniu tego słowa.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Tęczowa szarość PRL 4/6

Jarosław Kamiński, **Złodziej bólu**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2024, s. 424

Rok 1987, brak nadziei, stagnacja, szarość, przekonanie, że w Polsce nic się nie zmieni. Ten właśnie rok opisuje w swojej powieści Jarosław Kamiński i okazuje się, że warto spojrzeć na tę rzeczywistość z innej perspektywy. Na przykład oczami Włoszki. W „Złodzieju bólu" najważniejsze jest to, że obserwujemy miłość dwóch kobiet, Agnieszki – studentki filozofii i Bianki – dziennikarki włoskiej z polskimi korzeniami. Całą tę historię opowiada nam brat Agnieszki, który odgrywa w niej istotną rolę, choć sam nie jest do końca przekonujący. Okazuje się, że ten czas wiecznego stania w kolejkach i braków w sklepach był jednocześnie bujny. Młodzi zakładają pismo „Bumelant", dyskutują o filozofii. U Kamińskiego nic nie jest czarno-białe i to, oprócz wartkiej opowieści, duża zaleta. Służba Bezpieczeństwa cytuje Ginsberga, groza miesza się ze śmiechem, wyczerpany system pokazuje pazury. Młodzi wiedzą od czasu Przemyka, co milicja robi z takimi jak oni na komisariatach. To fikcja, ale dobrze chwyta ducha tamtego czasu. Nie było takiego strajku w zakładach Bałtyk, ale racje robotnic, które upominają się o warunki pracy kobiet, brzmią prawdopodobnie. Niejednoznaczny jest też obraz polskiej rodziny – konserwatywnej, ale nie całkiem wykluczającej. W 1987 r. Agnieszka zakochała się w Biance. Oczywiście próbowała zaprzeczyć sobie. Zresztą ten temat wtedy nie istniał. I właściwie do dziś związki kobiet w latach 80. nie pojawiają się często w literaturze. Powieść Kamińskiego pokazuje, że mimo wszystko warto walczyć o siebie. Nawet jeśli trzeba czekać 30 lat.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

festiwale

Konflikty i legendy

21. Millennium Docs Against Gravity, Warszawa, Wrocław, Gdynia, Poznań, Katowice, Łódź i Bydgoszcz, 10 – 19 maja (od 21 maja do 23 czerwca online na mdag.pl)

Hasło tegorocznej edycji największego festiwalu filmowego w Polsce – „W relacji ze światem" – zawiera obietnicę zmierzenia się z gorącymi tematami współczesności: od ekologii, sztuki, polityki po psychologię i sport. W programie składającym się ze 190 tytułów wiele podejmuje je w nowatorski sposób, dowodząc niezwykłej wrażliwości i artystycznej dojrzałości kina dokumentalnego. Na szczególne polecenie zasługuje na pewno zwycięzca Berlinale „Nie chcemy innej ziemi". Twórcom, palestyńsko-izraelskiemu kolektywowi, udaje się naświetlić wieloletni proces wykalkulowanych przesiedleń z terenów Masafer Jatta na Zachodnim Brzegu Jordanu, co pozwala lepiej zrozumieć tragedię trwającej tam wojny. W filmie otwarcia „Ostatnia wyprawa" Eliza Kubarska mierzy się z kolei z legendą Wandy Rutkiewicz – pierwszej kobiety i osoby z Polski, której w zdominowanej przez mężczyzn konkurencji udało się zdobyć wiele najwyższych szczytów świata. Skojarzenia z „Defiladą" Fidyka i równie szokujące wrażenie wywołuje **„Hollywoodgate"** Irakijczyka Ibrahima Nash'ata, któremu talibowie zezwolili na sfilmowanie życia pod ich rządami, myśląc, że powstanie obraz propagandowy. POLITYKA objęła patronatem cykl „Pierwsze narody", o którym więcej pisaliśmy w poprzednim wydaniu. JW

Szczegóły: mdag.pl

festiwale

Od Beethovena do prawykonań

24. Festiwal im. Franciszka Wybrańczyka Sinfonia Varsovia Swojemu Miastu, Warszawa, 13 maja – 9 czerwca

Inaczej niż w zeszłym roku, gdy wszystkie wydarzenia festiwalowe odbywały się w pawilonie koncertowym przy Grochowskiej 272 obok budowy siedziby orkiestry, w tym roku festiwal wraca do idei tournée po różnych salach Warszawy, a na swoim terenie Sinfonia Varsovia pojawi się tylko na finałowym koncercie 9 czerwca, ale w oryginalnej formie. Publiczność zasiądzie wewnątrz orkiestry i pozna jej punkt słyszenia. Inauguracja w zaprzyjaźnionej Operze Narodowej (13 maja) będzie miała szczególny charakter z okazji 20-lecia przystąpienia Polski do UE: w wykonaniu IX Symfonii Beethovena weźmie udział Warszawski Chór Obywatelski powołany przez Sinfonię Varsovię specjalnie na tę okazję. W sali Nowej Miodowej zaprezentują się uczestnicy i absolwenci Akademii Sinfonia Varsovia, przygotowującej młodych muzyków do praktycznej pracy. Nowym miejscem będzie Audytorium Muzeum Historii Polski, gdzie orkiestra zaprezentuje program „Emigranci", a dobrze znanym – Studio Koncertowe im. Witolda Lutosławskiego; na obu koncertach w programie znajdą się prawykonania nowych utworów. Nie zabraknie też kolejnej lubianej przez dzieci muzycznej bajki o Bazylku w Teatrze Lalka. DS

Szczegóły: sinfoniavarsovia.org

festiwale

Nowe i najnowsze

27. Festiwal Jazz Jantar – Wiosna, Gdańsk, Klub Żak, 8 – 12 maja

Dla poszukiwań nowych tendencji w jazzie album „Khmer" Nilsa Pettera Molværa był w 1997 r. istotnym zwrotem. Norweski trębacz zaproponował brzmienie futurystyczne i mroczne, aranżacyjnie inspirowane działaniami sceny elektronicznej, z partiami gitary Eivinda Aarseta. I powtórki z tego klasycznego już programu należy się spodziewać na jego koncercie w Klubie Żak. Przeciwwagą dla tego europejskiego brzmienia kojarzonego z wytwórnią ECM będą w programie wiosennej edycji Jazz Jantar popisy Davida Murraya. Awangardowy amerykański saksofonista przyjedzie z zespołem, w którym znajdziemy osobnych liderów – pianistkę Martę Sanchez i kontrabasistę Luke'a Stewarta. Poza tym m.in. duet Bishop, Breistein (to raczej dla sympatyków nu jazzu w stylu Molværa) oraz kilka młodych krajowych składów. Będą fantastyczni Kosmonauci – zespół, który zadebiutował niedawno albumem „Sorry, nie tu" – a także wracający do Żaka Tercet Kamili Drabek. To grupa czołowej dziś polskiej kontrabasistki, bliższa klasycznemu spojrzeniu na jazz – akustyczny i melodyjny, o czym świadczą wybory utworu Sonny'ego Rollinsa i tematów Jerzego „Dudusia" Matuszkiewicza, które zaprezentowali pośród własnych kompozycji na nowej płycie „Tak bym chciała kochać już". BCH

Szczegóły: jazzjantar.pl

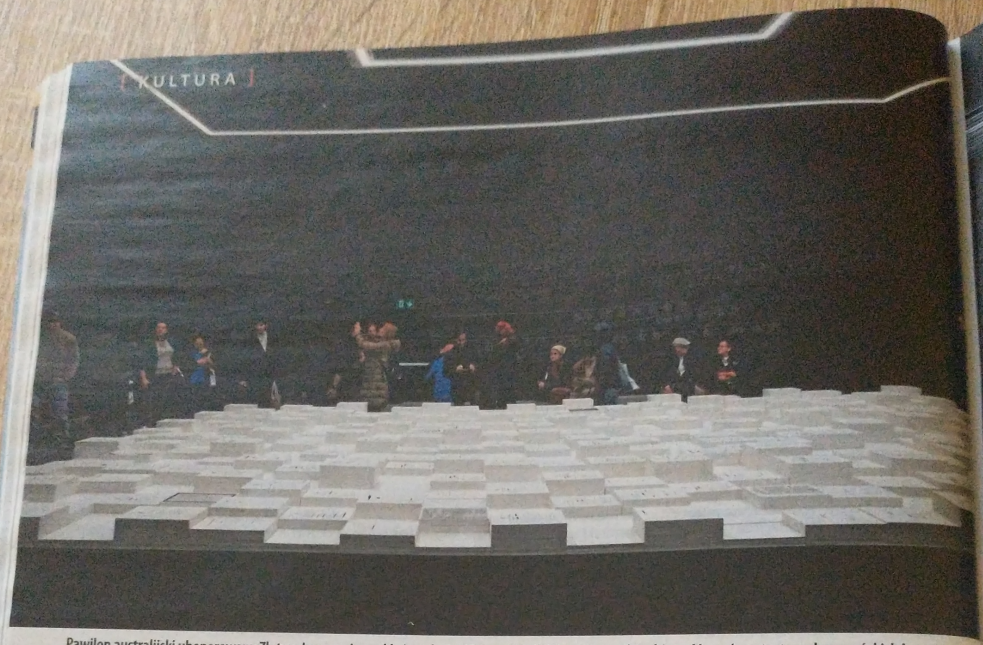

Pawilon australijski uhonorowany Złotym Lwem: niezwykła instalacja „Kith and Kin" (Bliscy i krewni) Archiego Moore'a, artysty o aborygeńskich korzeniach.

Biennale gościnności

Tegoroczne Biennale w Wenecji to rzecz dla szukających nowych doświadczeń i nieoczywistości. A obecność Polaków da się zauważyć.

PIOTR SARZYŃSKI

Biennale sztuk w Wenecji przypomina trochę szkołę. Wszyscy mają wykonać pracę zadaną przez kuratora. A później zjeżdża się cały świat sztuki, by oceniać, kto najlepiej odrobił lekcję. Konkurencja jest spora, bo w szranki o tytuł prymusa stanęło w tym roku 88 krajów. Narodowe pawilony, w których można się popisać artystycznym kunsztem i pomysłowością, zajmują – w zależności od zaradności ich organizatorów tudzież historycznych zaszłości – od kilkudziesięciu do nawet 600–800 m kw. (Niemcy, Wielka Brytania). Kurator całego Biennale ma lepiej – na zmaterializowanie swojej wizji na tzw. wystawie międzynarodowej dysponuje powierzchnią kilkunastu tysięcy metrów.

Tym razem zadanie wydawało się teoretycznie proste. Należało zmierzyć się z tematem „Foreigners Everywhere" (czyli: Cudzoziemcy są wszędzie). Jak sobie poradzili „uczniowie" z całego świata oraz „pan profesor", którego rolę tym razem odgrywał doświadczony i szanowany brazylijski historyk sztuki Adriano Pedrosa? W pewnym uproszczeniu można wskazać cztery, niekiedy przenikające się, niekiedy wyraziście i odrębnie zarysowane konwencje, które cieszyły się największym powodzeniem.

Konwencja literalna. Cudzoziemcy, czyli ci, którzy przybywają z obcej ziemi: uciekinierzy wojenni, migranci ekonomiczni itd. Gangi w Szwecji czy Belgii, exodus na Lampedusę, obozy w Turcji, płot między Meksykiem a USA, azjatycka tzw. tania siła robocza w krajach arabskich itd. Ileż to nie tyle „pięknych", co ważnych i mocnych tematów aż prosiłoby się o artystyczną obróbkę. Niestety, niewiele pojawiło się prac wyrazistych, które na dłużej zapadłyby w pamięć. Podobnych do tej, którą przed pięciu laty pokazał

Najlepsze dzieło w sekcji międzynarodowej nagrodzone Złotym Lwem: gigantyczna „pajęczyna" Mataaho Collective, grupy maoryskich artystek.
Poniżej: **mozaika Libańczyka Omara Mismara.**

w Wenecji szwajcarski artysta Christoph Büchel. To był wydobyty z morskiego dna statek, którym próbowali się dostać do Europy migranci z Afryki. Jednostka utonęła po zderzeniu z inną łodzią, zginęło około tysiąca osób. Ustawiony bez upiększeń i komentarza na nadbrzeżu, był jak wielki wyrzut sumienia.

W tej sytuacji rolę symbolicznego lidera w owej kategorii przyznać można Etiopczykowi Tesfaye Urgessie. Jego praca to wielokanałowy zapis wideo, na którym emigranci z różnych krajów kreślą flamastrem i opowiadają o swojej (niekiedy bardzo długiej i skomplikowanej) drodze wiodącej z ojczystego kraju do wymarzonego punktu docelowego. Widzimy tylko pisak i mapy, na którymi kryją się jednak gory nieszczęścia.

Konwencja historyczna. Ciekawe, że dla wielu kuratorów i artystów główne hasło Biennale stało się pretekstem do ponownego rozdrapywania historycznych problemów kolonializmu (rzadziej neokolonializmu) i konfliktów ludów pierwotnie zamieszkujących różne krainy. Gestem najbardziej oczywistym i chętnie podkreślanym stało się symboliczne zadośćuczynienie polegające na przekazaniu artystycznej pałeczki. To widać już po wejściu na historyczne tereny Giardini, gdzie najbardziej reprezentacyjny pawilon centralny został w całości ozdobiony muralami artystów z Amazonii, zaś wejście do drugiej najważniejszej przestrzeni Biennale – do Arsenale – dekoruje z kolei praca maoryskich tkaczek. Artystą reprezentującym USA jest w tym roku Czirokez, Danię – Grenlandczyk, Australię – Aborygen.

W ogóle jest to „edycja gościnności", bo w zdecydowanej większości narodowych pawilonów, szczególnie tych należących do krajów europejskich, swoje artystyczne wizje snują twórcy pochodzący z krajów raczej odległych od cywilizacji Zachodu. I gdy w pawilonie Szwecji natknąłem się na projekt inspirowany operą kantońską, pomyślałem, że zawirowania i przenikania w światowej kulturze robią się coraz ciekawsze. ▶

© PAP/EPA/ANDREA MEROLA, MARCO ZORZANELLO/ LA BIENNALE DI VENEZIA (2)

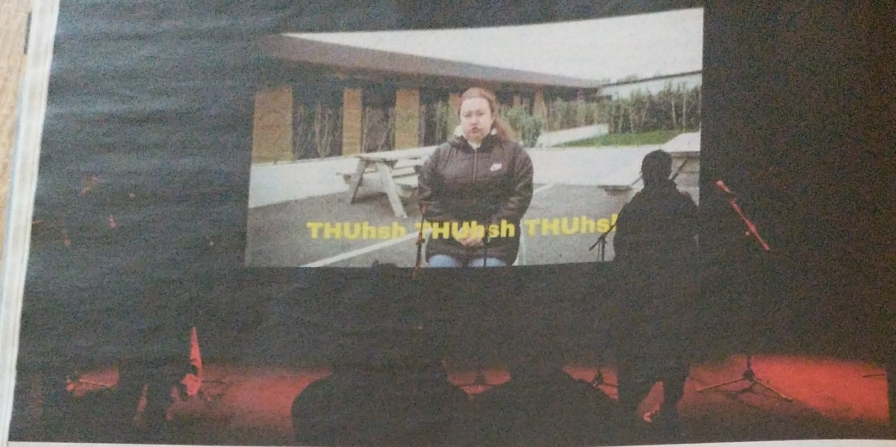

Pawilon polski: dokument „Powtarzaj za mną" ukraińskiej formacji Open Group, w którym uchodźcy naśladują zapamiętane odgłosy wojny.
Poniżej: **towarzysząca Biennale rewelacyjna wystawa monograficzna Andrzeja Wróblewskiego, zorganizowana przez Fundację Rodziny Staraków.**

▶ Rozliczanie kolonializmu przyjmuje też bardziej złożone formy artystyczne. Ogromne zainteresowanie budził pawilon hiszpański, z wielowątkową instalacją, kwestionującą w różnych wymiarach tradycyjne narracje kolonialne. O łamaniu praw i marginalizacji rdzennej ludności mówią także m.in. ekspozycje brazylijska, holenderska czy brytyjska.

Konwencja etnograficzna. Wędrując w tym roku po terenach Biennale, często można odnieść wrażenie, że nie o sztukę współczesną tu chodzi, ale o wielką prezentację etnograficzną. Niemal cała wystawa międzynarodowa zbudowana została tak, by pokazać nie tylko artystów spoza Europy i USA, ale też by byli to artyści czerpiący z etnicznych korzeni i nieulegający wpływom obcych im kulturowo zjawisk, takich jak abstrakcja, konceptualizm itd. Policzyłem, że na 331 artystów, których wybrał do swojego projektu Adriano Pedrosa, tylko 16 urodziło się i mieszka w Europie Zachodniej lub w USA.

Otaczają nas więc wernakularna kultura i folklorystyczne klimaty. Dość specyficzne, posługujące się prostym systemem wyobrażeń, bardzo narracyjne, odnajdujące radość w wyrazistych, wesołych kolorach, ale też nierzadko okupione wręcz benedyktyńską pracą. Jak ogromne mozaiki Libańczyka Omara Mismara, opowiadającego o współczesności za pomocą antycznej techniki artystycznej. Generalnie jednak królowały tekstylia. Obrazy i instalacje wyszywane, haftowane, wyplatane, zszywane z kawałków materiału. Krosna rzucające wyzwanie pędzlom i dłutom na wszelkie możliwe sposoby. I z powodzeniem, bo wspomniana już praca grupy maoryskich kobiet, rozpięta jak gigantyczny namiot czy może raczej pajęczyna, zyskała uznanie jury i zdobyła Złotego Lwa za najlepsze dzieło w sekcji międzynarodowej. Dla kogoś, kto szuka w sztuce nowych doświadczeń i nieoczywistości, tegoroczne Biennale jest idealnym polem do eksploracji. Kto jednak przyzwyczaił się do tego, że wenecka impreza jest emanacją sztuki pod patronatem Duchampa, Picassa czy Pollocka, może przeżyć rozczarowanie.

Konwencja metaforyczna. Wydaje się oczywiste, że figura obcokrajowca może być symbolem każdego obcego, nieprzystającego do otaczającej go kultury, narażonego na ostracyzm

© MATTEO DE MAYDA/LA BIENNALE DI VENEZIA. MATERIAŁY PRASOWE FRS (3)

głosy wojny.
ziny Staraków.

ko okupio-
iki Libań-
czesności
alnie jed-
wane, ha-
. Krosna
możliwe
a grupy
zy może
ego Lwa
goś, kto
i, tego-
jednak
anacją
, może
igura
przy-
czym

rozbieżne. Odmiennego wyglądem, poglądami, sytuacją materialną, a nawet temperamentem. Że może to być opowieść o ekskluzywności i inkluzywności grup społecznych i politycznych systemów, o mechanizmach akceptacji lub odrzucenia. O niejednoznacznych sytuacjach konfliktów – jak te, które mają miejsce w Brukseli, Paryżu, Malmö itd. A jednak stosunkowo nieliczni kuratorzy podjęli trud, by pójść tym tropem.

Ciekawie prezentował się pawilon Kosowa, w którym podjęto temat wyobcowania kobiet w klasie robotniczej i praktyk ich dyskryminowania. Z kolei Bułgarzy przygotowali pracę o politycznych represjach wobec jednostek „obcych" ideologicznie w czasach socjalizmu. Pojedynczy artyści podejmowali też tematy kondycji mniejszości LGBTQ.

Poza konwencjami trzeba chyba umieścić pawilon australijski, w którym gościł Archie Moore, artysta o aborygeńskich korzeniach (po matce). Przygotował dzieło totalne, niezwykłe, wymykające się wszelkim klasyfikacjom, porywające przesłaniem i onieśmielające skalą. Nosi tytuł „Kith and Kin" (Bliscy / Krewni) i jest wyrysowaną kredą na czarnych ścianach i suficie galerii formą drzewa genealogicznego tzw. Pierwszych Narodów, zamieszkujących od pradawnych czasów kontynent. Praca powstawała przez wiele miesięcy i – jak zapewnia kuratorka – w niektórych aspektach obejmuje 2,4 tys. generacji, czyli 65 tys. lat. Instalację uzupełnia basen, w którym umieszczono 500 stosów dokumentów rejestrujących niedawne przypadki śmierci z rąk policji rdzennych Australijczyków.

W tej pracy miesza się dziedzictwo Pierwszych Narodów i kolonizatorów, życie ze śmiercią, czas liniowy z czasowymi pętlami, przenikają się miejsca i ludzie, wątek osobisty z historią ludu i narodu. A na wyższym poziomie wystawa stawia pytanie: kto jest obcy, a kto swój? Czy aby wszyscy nie jesteśmy jedną rodziną ze wspólnymi korzeniami? Nic dziwnego, że pawilon australijski został uznany przez jury za najlepszą narodową prezentację na Biennale i nagrodzony Złotym Lwem.

Wątki polskie. Tym razem na wystawie międzynarodowej zabrakło naszego artysty. Do tzw. Trzeciego Świata nam za daleko, a kolonii nigdy nie mieliśmy. Co nie znaczy, że na Biennale byliśmy mało widoczni. W polskim pawilonie narodowym użyczyliśmy miejsca ukraińskiej formacji Open Group, która zaprezentowała robiącą duże wrażenie instalację „Powtarzaj za mną". W dokumentalnym zapisie filmowym uchodźcy naśladują zapamiętane odgłosy toczącej się wojny: wybuchy bomb, świst przelatujących rakiet, serie z karabinów, ale też sygnały alarmów. To opowieść nieco metaforyczna i może tym bardziej przejmująca.

Przypomnę, że realizacja Open Group trafiła do Wenecji dość niespodziewanie. Miał jechać, wybrany przez komisję powołaną przez ministra Glińskiego, malarz Ignacy Czwartos, ale minister Sienkiewicz zadecydował, że pojadą Ukraińcy. Na wszystkich, którzy emocjonowali się tą sprawą, czeka na miejscu mała niespodzianka: odrzucona wystawa (rzecz jasna w okrojonej formie) także jest do obejrzenia. Wprawdzie poza murami Biennale, ale bliziutko, jakieś 30 m w linii prostej od polskiego pawilonu! Jakby prowokacyjnie zachęcając do porównań. Kuratorowi wystawy Piotrowi Bernatowiczowi udało się zorganizować ją w prywatnym lokalu i otworzyć pod hasłem „Polonia. Bez cenzury". Można samemu wyrobić sobie opinię, kto bardziej zasłużył na reprezentowanie Polski: antywojenny ukraiński kolektyw czy podkreślający swój patriotyzm malarz, dostrzegający zagrożenie w Niemcach i Rosjanach.

Wystawa Czwartosa była ciekawostką, ale nie budziła wielkich emocji. W odróżnieniu od dwóch kolejnych ekspozycji ze znaczkiem PL. Obie przygotowano w ramach prestiżowego tzw. Collaterali, czy wystaw oficjalnie towarzyszących Biennale. Pierwsza – rozczarowująca – to malarstwo największej z komercyjnego punktu widzenia gwiazdy współczesnej polskiej sztuki Ewy Juszkiewicz. Tematycznie artystka stanęła w miejscu, zaś warsztatowo powoli się cofa. Za to druga ekspozycja okazała się rewelacją. Monograficzną wystawę Andrzeja Wróblewskiego zorganizowała Fundacja Rodziny Staraków. To już ich czwarte i – wydaje się – najlepsze podejście do Biennale. Po pierwsze, ze względu na samą wystawę, przygotowaną ze smakiem przez kuratorkę Annę Muszyńską, ciekawie prowadzącą widza przez najważniejsze wątki twórczości przedwcześnie zmarłego artysty. A było z czego wybierać, bo Fundacja posiada największy w kraju zbiór prac artysty. Wybrano z niego 48 dzieł, a kilkanaście kolejnych wypożyczono ze zbiorów publicznych i prywatnych. Po drugie, ze względu na miejsce – budynek Prokuracji przy placu św. Marka. Kilkadziesiąt metrów od Bazyliki, w najbardziej obleganym punkcie miasta. Jeszcze nigdy w historii Biennale polska sztuka nie znalazła się w tak reprezentacyjnym miejscu.

Efekty już są. Prestiżowy „The Art Newspaper" przygotował własny ranking najciekawszych wystaw towarzyszących tegorocznemu Biennale i ekspozycję Andrzeja Wróblewskiego umieścił na drugim miejscu. Po wystawach w Reina Sofia w Madrycie (2015 r.) i Moderna Galerija w Lublanie (2020 r.) to kolejny ważny ruch, by Wróblewskiego tak, jak na to zasługuje, poznał świat.

PIOTR SARZYŃSKI

REKLAMA

ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

Pulpa pokolenia

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Co jest „hot" w tym sezonie na rynku książki? Hasła przewodnie to kocyk z Japonii, przytulność, eskapizm, romantasy i kolorowe brzegi.

Sfrustrowany pisarz postanawia zadrwić z rynku książki i napisać pod pseudonimem brudną powieść gangsta opartą na rasowych stereotypach. I odnosi wielki sukces, pulpa podbija rynek, a on sam nie może uwierzyć, że najgorsza z jego książek ma takie powodzenie. To historia z filmu „Amerykańska fikcja" Corda Jeffersona, który otrzymał Oscara za scenariusz adaptowany. Ten powstał na podstawie powieści Percivala Everetta. Co ciekawe, najnowsza powieść tego pisarza – „James" – jest najgorętszą premierą tego roku, o którą rywalizują wydawnictwa i agenci na całym świecie.

Everett przywołuje „Przygody Hucka" Marka Twaina i wpisuje się w potężny trend literacki *retellingu*, czyli opowiadania na nowo klasyki. Jak to działa, widzieliśmy choćby na przykładzie „Demona Copperheada" Barbary Kingsolver, która opowiedziała na nowo Dickensa. Jakie inne trendy w literaturze popularnej przynosi rok 2024?

Co czytają romansiary

„Ludzie chcą więcej eskapizmu, energii nie z tego świata" – czytamy na stronie Book Riot. Szukają podnoszącej na duchu, eskapistycznej fikcji. „Coraz więcej czytelników, którzy wcześniej czytali tylko poważną beletrystykę, teraz zwraca się w stronę lżejszych romansów, bo chcą się oderwać od globalnych konfliktów. „Ponieważ ciągle znajdujemy się w kryzysie, nasza literatura skłania się ku tematom eskapistycznym" – pisze „The Daily Star" o wydawniczych tendencjach. „W przyszłym roku czeka nas prawdziwy zalew romansów" – przepowiadał Book Riot. I rzeczywiście, jesteśmy świadkami wielkiego powrotu harlequinów, które teraz już po tę nazwę nie sięgają i mają inne okładki. Nie słabnie popularność komedii romantycznych znanych jako *romcom*, a rośnie znaczenie *speculative romance*, czyli romansów SF, dystopijnych, paranormalnych, postapokaliptycznych, steampunkowych i cyberpunkowych.

Jedna z książkowych „romansiar" wylicza rozmaite podgatunki, od których może się zakręcić w głowie. Możliwości jest mnóstwo: w nurcie *hate to love* bohaterowie najpierw się nienawidzą, a później zakochują. W *slow burn* – powolny ogień pochłania bohaterów, motyw *small town romance* oznacza małomiasteczkową miłość. *Second chance* – miłość, która dostaje

drugą szansę, w *fake dating* początkowe udawanie pary kończy się prawdziwym romansem, z kolei *dark romance* to – odpowiednio – *forbidden romance* i zakazana miłość. *Sports romance* – sportowa rywalizacja kończy się w łóżku, *historical romance* – romans z wędrówkami w czasie, *billionaire romance* – to coś w stylu „Pogody dla bogaczy" albo „Sukcesji". *Paranormal romance* – miłość z wampirami, wilkołakami i wiedźmami. Jest jeszcze podgatunek, który cieszy się wielkim powodzeniem na Zachodzie – *clean romance*, czyli romans wśród zwolenników ścisłych. Najgłośniejszym nazwiskiem jest Ali Hazelwood – pod tym pseudonimem występuje włoska profesorka neurobiolożka, która zaczęła pisać romanse. Bohaterką „Love, Theoretically" jest fizyczka teoretyczna. Hazelwood ma w planach romans nurtu Young Adult (YA), rozgrywający się wśród licealistów-szachistów.

Seksowni bikerzy

Od kilku lat w Polsce rośnie w siłę właśnie literatura Young Adult i już nie dziwią nas kilometrowe kolejki do Weroniki Marczak czy Katarzyny Barlińskiej podczas spotkań autorskich. Tymczasem pojawiły się kolejne nazwiska: Aleksandra Negrońska, Aleksandra Nil, Weronika Ancerowicz czy Weronika Płotka. Wszystkie z jednego wydawnictwa, które zdominowało rynek YA (zwłaszcza rynek książek dla starszych nastolatków), czyli wydawnictwa NieZwykłego. Powstało jako imprint wydawnictwa historycznego Napoleon V, założonego przez Dariusza Marszałka.

NieZwykłe ruszyło w 2018 r., a dziś na targach książki autorki tego wydawnictwa zajmują czasem osobną halę i stale okupują listy bestsellerów Empiku. „I Wanna Fall. Dark Side", drugi tom serii Aleksandry Nil, znalazł się tu na pierwszym miejscu. To kontynuacja historii z „I Wanna Fall. Bright Side". „Po wypadku Raise'a świat Lei zupełnie się zmienia. Chłopak wydaje się kimś zupełnie innym. Jest zimny, niedostępny, obcy. Dziewczyna nie wie, co ma o tym wszystkim myśleć. Jedyne, co czuje, to ból złamanego serca" – czytamy w opisie. Nil, jak i inne autorki NieZwykłego, zaczynała na Wattpadzie (strona i aplikacja umożliwiające publikację i oddawanie pod ocenę innych swoich prób literackich). Teraz wydają książki seriami, czasem osiem czy dziewięć rocznie. Czytelniczki piszą o nich: Ola, Werka, bo traktują je jak koleżanki.

Potęga wydawnictwa NieZwykłe urosła na romansach. I tu też znajdziemy pełno osobnych motywów: *enemies to lovers*, *strangers to lovers* albo *MC Romance*, czyli serie z seksownymi bikerami z klubu motocyklowego – na stronie znajdziemy np. pakiet pięciu tomów z serii „Wind Dragons MC". „Następnego ranka wchodzę do kuchni, pocierając oczy. Zatrzymuję się, gdy widzę mężczyznę obok kuchenki. Nagiego. Ma ekstremalnie białą dupę i gotuje coś w garnku. – I po moim apetycie – mamroczę do siebie. Arrow odwraca się, całkowicie niezawstydzony. – Dobry – mówi, sprawdzając moją pidżamę. Patrzę na jego wielkiego penisa ze strachem, ale nie jestem w stanie oderwać oczu" – pisze Chantal Fernando. W katalogu są też romanse biurowe. Czy to jeszcze literatura YA? Raczej soft porno. Na wielu książkach znajdziemy zresztą oznaczenie 18+. U Negrońskiej pojawia się dużo tekstów w stylu „ciekawe, czy będziesz tak mówiła, gdy będę cię pieprzył".

– Niesamowite, że jeszcze dwa lata temu wszyscy rozpływaliśmy się w branży nad tym, że młodzież to czyta teraz głównie literaturę o osobach queerowych, ma otwarte głowy i zupełnie inne nastawienie do rzeczywistości. Obecnie na topkach królują książki NieZwykłego, które w połowie prezentują konserwatywne, toksyczne treści o romansach nastolatek z ojcami ich koleżanek – mówi pracownik jednego z wydawnictw. *– Nie wiem, czy jest się czym przejmować społecznie – może każde pokolenie ma swoją pulpę? Natomiast patrząc na to, jakie to książki, ostrożnie traktowałbym optymizm, jaki czasem wypływa z propagandowych haseł typu „spójrzcie, młodzież czyta!". Znaczna część książek NieZwykłego to porno dla dziewczyn, tylko bez erotycznych okładek, tak by rodzice nie mieli powodów do niepokoju.*

Romanse osób magicznych

Fenomen YA w Polsce ujawnił się prawdopodobnie w ostatnich badaniach czytelnictwa, gdzie widać jego wzrost o 9 proc. wśród osób, które przeczytały co najmniej jedną książkę. Ale nie będzie już tak miło, gdy pomyślimy, że chodzi o soft porno w kostiumie literatury młodzieżowej. Okazuje się też, że w Polsce YA odgrywa większą rolę niż gdziekolwiek indziej. Na świecie to już trend przemijający, tymczasem u nas przysłania wszystko inne, skoro aż 70 miejsc ze stu na liście bestsellerów to literatura YA. Gdzie są dorośli czytelnicy? – zastanawiał się jeden z wydawców.

– Myślę, że fenomen czytającej młodzieży jest nawet większy, niż się wydaje. Aby zilustrować popularność, pokazuje się np. wzrosty sprzedaży książek w kategorii Young Adult i „dla młodzieży". Ale książki kupowane i czytane przez młodzież okupują również topki literatury obyczajowej i fantastyki. Czyli rynek YA jest jeszcze większy, niż cyfry są w stanie pokazać – mówi pracownik wydawnictwa, ▶

REKLAMA

Spółdzielnia Muzyczna

Cykl koncertów muzyki nowej w Krakowie
INTERAKCJE

22 czerwca // 18:00 // MOCAK
5 września // 19:30 // Cricoteka
24 listopada // 19:00 // MNK Sukiennice
7 grudnia // 19:00 // Teatr KTO
16 maja // 19:30 // Teatr KTO
APERGHIS / MINCEK / NEMTSOV

Wstęp bezpłatny. Wejściówki gwarantujące miejsce do pobrania na stronie: www.spoldzielniamuzyczna.com

▶ który nie chce się wypowiadać pod nazwiskiem. Zwraca uwagę, że dziś – oprócz NieZwykłego, które jest fenomenem – YA idzie w stronę różnych mniejszych ścieżek, takich jak fantastyka. Wydawnictwo Insignis właśnie otworzyło serię *brand young adult fantasy*: StoryLight, w GW Foksal jest z kolei seria Uroboros.

Przemijający boom na literaturę YA na świecie widać w spadkach sprzedaży. Jednak YA nie umarło, tylko wyewoluowało m.in. w romantasy, czyli fuzję romansu i fantasy, opowieści o romansach osób magicznych i niemagicznych, często ze smokami w tle. Hitem międzynarodowym stała się powieść „Czwarte skrzydło" Rebeki Yarros o dziewczynie, która dołącza do grona jeźdźców smoków i musi spełniać rozkazy swojej matki – głównodowodzącej wojskowej uczelni. Ta powieść ma jeszcze jeden popularny motyw, mianowicie *dark academia*. Przywołuje on stare biblioteki, gotyckie budynki i szkolne mundurki. Inne popularne romantasy to „Dwór cierni i róż" Sarah J. Maas. Ta książka z kolei łączy jednocześnie inny ważny trend – wspomniany już *retelling* – bo to na nowo opowiedziana baśń o Pięknej i Bestii. Dużo powstaje dziś *retellingów* – od Śpiącej Królewny aż po powieści Agathy Christie czy Edgara Allana Poe – np. „Tajemnica rodu Uklejów" Anety Jadowskiej. Tę modę mogłaby szerzej wykorzystać literatura polska – *retelling* „Syzyfowych prac" albo „Nad Niemnem"? Jak pokazuje przykład „Demona Copperheada", efekty mogą być ciekawe.

Kocyk z Azji

„Czytając, czułam zapach kawy – jestem fanką tego napoju" – to opinia o „Zanim wystygnie kawa" Toshikazu Kawaguchiego. To książka, która sprzedała się w Polsce w ponad 100 tys. egzemplarzy. Cała trzytomowa seria, do której należy – w 250 tys. (na świecie już ponad milion). I zapoczątkowała popularność „przytulnych" książek z Japonii, Korei czy Tajwanu. Literaturę z tych regionów wydawały od dłuższego czasu inne wydawnictwa, choćby Tajfuny, ale teraz mamy zalew literatury pop.

„Od tych książek bije komfortem. Podczas czytania czuję się jak pod ciepłym kocykiem" – napisała jedna z czytelniczek. Goście małej kawiarni w Tokio mogą podróżować w czasie, pod jednym warunkiem – muszą wrócić, zanim wystygnie kawa. Kawaguchi jest nazywany japońskim Coelho i rzeczywiście, znajdziemy u niego sporo banalnych sentencji w stylu „Niezależnie od tego, z jakimi trudnościami zmierzą się ludzie, zawsze odnajdą w sobie siłę, by je przezwyciężyć. Potrzeba do tego tylko serca". Japoński, tajwański czy koreański pop bardzo szybko podbił polski rynek. Teraz na listach bestsellerów znajdziemy kolejne książki o przytulnych kawiarniach – „Kawiarnia pod Pełnym Księżycem", sklepikach – „Nietuzinkowy sklep całodobowy", księgarniach – „Witajcie w księgarni Hyunam-Dong", czyli „opowieść o szukaniu pocieszenia i uzdrawiającej mocy książek". Ten trend mógłby wpłynąć na popularność niezależnych księgarni, które w Polsce borykają się z wielkimi trudnościami. Tymczasem w Stanach zdarza się, że sami pisarze zakładają księgarnie – ostatnio popularna pisarka Lauren Groff otworzyła księgarnię na Florydzie.

Grzyby i hokeiści

Romans rośnie w siłę, a spada popularność thrillerów i kryminałów. – *Kryminał się sprzedaje, ale przestał być obiektem pożądania wśród wydawców, nie dominuje dyskusji, jest powtarzalny. Segment się zabetonował* – mówi cytowany wcześniej pracownik wydawnictwa. Debiutantom coraz trudniej się przebić. Królują stare nazwiska: Nesbø, B.A. Paris, z polskich – Chmielarz, Severski, oczywiście Mróz, Bonda, Siembieda.

Romans rośnie w siłę, a spada popularność thrillerów i kryminałów. Kryminał się sprzedaje, ale przestał być obiektem pożądania wśród wydawców.

Nowe nazwisko w tym nurcie to Sławomir Gortych, autor serii kryminalnej „Schroniska", która rozgrywa się w Karkonoszach. Być może jest to nasza, polska specyfika, bo kryminałów w górskich sceneriach jest coraz więcej. Zagubione polany, zaśnieżone szczyty i niedostępne jaskinie. Po pandemii Polacy ruszyli tłumnie na szlaki, a Zakopane stało się najbardziej oblężonym miejscem nie tylko w zimie.

Nie słabnie na świecie popularność *cosy crime* – wersji kocykowej kryminałów. Świat podbiła seria Richarda Osmana o brytyjskich emerytach. W Polsce bohaterkami kryminałów kocykowych bywają dojrzałe kobiety po przejściach. Pojawiają się też seniorzy, jak w „Dziewięciu kołatkach Troya" Alicji Czarneckiej-Suls, zwani tutaj starszakami, którzy rozwiązują zagadki templariuszy.

Na świecie wydawcy, którzy zamykają serie YA, otwierają serie azjatyckie. Podobno coraz więcej powstaje powieści adresowanych do młodych kobiet. Popularny jest podgatunek fikcji literackiej o „dziwnej, smutnej dziewczynie", te książki opowiadają o wewnętrznych niepokojach kobiet. Ciągle rośnie też znaczenie powieści graficznych, które u nas są marginesem. Szczególnie widoczne stają się w tym gatunku zdominowanym przez mężczyzn kobiece powieści graficzne YA, ukazujące silne, młode kobiety, które mają własne historie do opowiedzenia. Widać też na rynku światowym i polskim szaleństwo edytorskie – w tym sezonie modne są barwione brzegi, które potrafią się mienić kolorami tęczy. Takie książki dobrze prezentują się w mediach społecznościowych. Zwłaszcza na Booktoku, bo o ile Bookstagram stoi w miejscu, o tyle TikTok jest coraz ważniejszy w promocji książek.

Wydawcy i agenci powtarzają, że rynek jest nieprzewidywalny. Wszyscy wróżą z fusów, planując trendy i zakupy. Nie wiadomo do końca, co chwyci. Bywa, że wielkie nazwiska się nie sprzedają. W Polsce nie mają też dużego przełożenia na rynek nagrody literackie (oprócz literackiego Nobla). W prześmiewczej powieści „Yellowface" Rebeki F. Kuang ceniona redaktorka może się pochwalić trzema bestsellerami: opowieścią o życiu duchowym seksownych gospodyń domowych-zabójczyń, thrillerem o pianiście, który sprzedał duszę diabłu (powiedzielibyśmy, że to *retelling* „Doktora Faustusa" Manna), i pamiętnikiem pszczelarki-lesbijki. Wszystkie podbiły rynek. Ale łatwo się potknąć i przegapić potencjalny sukces. Nadzieję wydawcy widzą w mikrotrendach – choćby romansach o hokeistach albo książkach o grzybach, które miały moment dużego zainteresowania. Takie tendencje trzeba jednak szybko wyłapywać, bo mijają, a wydawca zostaje później z wydrukowanymi książkami o grzybach jak Himilsbach z angielskim. A tu już zdążyły nadciągnąć romanse fizyczek jądrowych z motocyklistami-wampirami.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Potup szwedzki

Jeszcze nie wiemy, która piosenka wygra Eurowizję, ale już możemy być pewni, że znowu zatriumfuje skandynawski przemysł muzyczny. Bo szwedzkie pomysły, nawet jeśli nie górują na scenie, rządzą na zapleczu.

Aleksandra „Luna" Wielgomas, polska reprezentantka na tegoroczną Eurowizję.

KRZYSZTOF NOWAK

Rok 2024 jest jednym z najtrudniejszych w długiej historii Konkursu Piosenki Eurowizji. Inicjatywa mierzy się z dużą krytyką, mającą pozornie niewiele wspólnego z muzyką. Nie dość, że dopuszczenie do startu Izraela odbierano jako kontrowersyjne, to jeszcze samo państwo dolało oliwy do ognia. Najpierw zaproponowało utwór „October Rain", później „Dance Forever", ale oba zawierały polityczne przesłanie. Ostatecznie dzięki interwencji prezydenta kraju Izaaka Herzoga izraelski nadawca zgodził się na zmianę tytułu (Październikowy deszcz) i tekstu pierwszej z piosenek. Nie zrobił tego z artystycznych pobudek. Przeważył argument, że to dobrze zrobi budowaniu pozytywnego wizerunku kraju na arenie międzynarodowej.

Gdyby nastroje były spokojniejsze, narracja mogłaby być nieco inna: Eurowizja wraca do domu. Za tą tezą przemawiają względy historyczne i teraźniejsze. Równo 50 lat temu z utworem „Waterloo" wygrywała ABBA, która wkrótce miała się stać czołową grupą światowego popu. Do tego gospodarzem zostało Malmö, bo w konkursie po raz drugi zwyciężyła Lorine Zineb Noka Talhaoui, posługująca się pseudonimem Loreen, dokonując tego jako pierwsza kobieta w historii i pierwsza osoba w tym stuleciu. Oba osiągnięcia opisano zresztą na oficjalnej stronie internetowej Szwecji w zakładce dotyczącej jej fenomenu muzycznego, obok tak przełomowych wydarzeń, jak premiera singla „Oops!... I Did It Again" Britney Spears, który współtworzył szwedzki producent Max Martin, czy powstanie aplikacji Spotify.

Co prawda Loreen i jej kompozytorsko-tekściarskiej drużynie zarzucono splagiatowanie kilku utworów, m.in. właśnie ABBY, nie zmąciło to jednak świetnych humorów w Sztokholmie i okolicach. W eurowizyjnej rzeczywistości to Szwedzi są krupierami, a inne państwa mogą wziąć karty lub próbować wywrócić stolik, proponując inną grę.

Słowiańskie marzenia

– *Wybór producentów nie był dla mnie kwestią narodowości, tylko doświadczenia, talentu i wrażliwości na dźwięki i słowa* – zaznacza Aleksandra „Luna" Wielgomas w odpowiedzi na pytanie, dlaczego postawiła na współpracę z zagranicznymi twórcami przy „The Tower", anglojęzycznej, elektropopowej propozycji muzycznej Polski na Eurowizję. Anglicy Paul „Fyfe" Dixon i Max Cooke to jej dawni znajomi, którzy nie mają doświadczenia we wspomnianym konkursie. Nie są muzycznymi nowicjuszami, gdyż osobno tworzyli utwory choćby dla Kimbry i Ellie ▶

▶ Goulding, wokalistek jeszcze niedawno rozpoznawalnych na całym świecie.

Mimo przyjacielskiej atmosfery zarówno teraz, jak i w małym londyńskim studiu, Luna i Cooke nie są zgodni co do tego, czym wyróżnia się ich dzieło. Piosenkarka przekonuje, że chwytliwością, energią i ponadczasowym przekazem, bo każdy znajdzie w nim jakąś prawdę ze swojego życia. Anglik opisuje utwór bardziej eurowizyjnym językiem. Jego zdaniem ogromną rolę, oprócz szczerego tekstu i wielkiej melodii, będą odgrywać dramatyzm i ekstrawagancja. Oboje za to zgodnie uciekają od odpowiedzi na pytanie o ocenę szans ich kompozycji. Mówią tylko, że wierzą w jej potencjał.

Wiara odgrywa kluczową rolę w naszym myśleniu o sukcesie w tym konkursie. W ciągu 30 lat zaledwie trzy razy znaleźliśmy się w pierwszej dziesiątce, a nasze największe osiągnięcie to już prehistoria. Debiutująca dla kraju i śpiewająca po polsku Edyta Górniak zdobyła drugie miejsce w 1994 r., po czym szło nam tak słabo, że dwa razy – w 2000 i 2002 r. – nie dostaliśmy nawet zaproszenia. Humory polskim widzom poprawiło siódme miejsce Ich Troje z „Keine Grenzen – Żadnych granic", śpiewanym po polsku, niemiecku i rosyjsku. Ale wydaje się, że doceniono wtedy nasz narodowy entuzjazm przed dołączeniem do Unii Europejskiej. Potwierdza to fakt, że trzy lata później temu samemu zespołowi nie pomogło nawet zaproszenie eurodance'owych legend z zespołu Real McCoy i śpiewanie po angielsku, niemiecku, rosyjsku, hiszpańsku oraz w języku migowym. Ba, w kolejnej dekadzie nic nie dało nawet wysłanie stereotypowego, przaśnego hitu Donatana i Cleo „My Słowianie" ani późniejsze nagrywanie już tylko po angielsku. W ostatnim czasie największym sukcesem pozostaje więc ósme miejsce Michała Szpaka w 2016 r.

Coś się jednak zmieniło, bo w poprzedniej dekadzie Polki i Polacy zaczęli chętniej korzystać z pomocy osób z zagranicy. Nie byli to czołowi eurowizyjni specjaliści, lecz zdarzały się całkiem znaczące postaci, jak Anglicy Pete Barringer (w 2017 r. dostał się na Eurowizję zarówno z nami, jak i z Czechami) czy Ashley Hicklin (współproducent propozycji Belgii, Litwy czy Austrii). Zbyt rzadko komentowanym wydarzeniem był za to manewr Blanki Stajkow, która w 2023 r. miała w gabinecie cieni m.in. Marię Broberg, współodpowiedzialną za utwór Mołdawii w 2019 r. Ostatnio twórczyni bezskutecznie starała się wejść do konkursu przez Czechy i Maltę. W swoim kraju nie jest gwiazdą, ale poza nim pozostaje jednym z wielu dobrze działających trybików wielkiej maszyny propagandowej. Ta przekonuje, że warto pracować ze Szwedkami i Szwedami, by móc przez chwilę pomarzyć o sukcesach takich, jakie stają się udziałem tej nacji.

Wewnętrzna roz(g)rywka

Czarna data w historii szwedzkiej muzyki to 27 maja 2010 r. To wtedy folkowy utwór „This Is My Life" Anny Bergendahl nie zakwalifikował się do finału Eurowizji. Okupowanie w poprzednich latach miejsc pod koniec drugiej dwudziestki i tuż za nią zwiastowało czekającą za rogiem katastrofę. Ten blamaż w narodowym sporcie kazał branży szybko wdrożyć plan naprawczy.

Już w 2011 r. nastąpiła mobilizacja mająca dwa oblicza – doraźne i systemowe. Wspomniany rok był rekordowy pod względem liczby zgłoszeń do preselekcji zwanych Melodifestivalen, bo było ich aż 3832 (norma to pomiędzy 2 a 3 tys.). Dla porównania: do tegorocznych polskich eliminacji zgłoszono ledwie 124 utwory. Co ważniejsze, lokalne jury zastąpiono międzynarodowym, w którym zasiadają przedstawiciele państw uczestniczących w konkursie. Pozwala to lepiej określić, które propozycje wydadzą się interesujące zagranicznym odbiorcom. Niezmiennie gęste pozostaje selekcyjne sito, bo najpierw głos ma lokalne jury i produkcja telewizyjna, później wybierają widzowie, a dopiero w finale ich ogląd równoważą profesjonaliści z zagranicy. Skalę przedsięwzięcia pokazuje również podejście do krajowych półfinałów, które odbywają się w różnych częściach Szwecji i są transmitowane w telewizji, podobnie jak wielki finał.

Nic dziwnego, że przy takim podejściu słaby wynik to porażka nie tylko jednostki i państwa, lecz przede wszystkim całego przemysłu. Ten ostatni nie skupia się na gwiazdach, tylko ludziach, którzy dają im rozbłysnąć dzięki tekstom i produkcjom. W prestiżowym kręgu znajduje się kilkanaście postaci, które tworzą wspólnie w różnych konfiguracjach, a potem szukają scenicznych egzekutorek czy egzekutorów. Nierzadko w trakcie wewnętrznych selekcji walczą z samymi sobą, bo odpowiadają za kilka utworów z różnymi ludźmi. Zapewniają również muzykę całej Europie, proponując rozwiązania niezwiązane z kulturami danych państw, uśrednione muzycznie i... skuteczne. Dominują wśród nich dwa warianty brzmieniowe – żarаźliwy pop z wpływami muzyki tanecznej i popowe hymny z elementami opery. W tworzeniu „obiektywnych" przebojów pomaga im zaś specjalistyczna edukacja.

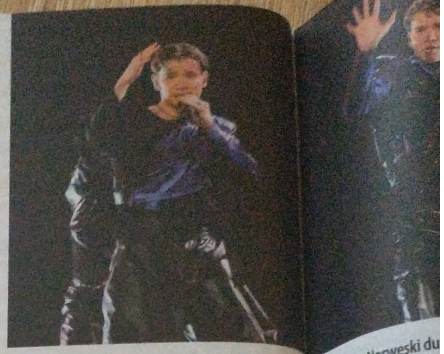

– W czołówce Melodifestivalen mamy zawsze od 8 do 12 piosenek, a także ok. 4–7 na Eurowizji pod szyldem innych krajów – chwali się Ulla Sjöström, która w 1998 r. założyła Musikmakarnę, pierwszą krajową szkołę pisania piosenek. Jej wpływy potwierdzają liczby. W ciągu ostatnich 10 lat szwedzka organizacja zbiorowego zarządzania prawami autorskimi zebrała tantiemy ze 157 krajów, które posiłkowały się umiejętnościami studentów i absolwentów. W tworzeniu eurowizyjnych hitów pomagają tzw. songwriting campy, podczas których spotykają się wszystkie osoby odpowiedzialne za proces tworzenia utworu. Sjöström zorganizowała ich już 500 i nie zamierza na tym poprzestać. Te wydarzenia to w końcu stali dostarczyciele wpadających w ucho melodii, z campowych usług korzystają największe wytwórnie i głodni sukcesu artyści.

Nadzwyczajna zwyczajność

Nie znaczy to, że nasz sąsiad przez morze osiadł na laurach. Tym razem będą go reprezentować bodaj najdoskonalsze, bo najdłużej przygotowywane produkty skandynawskiej myśli muzycznej. Mowa o norweskim, popularnym w Europie duecie bliźniaków o nazwie Marcus & Martinus z „Unforgettable", popową piosenką na eurowizyjną modłę. Bracia rozpoczęli kariery już w dzieciństwie, a pierwszy album pod skrzydłami potężnego Sony Music wydali niemal dekadę temu, mając po zaledwie 13 lat. W zeszłym roku za sprawą singla „Air" wygrali dla Szwecji prestiżowy konkurs stworzony przez fanklub Eurowizji, a na drugim miejscu ze sporą stratą znalazł się... ich rodzinny kraj. Teraz nic nie stoi na przeszkodzie, by wspierający rodzeństwo szwedzcy magicy dźwięków jednocześnie przegrali i wygrali. Małżeństwo Linnea i Joy Deb powalczy także pod szyldem Malty, a Jimmy Thörnfeldt – Austrii. W zeszłym roku ten

Norweski duet bliźniaków Marcus & Martinus, wspierany przez szwedzkich magików dźwięków.

© TIM GROSSER/A/GETTY IMAGES

…stivalen mamy
…senek, a także
…szyldem innych
…jöström, która
…arnę, pierwszą
…enek. Jej wpły-
…iągu ostatnich
…a zbiorowego
…skimi zebrała
…e posiłkowa-
…lentów i ab-
…rowizyjnych
…ting campy,
…ę wszystkie
…ces tworze-
…zowała ich
…oprzestać.
…dostarczy-
…dii, z cam-
…ększe wy-

…ność

…zez mo-
…m będą
…nalsze,
…odukty
Mowa
…ie du-
Marti-
…senką
…oczęli
…wszy
Sony
ma-
…roku
…we-
…rzez
…scu
…ny
…zie,
…zcy
…ali
…o-
…ny
…n

ostatni cieszył się ze zwycięstwa Szwecji i smucił, bo Cypr zajął 12. miejsce.

– *To nie są zawody piosenek, lecz konkurs. Duże kraje mają tendencję do dominowania, niezależnie od tego, czy ich zgłoszenia są genialne, czy g…niane* – piekli się amerykański songwriter Charlie Mason, pytany o największą muzyczną wadę Eurowizji. Można byłoby to potraktować jak protekcjonalne wynurzenia pieniacza z dalekiego świata, gdyby nie to, że autor pracował z Conchitą Wurst przy zwycięskim „Rise Like a Phoenix" (2014 r.). Jego zdaniem, gdyby austriacka drag queen zaśpiewała wtedy alfabet albo bełkotała, też mogłaby zwyciężyć, bo chodzi w tym wszystkim o postać i odczucia związane ze spektaklem, a nie muzykę. Równie krytyczny jest w stosunku do Szwedów. Uważa, że przez ich umocowanie i budżety ciężko w ogóle z nimi konkurować.

Mimo wszystko ostatnie lata udowadniają coś innego. Przede wszystkim to, że gotowanie w popowym garnku ze Skandynawami nie ma większego sensu, bo ci już dopracowali do perfekcji recepturę uśrednionego, trafiającego w szerokie gusta gulaszu. Kraje wiedzione pokusą szwedzkiej optymalizacji popadają w gwarantowaną, ale wciąż przeciętność. Wygląda na to, że w latach 20. zauważyły to także rywalizujące państwa. Jeśli nie interesuje ich po prostu przyzwoite miejsce, to proponują coś barwnego, czyli autorskiego muzycznie, osobistego treściowo i w rodzimym języku, jak Kalush Orchestra czy Måneskin. Oczywiście godząc się z tym, że to przepis na spektakularną wygraną lub dotkliwą porażkę. Wiele wskazuje na to, że popowi reprezentanci Szwecji obejdą się w tym roku smakiem. Ta część Europy nie musi jednak zostać w przegranym polu. Faworytem jest bowiem poruszający temat niebinarności Szwajcar Nemo z łączącym operę, rap i rave „The Code". Warstwę muzyczną utworu przygotowali m.in. Norweg Lasse Nymann i Szwedka Linda Dale, a dyrektor kreatywny to Frederik Rydman, Szwed odpowiadający w 2015 za choreografię do zwycięskiego „Heroes" Mânsa Zelmerlöwa. Szansę na sukces mają także Chorwat Baby Lasagna z jazgotliwym i prześmiewczym „Rim Tim Tagi Dim" oraz Joost Klein z „Europapą", holenderską wariacją na temat eurodance'u. My według bukmacherów plasujemy się pod koniec trzeciej dziesiątki.

Melodia przyszłości

Utwory, spośród których zapewne wybrana zostanie zwycięska piosenka, każą się zastanowić, w którym kierunku muzycznym konkurs może podążyć w najbliższych latach. Wydaje się, że w tej kwestii można zaufać osobie, która była członkiem zwycięskiej drużyny ze Skandynawii, stale współpracuje z popularnymi w eurowizyjnych kręgach songwriterami ze Szwecji i nieprzerwanie od sześciu lat wchodzi do kolejnych edycji konkursu z takimi krajami, jak Cypr, Niemcy, Azerbejdżan i Austria.

– *Rywalizacja polega na wyróżnieniu się, co uzasadnia pewną przesadę. Niestety gubi się w tym trochę muzyka. Jeśli ktoś słyszy dziesięć piosenek z rzędu z tancerzami, ogniem i szalejącymi ekranami, to trudno mu się skoncentrować na muzyce* – diagnozuje Thomas Stengaard, duński producent i songwriter współtworzący „Only Teardrops" zaśpiewane w 2013 r. przez Emmelie de Forest. Po chwili dodaje, że ostatnio mamy do czynienia z wieloma zabawnymi, chwytliwymi piosenkami i powoli osiągamy masę krytyczną. Niebawem możemy być więc świadkami powrotu do bardziej konwencjonalnych propozycji. Sam muzyk liczy tylko na to, że nawet mimo zmian tendencji uda mu się utrzymać w eurowizyjnym kręgu – bo cały czas rozdaje w tym wyścigu karty szczególna, ukształtowana przez lata międzynarodówka autorek i autorów.

Łatwiej jednak przewidzieć przyszłość naszej reprezentantki Luny. Choć wybrała Brytyjczyków, przyznaje, że rozważała współpracę ze Szwedami, bo wie, że mają niezwykłe zdolności w tworzeniu hitów. Co się jednak odwlecze, to nie uciecze. Luna pracuje nad nowym albumem w Szwecji. Ma nadzieję, że po Eurowizji uda jej się zaskoczyć słuchaczy nowym przebojem.

KRZYSZTOF NOWAK

REKLAMA

Fish

ROAD TO THE ISLES

ROAD TO THE ISLES
TOUR 2024/25
FAREWELL TOUR

19|10|24 WROCŁAW A2
20|10|24 WARSZAWA PROGRESJA
21|10|24 KRAKÓW STUDIO
22|10|24 GDAŃSK STARY MANEŻ

FKP SCORPIO fishmusic.scot eventim

Adam Ferency jako Jerzy Urban.

W Teatrze Łaźnia Nowa w krakowskiej Nowej Hucie Jerzy Urban walczy w ringu o polską duszę z innym Żydem – Jezusem.

Tu leży Urban Jerzy

ANETA KYZIOŁ

„Czas wygasza emocje" – pisał na naszych łamach Adam Krzemiński po śmierci Jerzego Urbana w październiku 2022 r. – „Dla dzisiejszych trzydziestolatków zmarły w wieku 89 lat Jerzy Urban jest w najlepszym razie znany jedynie z happeningów, prowokacyjnych zgryw i występów, podczas których przed kamerą wystawiał np. na sprzedaż swoją »mało używaną« sztuczną szczękę. Dla czterdziestolatków Urban to wydawca »Nie« – milioner, sybaryta z lubością szargający wszelkie narodowe i kościelne świętości, człowiek, który wprowadził do prasy pełną wulgaryzmów, potoczną polszczyznę. Dla wielu pięćdziesięciolatków, którzy coś tam pamiętają z telewizji sprzed »okrągłego stołu«, Urban to tylko jeden z przegranych 1989 r. A dla nieprzejednanych sześćdziesięciolatków, którzy pamiętają jego konferencje prasowe dla zagranicznych dziennikarzy, to tylko »Goebbels stanu wojennego«".

W wystawionej przez Bartosza Szydłowskiego sztuce Piotra Rowickiego „Urban. Idę po was...", dla której bazą była ubiegłoroczna głośna, 600-stronicowa biografia autorstwa Doroty Karaś i Marka Sterlingowa, emocje faktycznie nie buzują. Ale Adam Ferency w tytułowej roli daje wspaniały popis aktorstwa, jednocześnie z dystansem do postaci i bez łatwego oceniania. Tworzy bohatera, który dla części widowni będzie okazją do ponownej konfrontacji z człowiekiem, który – dopóki żył – nie ustawał w przypominaniu, że Polska obok tak chętnie eksponowanej, pięknej twarzy papieskiej czy solidarnościowej miała, i wciąż ma, też tę brzydszą – konformistyczną.

Młodsi zobaczą w tym scenicznym Urbanie stand-upera, który (wspomagany przez występujących w rozmaitych rolach Barbarę Jonak i Pawła Smagałę) przeprowadzi ich przez meandry nieodległej historii. Zaś motto bohatera: „Zawsze mówiłem prawdę. Prawdę, która była zgodna z moim sumieniem, którego nie mam, i kontem, które mam. Prawdę, którą wymyśliłem i w którą wierzyłem, no bo w co miałem wierzyć?" – mocno rezonuje w czasach masowego tworzenia medialnych person (najlepiej kontrowersyjnych), autokreacji i postprawdy.

Jerzy Urban to drugi po Wałęsie bohater polskiej historii, którego na teatralny warsztat bierze Szydłowski. W wystawionym w 2018 r. „Wałęsie w Kolonos" grany przez Jerzego Stuhra bohater przeprowadzał rodzaj rachunku sumienia, ale w swoim niepowtarzalnym stylu – sumienia raczej cudzego, narodowego niż własnego. „Miałem odwagę iść, szukać. Popełniałem wiele błędów. Ale zawsze dążyłem do jednego celu! A wy? Coście robili? Z zadowoleniem i uśmiechem liżaliście jaja czerwonego Sfinksa!" – rzucał w twarz społeczeństwu, które w wyborach zagłosowało na partię w Wałęsie widzącą jedynie zdrajcę Bolka.

Urban też jest lustrem dla współczesnych Polaków i Polek i kolejnym bohaterem, który dzieli. Z Wałęsą łączą go też pewność siebie, niepokorność, talent do wygłaszania bon motów i dusza jokera-prowokatora. Stali po przeciwnych stronach barykady, choć Urban w swoim stylu utrzymywał, że był opozycjonistą, zanim stało się to modne, jako autor rewizjonistycznych reportaży z lat 50. krytykujących gospodarkę planową, za co był karany zakazem druku i wyrzucany z gazet. I obaj na starość świetnie się odnaleźli w świecie internetowej rozrywki.

Urban w swoich performansach bywał nieposkromiony. Paradował w stroju biskupa, pozował do słynnego zdjęcia (zrobionego podczas wieczoru wyborczego w sztabie SLD w 1993 r.) z wielką butlą szampana i wywalonym językiem, publikował artykuły w „Nie" o publicznym umieraniu Jana Pawła II – czyli w tamtejszej nomenklaturze „Brežniewa Watykanu" – zatytułowane „Obwoźne sado-maso" itd. U Szydłowskiego to tylko dość blade wspomnienia, co obniża temperaturę spektaklu, ale też jest celnym

© MATEUSZ KAMIŃCZYK

ie ustawał w przy-
a obok tak chętnie
j twarzy papieskiej
iała, i wciąż ma, też
styczną.
tym scenicznym
który (wspoma-
ch w rozmaitych
Pawła Smagałę)
meandry nieod-
bohatera: „Za-
Prawdę, która
eniem, którego
mam. Prawdę,
rą wierzyłem,
yć?" – mocno
ego tworzenia
iej kontrower-
prawdy.

**Wałęsie bo-
rego na te-
zydłowski.**
ałęsie w Ko-
hra bohater
u sumienia,
stylu – su-
lowego niż
ść, szukać,
le zawsze
y? Coście
echem li-
" – rzucał
wyborach
widzącą

spółcze-
n boha-
ą go też
talent
sza jo-
wnych
swoim
nistą,
or re-
). kry-
co był
z ga-
aleźli

wał
u bi-
zro-
ego
ntlą
bu-
ym
m-
a-
a-
ko
n-
m

© MATEUSZ SKWARCZEK

dziarzem do zmian społecznych. Kościół kompromituje się sam, sekularyzacja spowszechniała, bo używa się masowo. Adam Ferency, w dobrze znanym garniturze i z pomalowanymi złotko uszami, gra więc starego bon vivanta, cynika i sybarytę w polskim, zachodniej lub bardziej prześnym, stylu nadającego po swojej biografii.

Spędzimy więc pracę w redakcji „Prostu", a potem POLITYKI (w latach 1961–63 był cenionym reporterem, od 1969 do 1981 r. szefem działu krajowego). „Poniedziałek ja. Wtorek ja. Środa jak najbardziej ja, bo w środę wychodzi POLITYKA. Najlepszy tygodnik między Władywostokiem a Łabą" – mówi bohater (a z widowni rozlega się kobiecy głos: „Zgadza się"). Wreszcie tworzenie w 1990 r. tygodnika „Nie", który zapowiada następująco: „Będziemy szydzić z rzeczy poważnych i weselić się ze smutnych. W świętości nieszargane umierają z nudów. Pogniewszmy je ratować. »Nie« ma być niedobre. W kraju, gdzie cokolwiek się robi, robi się źle, przyrządzanie dobrego czasopisma byłoby narodowym odszczepieństwem. Rozdyma nas patriotyzm i partactwem wyrazimy plemienną solidarność. Polacy chodzą obrażeni na wszystkich o wszystko. Damy dużo nowych, dobrych powodów do obrazy".

W roli chóru ludowego niczym z antycznej tragedii towarzyszy Urbanowi punkowe trio Salkers, wyśpiewujące m.in. popularne przed dekadami rymowanki w stylu: „Tutaj leży Urban Jerzy. Pokój jego duszy. Trumna mu się nie dozmyka, bo wystają uszy".

Bohater wjeżdża na scenę na złotym sedesie, informując, że nie płakał po papieżu, bo w czasie jego śmierci akurat defekował. Ze spłuczki wyciąga flaszkę whisky, zapala papierosa i zaczyna opowieść o sobie, przerywaną co jakiś czas wezwaniami pielęgniarki: „Panie Jurku, czas na morfinę".

Sceny z transmitowanych przez TVP konferencji prasowych Urbana jako rzecznika rządu w najczarniejszym okresie PRL, „Goebbelsa stanu wojennego", negującego udział władz w zamordowaniu kapelana Solidarności księdza Jerzego Popiełuszki i Grzegorza Przemyka, przywołują na myśl niedawny fenomen Sejmflixa, czyli obrad Sejmu masowo oglądanych dla celnych ripost. Szydłowski z autorem sztuki przypominają najbardziej znane frazy Urbana, jak „rząd się sam wyżywi", czy wysyłkę śpiworów w ramach pomocy bezdomnym w USA. Tylko odpowiedzi na pytania o księdza Popiełuszkę stają mu w gardle. Ale zaraz komentuje: „Przecież świętość jest waszym celem. Marzycie, żeby zginąć za wiarę, za ojczyznę. Czasem marzenia się spełniają".

Po 1989 r. Urban staje się persona non grata. Jednak najbardziej żałuje nie samej przegranej, tylko wcześniejszego schylenia karku przed Kościołem, czyli uchwalonej przez rząd Mieczysława Rakowskiego ustawy o stosunkach między Kościołem a państwem, dającej klerowi przywileje finansowe. „Kurwa, ale żeśmy dali dupy. Wyruchali nas jak poznański patriarcha swoich kleryków. I ja to podpisałem jako członek rządu" – komentuje w przedstawieniu. Bierze udział w obradach Okrągłego Stołu, ale jak zauważa: „znam wszystkich, wszyscy mnie znają, ale nikt się nie przyznaje", uczestnicy „wolą dostać raka, niż być ze mną na jednym zdjęciu".

W kapitalistycznej Polsce z początku nie wie, co robić. Snuje się po domu w piżamie, pali i pije, aż żona, Małgorzata Daniszewska, przypomina mu, że tym, co mu zawsze dobrze wychodziło, jest robienie gazety. „Nie" powstanie na bazie tej myśli i pieniędzy zarobionych na „Alfabecie Urbana", nienawistnej i wulgarnej, autorskiej kronice PRL, która rozeszła się w 700 tys. egzemplarzy.

Komuch Urban doskonale wie, że w kapitalizmie marketing jest dźwignią handlu, a nic nie wzbudza takiego rozgłosu jak skandal. Dlatego jest bardzo rozczarowany, gdy biegli orzekają, że drukowane przez „Nie" zdjęcia nagich kobiet nie są wystarczającą podstawą do wytoczenia wydawcy procesu o szerzenie pornografii. Marzyło mu się zostanie polskim Larrym Flyntem, ale „chuje umorzyli". Zadziałają dopiero artykuły o papieżu i zarzut obrazy uczuć religijnych. Z dumą powie: „Jak wczoraj siedziałem w kawiarni, to piękna, młoda dziewczyna zatrzymała się i napluła na szybę. Wzruszyłem się. Jest ta rozpoznawalność".

Kulminacyjną sceną spektaklu jest pojedynek Urbana z Jezusem. Walczący stają w ringu, choć w dobie patostreamingu i walk MMA powinni w oktagonie, bo tam odbywają się cieszące się ogromną popularnością mordobicia celebrytów. Zaczynają od wzajemnego wyzywania się od Żydów, przy czym Jezus jest zaskoczony, bo czuje się Polakiem, a co najwyżej Galilejczykiem. „Jezus, ufam sobie" – informuje zebranych. O jaką stawkę toczy się ta walka? O dusze Polaków? Jak w osławionych programach telewizyjnych, w których dyskusja sprowadza się do kłótni przedstawicieli przeciwnych, wyostrzonych do granic absurdu racji.

„Urban. Idę po was..." to także komentarz do prowokacji jako powszechnego dziś sposobu na zaistnienie w zbiorowej świadomości, do monetyzowania kontrowersji. „Ja jestem samobieżne narzędzie do drażnienia. Przyrząd do wkurwiania. Antywibrator" – mówi o sobie spektaklowy Urban. Ten prawdziwy był prekursorem i w tej dziedzinie. ■

REKLAMA

8 – 12.05.2024

27. FESTIWAL JAZZ JANTAR

wiosna klub żak gdańsk

festiwal jazz jantar

GDAŃSK

POLITYKA

Wojna ma się dobrze

Krzysztof Siwczyk

Anna Wasilewska, wybitna tłumaczka języka francuskiego, nie mogła lepiej trafić w czas z przekładem odnalezionej powieści Louisa-Ferdinanda Céline'a zatytułowanej „Wojna". Już jakiś czas temu świat obiegła wiadomość, że z kufra, który zostawił zmarły w 1961 r. pisarz, wydobyto książkę będącą pomostem między dwoma znanymi w Polsce tytułami, czyli „Podróżą do kresu nocy" i „Śmiercią na kredyt". Ten pomostowy charakter „Wojny" najlepiej widać w języku. Balansuje w nim Céline między długim zdaniem, charakterystycznym dla „Podróży…" – tym osławionym żargonem półświatka, czyli *argot* – a szybszą, skróconą frazą obecną w „Śmierci na kredyt". Stąd już krok do wykrzyknikowych zdań wypełniających powieść „Z zamku do zamku".

Czego dowiadujemy się z „Wojny"? Właściwie tego, co stanowi o nieusuwalnej pozycji Céline'a w literaturze światowej: człowiek to „chodzące gówno". Wiek XX nie zaznał w literaturze przewrotu analogicznego do tego, co zaproponował w „Podróży do kresu nocy" kolaborant rządu Vichy, antysemita, mizantrop i jednocześnie lekarz ludzi biednych, zmarginalizowanych i zaropiałych. Céline już na zawsze pozostanie symbolem tego, co w człowieku podłe i wielkie jednocześnie. Autor antysemickich pamfletów – pamiętam szok po lekturze „Przyczynków do pogromu" – w latach 30. dał jednocześnie pokaz sztuki powieściowej, która okazała się kamieniem węgielnym dla wszystkich obrazoburców literackich. Ci na patronat Céline'a mniej lub bardziej wstydliwie się powoływali. Trudno wyobrazić sobie Henry'ego Millera czy Charlesa Bukowskiego bez podglebia, jakie przygotował dla ich wystąpień pisarskich słynny człowiek z blaszką w głowie.

Ta blaszka, pamiątka po pierwszej wojnie światowej, jest widoczna na niektórych zdjęciach Céline'a dostępnych w tzw. domenie publicznej, która chyba zinternalizowała tego potwora jako po prostu bliźniego z rasistowskim odchyleniem. Kiedy czytałem „Wojnę" w dzisiejszym kontekście geopolitycznym, jedna tylko myśl chodziła mi po głowie: obcuję z prawdą. Opisy lazaretu, od których czytelnikowi robi się mdło, to po prostu jedna wielka, uniwersalna wykładnia świata szczątków ludzkich i, co chyba gorsze, szczątków idei, które w człowieku ustanawiają źródło odruchów moralnych. Jedynymi odruchami, na jakie stać człowieka według Céline'a, są ruchy frykcyjne, rozdzielane na prawo i lewo, pod auspicjami wszechobecnej śmierci i rozkładu.

Pokłosiem lekarskich predylekcji pisarza z pewnością jest jego wizja człowieka – sprowadzona do radykalnego biologizmu. Biologizm ten nie ma nic wspólnego z ekstatycznym i etycznie neutralnym światem przyrody. Jest brudny, patomorfologiczny, spływa posoką i limfą, jest sponiewierany przez szmatławą kondycję bohatera tej prozy, w którym wojna dekapitowała empatię. „Wojna" przypomniała mi emocje, jakie w młodości wywoływał we mnie Céline. „Podróż do kresu nocy" to był mój katechizm nienawiści do człowieka in genere. Jako dwudziestolatek wypisywałem z tej książki do kajetu co bardziej perwersyjne sentencje kalające homo sapiens. Nie wiem, czy dziś, dobiegając pięćdziesiątki, byłbym skłonny do analogicznych notatek, chociaż „Wojna" aż roi się od sentencji, które dobrze by wyglądały na nagrobku ludzkości.

Co przeraża w tej lekturze może najbardziej, to radykalny gest odrzucenia pacyfizmu. To nie jest proza, która, dokumentując bezeceństwo wojny i – co za tym idzie – portretując jej ofiary, pozostawia w czytelniku jakiś osad buntu czy niezgody na taką, a nie inną wizję gatunku ludzkiego. Wizję tę, podobnie jak w „Podróży do kresu nocy", określa tylko parę parametrów egzystencjalnych, których czepia się – jak pisał pobratymiec mentalny Céline'a Emil Cioran – „spionizowany szkielet": to jedzenie, chlanie i pieprzenie. Poczynaniom literackim Céline'a nie przyświecała określona teoria krytyczna. W jego przypadku mamy raczej do czynienia z odruchowym i manifestacyjnym zapisem reakcji alergicznej na widok współczesnego mu świata i zaludniających go groteskowych postaci, godnych jedynie pogardy i stanowiących potencjalne zagrożenie dla innych i siebie samych.

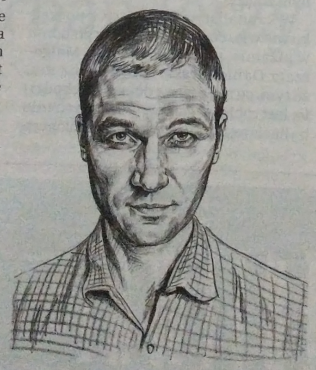

Céline mnoży opisy beznadziei egzystencji, dając wykładnię własnego zgorzknienia i samotności. Stopniowo jego książka staje się rodzajem „odysei rozpaczy", w której nie ma żadnego potencjału metafizycznego. Cierpienie nie jest rewersem afirmacji, a mądre pobłażanie związane z doświadczeniem wojennym to dla pisarza czysta mrzonka. U Céline'a wszystkie objawy „życia" są radykalnie pozbawione momentu pozytywnego olśnienia i zachwytu. Życie nie powinno istnieć, a w szczególności nie powinien pojawić się człowiek wegetujący na wielkiej pustyni, której nie obserwuje już od dawna żaden Bóg. Po lekturze „Wojny" czytelnik może czuć się jedynie ocalałym na pustyni wygnańcem, dla którego kultura z jej oświeconymi kanonami pozostaje rodzajem fatamorgany. Problematyczność czytania tej książki dziś, po niemal osiemdziesięciu latach od jej powstania, polega na jej porażającym, profetycznym wymiarze. Przecież każdy obraz z Buczy stanowi rękojmię brutalnej prawdy tej prozy. Prawdy sformułowanej przez – wydawałoby się – najpodlejszego z ludzi, który pozostał do śmierci chory z nienawiści i resentymentów. Istnieje w zasobach internetowych wstrząsający zapis filmowy z pisarzem. Widzimy starego Céline'a czytającego, głoszącego swoje deziluzje i nagle głaszczącego papugę. Wyobrażam sobie, że ta papuga jak opętana powtarza tylko jedno słowo: *merde*.

Krzysztof Siwczyk – poeta, krytyk literacki, felietonista i aktor (zagrał głównego bohatera filmu Lecha Majewskiego „Wojaczek"). W 2016 r. wydał tom wierszy „Jasnopis", a dwa lata później tom wierszy „Mediany" i prozę „Bezduch". W 2020 r. – kolejny tom wierszy „Osobnikt". Pracuje w Instytucie Mikołowskim znajdującym się w domu, w którym mieszkał Rafał Wojaczek.

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Michał Rusinek o wartości literackiej tekstu „Wodospady" Doroty „Dody" Rabczewskiej: „Nie jest to Maria Pawlikowska-Jasnorzewska ani Maria Konopnicka". Pierwszy taki przypadek, gdy ktoś nie wiedział, że Doda nie jest wielką pisarką, tylko że nie jest dwiema.

Sąd w Warszawie odmówił wpisania do URS członków zarządu TVP powołanych przez Radę Mediów Narodowych. Oznacza, że Michał Adamczyk nie jest prezesem TVP. Trwa poszukiwanie instytucji, która wytłumaczy Michałowi, że nie jest też dziennikarzem.

Ofiarą bohaterka ostatnich dni. Dagmara Kaźmierska „odeszła" z „Tańca z Gwiazdami". Szybko okazało się, że najgorsza uczestniczka wszystkich edycji była faworytką programu. Rynek zareagował prawidłowo. Dagmara zniknęła też z Wikipedii.

Erwin Wencel, były mąż Ewy Wencel, ujawnił, że przed laty nakrył swoją żonę w łóżku z Bogusławem Lindą. Aktor miał uciec przez płot bez spodni, a pod pachą zostawił pistolet. Już teraz wiem, skąd się wziął cytat: „Nie chce mi się z tobą gadać".

Mata zainwestował w start-up, który ma przeciwdziałać uzależnieniu i zachęcić palaczy marihuany do zatroszczenia się o zdrowie. Brawo. Zupełnie jak Benjamin Franklin. On też testował wynalazek piorunochronu na sobie.

Goniec.pl ujawnił, że Dagmara Kaźmierska w swej agencji towarzyskiej poniżała pracownice, biła i zmuszała do zażywania narkotyków. Miała też pobić i zastraszać kobietę w ciąży. Polsat po analizie uznał, że żadna z tych figur nie mieści się w kategorii tańca towarzyskiego.

Minister Borys Budka ujawnił, że Daniel Obajtek zafundował sobie na koszt Orlenu operację plastyczną, botoks oraz nowe uzębienie. Teraz to jasne. Wcześniej ni w ząb nie potrafiłem zrozumieć, czemu paliwo coraz droższe.

Mama aktora Macieja Musiała pojawiła się w programie „Wstajemy!" na kanale TV Republika. Pani Ania mówiła o „dawaniu wolności synowi". Też uważam, że to doskonałe miejsce, by dyskutować o wolności.

© TWITTER

Wybory samorządowe ledwo ukończone, a tu już dobra nowina. Nowy burmistrz Zakopanego Łukasz Filipowicz zapowiedział koniec „Sylwestra marzeń". Wiadomo, ci, którzy to organizowali, teraz o swoich marzeniach opowiadają przed inną komisją.

Szok i niedowierzanie: Jak donosi „Świat seriali", w latach 70. Joanna Szczepkowska i Adam Michnik mieli romans. Podobno krótki, bo byli zbyt zajęci. On obalał komunizm, a ona o tym informowała.

Grzegorz Braun z dumą zamieścił na swym FB operową wersję słynnego hotelowego szlagieru „O, Grzegorz Braun". Wśród wyznawców entuzjazm. Moda na operę trwa. Krzysztof Warlikowski pokaże w tym roku „Idiotę" w Salzburgu.

Jest nowe nazwisko w show-biznesie. To Jacek Protasiewicz, były wicewojewoda śląski. Jacek po rockandrollowej ofensywie w social mediach zapowiada ślub z 22-letnią narzeczoną oraz mocną książkę. Sugeruję pożyczyć tytuł od Justina Biebera: „Dopiero się rozkręcam".

„Magda Gessler żali się, że nie może oddać moczu. Wszystko się nagrało". To zdarzenie kulturowe ujawniła konsekwentna w swych odkryciach Zuzanna Szeloch z plotek.pl. Podziwiam. Dążenie do prawdy to nasz obowiązek.

Szalony Reporter oraz Politykier opublikowali na YouTube materiał pt. „Stanowski brał kasę od PiS?". Krzysztof Stanowski zapowiada proces. Na razie w publicznej konwersacji panowie odmieniają słowo debil przez przypadki: biernik, rządownik i powybornik.

Zawodnik MMA Artur Szpilka wyznał w TVN, że czas spędzony w więzieniu był jednym z najlepszych w jego życiu, bo tam właśnie zaczął czytać. To dobry przykład dla młodych. Najważniejsze w życiu to mieć cele.

Doskonałe wiadomości od Krzysztofa Ziemca. Były dziennikarz TVP pracuje w Irlandii, gdzie maluje ściany. „Żadna praca nie hańbi" – tłumaczył się Krzycho. No ja bym uważał z takimi deklaracjami. Szczególnie po tym, co zmalował.

[FELIETON]

Lis

Mądrość inwentarza

Już ponad jedna czwarta dzieci przychodzących na świat w Polsce rodzi się poza małżeństwem. Z roku na rok spada też w naszym kraju liczba par decydujących się na ślub, zwłaszcza kościelny. Dane te potwierdza zarówno Główny Urząd Statystyczny, jak i Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego. Laicyzujemy się i przekształcamy tradycję, w której nas wychowywano, wypracowując nowe sposoby rozumienia rodziny i nowe jej formy. Nuklearna rodzina 2+2, w której ja się wychowałam, miała inną strukturę niż ta, w której dorastała moja babcia. Kulturowa męskość mojego sąsiada, który entuzjastycznie opiekuje się swoim malutkim dzieckiem, jest skrojona inaczej niż męskość mojego ojca. Moja kobiecość jest inna niż kobiecość mojej matki. Zdawałoby się, że to oczywistość – dzieje ludzkości są przecież opowieścią między innymi o tym, jak rodzą się i umierają kulturowe wzory małżeństwa i rodziny, macierzyństwa i ojcostwa, kobiecości i męskości. I jak wciąż pojawiają się następne, lepiej dostosowane do warunków życia.

A jednak chętnych do zawracania Wisły kijem wciąż u nas nie brakuje. Że z faktami się nie dyskutuje? Chyba twoja stara. Tradycjonaliści z Trzeciej Drogi nie zamierzają kapitulować przed rzeczywistością, szczególnie gdy ta ostatnia irytuje biskupów. Na zmiany obyczajowe reagują jak rozregulowany licznik Geigera: wyją w trybie ciągłym, z byle powodu wieszcząc koniec świata. I bardzo lubią siebie w tej roli: wystarczy spojrzeć, jak Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz nasładzają się własną nieomylnością, kiedy mówią do kamer o równości małżeńskiej.

Hołownia w ogóle brzmi jak kaznodzieja i to chyba w tym kryje się tajemnica jego sukcesu: mimo że nie wygląda na księdza, dla wielu jego twarz brzmi znajomo. Kosiniak-Kamysz z kolei wciela się w rolę surowego ojca, który folwarcznemu chłopstwu (nam wszystkim) wskazuje kierunek moralny sztywno jak busola północ. Autorytarne figury księdza i pana, które ożywają w wystąpieniach tych politycznych aktorów, bardziej pasowałyby do PiS niż do koalicji 15 października. W teatrze demokracji mogą tylko straszyć. Albo śmieszyć. Zwłaszcza że argumenty, jakimi się posługują, są bałamutne.

Na przykład kiedy Hołownia uzasadnia swój sprzeciw wobec małżeństw jednopłciowych „etymologią", na pozór brzmi to mądrze i ucina dyskusję, ale tylko dopóty, dopóki dociekliwa polonistka nie powie: sprawdzam. Sięgam na półkę: według „Słownika etymologicznego" Aleksandra Brücknera słowo „małżeństwo" pochodzi od rzeczownika „małżona", oznaczającego kobietę pojętą za żonę „na mał", gdzie zapożyczone z niemieckiego „mał" to umowa. Brückner zresztą wprost przestrzega przed „naiwnem wplataniem męża" do rodowodu słowa „małżeństwo". Hucpą jest także inny ulubiony chwyt lidera Polski 2050 – umieszczanie ślubów cywilnych w perspektywie religijnej. Gdyby miały one cokolwiek wspólnego z fetyszyzującymi płodność mitami o mistycznych zaślubinach, na przykład Chrystusa z Kościołem, nie różniłyby się od ślubów kościelnych. Ponadto w dzisiejszym przeludnionym świecie, wobec zatrucia środowiska, zmian klimatu i masowych migracji, absolutyzacja płodności wydaje się szkodliwą ekstrawagancją. A samo narzucanie świętych wzorów laickim społeczeństwom to czysta przemoc.

> W konfrontacji z naturą stereotypy płciowe rozsypują się w proch jak Drakula o świcie.

W przypadku Kosiniaka-Kamysza sprawa jest trudniejsza, ponieważ poszlaki biograficzne wykluczają motywację religijną. Opisywany w prasie rozwód i kolejne małżeństwo polityka wznoszą obiektywną barierę między nim a Kościołem, niemożliwe więc, żeby o katechizm mu chodziło, kiedy deklaruje, że nie zagłosuje za równością małżeńską. Czym więc się kieruje, skoro nauka Kościoła najwyraźniej nie jest w jego życiu priorytetem? Mam swoją hipotezę i nie zawaham się nią podzielić, bowiem idzie tu o imponderabilia. Myślę, że lider PSL czerpie po prostu z mądrości inwentarza. Wieprz kryje lochy, byk krowy, kogut kury – w zagrodzie zawsze tak było i będzie. Dlatego można się rozwieść i znowu ożenić, czemu nie, nawet będąc katolikiem, ale pod warunkiem że nowe stadło będą tworzyć samiec i samica.

Mamy tu do czynienia z oczywistym błędem perspektywy: obracając się wśród zwierząt hodowlanych, ludowiec łatwo zapomina, że natura do nich się nie ogranicza. Że na Antarktydzie ponad jedna czwarta pingwinów tworzy związki jednopłciowe, głównie zresztą męsko-męskie. Że istnieje konik morski – gatunek, w którym to samiec ma worek lęgowy, zachodzi w ciążę i rodzi młode. Albo dorada, tak ceniona przez smakoszy, która – niczym w koszmarze Jarosława Kaczyńskiego – do trzeciego roku życia jest Władysławem, a potem zostaje Zosią. Albo okoń kredowy, który zmienia płeć nawet 20 razy na dobę. Ludowiec zapomina, że błazenki, niezwykle popularne rybki akwariowe, spędzają życie jako nieaktywne samce, z wyjątkiem największego w populacji, który staje się samicą, i drugiego co do wielkości, który staje się aktywnym samcem. Para ta rozmnaża się w imieniu wszystkich błazenków, a jeśli samica zginie, wtedy aktywny samiec sam przekształca się w samicę, jego zaś rolę bierze na siebie następna w kolejce rybka. Ludowiec powinien wiedzieć, że w konfrontacji z naturą stereotypy płciowe rozsypują się w proch jak Drakula o świcie.

Tygrysie, scena jest twoja. Może czas poczytać co nieco o tęczowych związkach?

RENATA LIS

[FELIETON]

Koziołek

Ależ powtarzajmy!

Thor Heyerdahl płynął w 1947 r. wraz z czterema towarzyszami 100 dni na drewnianej tratwie Kon-Tiki z Peru na Polinezję nie dlatego, że nie było lepszych statków lub samolotów. Każdy z nas, powtarzając czyjeś dokonanie, dowodzi, że było ono możliwe, ale także lepiej rozumie przeszłość. Z jakichś powodów, mimo że małe i wielkie góry zostały już zdobyte, ludzie chcą sami zrobić to jeszcze raz. Nie tylko, żeby znaleźć się na szczycie, ale by doświadczyć drogi. W przypadku literatury ta droga wyczerpuje się zwykle na czytaniu. Ale nawet wtedy doświadczamy czasem tajemniczego zjawiska, które polega na poczuciu, że zniewalająca, wspaniała książka, która powstała przed naszym urodzeniem, została napisana specjalnie dla nas, choć jej twórca nic o nas wiedzieć nie mógł. Wbrew tak oczywistemu faktowi kolejne pokolenia czytelników wyruszają drogą lektury na szczyt „Romea i Julii", „Rozważnej i romantycznej", „Sklepów cynamonowych", „Pani Dalloway", aby przeżyć je po raz pierwszy, choć miliony zrobiły to wcześniej.

To wszystko już było – skomentowała sąsiadka parę nastolatków w spodniach z szerokimi nogawkami.

– Pamiętam – rozmarzyłem się – jak błagałem krawcową, żeby na dole były szersze niż długość buta, ale mama się nie zgodziła.

– Moja też nie. Ale na szczęście babcia szyła genialnie i miałam wszystko, co tylko zobaczyłam w telewizji albo w gazetach – odparła, nie odrywając od nich wzroku.

– Wystarczy żyć dość długo i człowiek kilka razy jest modny, nie zmieniając garderoby. Świat kręci się w kółko – pocieszyłem nas.

– Raczej przesuwa się tam i z powrotem sinusoidalnie – zaoponowała spokojnie.

Staliśmy przez chwilę, patrząc za młodzieżą oddalającą się w naszych ubraniach nie wiadomo dokąd.

Nie ma bardziej przewidywalnego marudzenia – zwłaszcza u osób w moim wieku – niż że nowe pokolenie zamiast tworzyć swoje, wykorzystuje ponownie to, co było nasze. Ilekroć się na tym przyłapię, perswaduję sobie, że na przeszłości pasożytują wszyscy od początku świata i nazywa się to „tradycja". Żeby daleko nie szukać, taki Szekspir nie napisał ani jednej oryginalnej sztuki, wszystkie są rozwiniętymi przeróbkami historii już istniejących. Niejakim usprawiedliwieniem jego coverów może być fakt, że są to arcydzieła zrobione z przeciętnych prototypów. A jeśli powtarzamy, nie dodając niczego, ani przecinka lub kropki?

Niedawno zginął w pożarze Tadeusz Modrzejewski z Bielska-Białej, który napisał ręcznie, stalówką maczaną w atramencie, ponad sto książek. Są to przepisane dosłownie powieści Reymonta. Niczego nie fałszował, po prostu napisał je ponownie, eksponując następnie rękopisy w prowadzonym przez siebie Muzeum Literatury. Dziwaczna obsesja w czasach, kiedy kopiowanie robią za nas maszyny, symulując dowolny styl pisma. Nie spieszyłbym się jednak z drwiną. Jest w tym pięknym szaleństwie być może największy hołd, na jaki może zdobyć się czytelnik, podejmując wysiłek powtórzenia każdej litery zapisanej przez uwielbianego autora.

Jorge Luis Borges w noweli „Pierre Menard, autor Don Kichota" wymyślił bohatera, który w XX w. pisze powieść napisaną 400 lat wcześniej przez Cervantesa. Choć każde słowo jest identyczne z oryginałem, celem Menarda nie jest stworzenie kopii, ale maksymalne zbliżenie się do życia i pracy twórczej autora Don Kichota. „Metoda, którą początkowo przyjął, była względnie prosta: poznać dobrze język hiszpański, odzyskać wiarę katolicką, wojować przeciw Maurom czy przeciwko Turkom, zapomnieć historię Europy od roku 1602 do roku 1918, *być* Miguelem de Cervantes" (przeł. A. Sobol-Jurczykowski). Komiczno-ironiczna postać z Borgesa obrazuje nasz zachwyt i pragnienie, aby podzielić doświadczenie, które zrodziło podziwiane dzieło. Nie tylko dzieło sztuki.

Dlatego nie mam nic przeciw kopiom, coverom, rebootom. Widzę w nich niekończącą się lekturę przeszłości, dzięki której może ona trwać. I cóż stąd, że oryginał jest niemal zawsze lepszy (może poza „Along the Watchtower" w wykonaniu Hendrixa). Jak twierdził Hrabal, okradając jawnie innego autora, wyraża mu się największe uznanie. Ale też dostarcza bardziej wymiernych materialnie korzyści. Za sprawą internetu kopiujący może poważnie wzbogacić nie tylko siebie, ale i kopiowanego.

Jak doniósł magazyn „Rolling Stone", dzięki nowej płycie Beyoncé „Cowboy Carter" wykonane tam piosenki Dolly Parton, Lindy Martell i Willie'ego Nelsona zanotowały na popularnych serwisach streamingowych gigantyczny wzrost odsłuchań. Wszyscy miłośnicy country, którzy się krzywią, że Beyoncé panoszy się bezprawnie po ich terytorium, powinni się dwa razy zastanowić, zanim odmówią słuchania. Słynna „Jolene" w wykonaniu Parton zaliczyła wzrost o prawie 12 tys. proc. (!), a piosenka Lindy Martell nigdy wcześniej nie została tyle razy wysłuchana, bo dzięki wersji Beyoncé ludzie chcieli usłyszeć, jak brzmi oryginał.

Są też korzyści dla branż pozamuzycznych. Utwór „Levii's Jeans" sprawił, że wartość akcji firmy odzieżowej w krótkim czasie wzrosła o 20 proc. Być może to paranoiczna faza kapitalizmu, ale jeśli moje kliknięcie piosenki ma zapobiec zamknięciu fabryki Levi's w Płocku i utracie pracy przez 650 pracowników, to zacisnę zęby i posłucham jeszcze raz o chłopaku, który zmienia się w spodnie noszone przez jego dziewczynę.

„Chłopcze, pozwolę ci być moimi Levisami
Abyś ten tyłek mógł obejmować całymi dniami".
Beyoncé & Post Malone: „Levii's Jeans"

RYSZARD KOZIOŁEK

[FELIETON]

Hartman

Młodzi są jacyś inni

Zaczytuję się w artykułach o młodzieży, indeksowanej dziś, cokolwiek niefortunnie, literką Z. Dowiaduję się z nich, że młodzież stała się zbiorową ofiarą przesądów i stygmatyzacji, jako że całkiem niesłusznie zarzuca się jej egoizm, roszczeniowość i brak życiowych ambicji. A w ogóle to przecież jak świat światem starsze pokolenia narzekały na młodzież. Ma to być, jeśli dobrze rozumiem, argument na rzecz generalnej niesłuszności tego rodzaju narzekań. Nie widzę w nim wprawdzie logiki, lecz doceniam jego retoryczną moc. Przy czym sam akurat należę do pokolenia, którego starsi wprost nie mogli się nachwalić, gdy wraz z upadkiem komuny wchodziło w dorosłe życie. Za to teraz jak mało kto mam przyprawioną gębę dziadersa. Tylko że prawda jest zupełnie inna. Nie dość, że czuję się młodo, to w dodatku liczne kontakty z młodzieżą pozwalają mi trochę zrozumieć, jak to jest wchodzić w dorosłe życie w trzeciej dekadzie XXI w. A łatwo nie jest.

My możemy się pocieszać, że ten potop, który właśnie nadchodzi, to przyjdzie już „po nas", lecz gdy masz 26 lat, jak moja córka, to upały, huragany i wędrówki ludów w poszukiwaniu wody i ochłody przybierają postać burzy na horyzoncie twojego życia. A sztuczna inteligencja, która dla nas jest ekscytującym tematem do futurologicznych konwersacji, dla młodych ludzi jest hydrą gotową pożreć ich życie. To ona zrobi „karierę".

Kilkanaście minionych pokoleń mieszczańskiej młodzieży miało okazję karmić swoje wrażliwe dusze czymś, co nazywano ideałami. A ideałów było pod dostatkiem. Wszędzie dokonywała się rewolucja społeczna, upadały mocarstwa, toczyły się wojny, rodziły się narody i ich niepodległe państwa. Było czym żyć i za co umierać. A przy tym potrzeby wciąż jeszcze niezbyt rozbuchane. Nikt się nie wybierał na Bali, a do Otwocka wszak było niedaleko. Gdy zaś w końcu się te rewolucje i wojny przewaliły, nadszedł czas miłości. To był nasz czas. Odkrywaliśmy równość wszystkich ludzi, a także ich podobieństwo jak świat długi i szeroki. Uwierzyliśmy w człowieka i solidarną wspólnotę wszystkich ludzi i narodów. Pokój, zrozumienie i empatia stały się naszymi ideałami, a potęgi tego świata – naszymi antypatiami. W kręgach akademickich ta hipisowska postawa przybrała formę romantycznego empiryzmu. Wyposażeni w entuzjazm, nową egalitarną, feministyczną i postkolonialną wrażliwość, badacze kultur wszelakich rzucili się nagrywać i spisywać świadectwa osobistych doświadczeń, odkrywać małe narracje i lokalne perspektywy, „wkluczać" wykluczonych, dawać głos tym, którzy wcześniej głosu nie mieli. A prywatnie walczyli z własnymi rasowymi i klasowymi uprzedzeniami.

A teraz przyszło pokolenie, które uprzedzeń już po prostu nie odziedziczyło, lecz nie odziedziczyło również naszych mitów i sentymentów. Legendy żydowskie (te starsze i te nowsze) są dla niego warte nie więcej niż indyjskie, a wielkie mity narodowe Litwinów zdają mu się nie lepsze ani nie gorsze od wielkich mitów Polaków. Generalnie są mało interesujące. Nie chodzi tu tylko o odrzucenie zużytych i skostniałych symboli coraz mniej istotnej przeszłości. I nie jest to nihilistyczna poza przybrana w reakcji na zinstytucjonalizowaną hipokryzję. Cynizm i odrzucenie obłudy to raczej gesty naszego romantycznego pokolenia. Współczesna młodzież mieszczańska nie mieści się już w tej grze. Nie buntuje się, tylko po prostu jest inna.

My żyjemy jeszcze w świecie, który wyłonił się z historii. Ta historia miała swój rytm i sens. Kolejne pokolenia miały swoje zadania w budowaniu lepszego, bardziej bezpiecznego, bardziej sprawiedliwego i zasobnego świata. „Sztafeta pokoleń" tworzyła dzieje i wiązała współczesnych z ich przodkami i potomkami. Aż tu nagle trafili się nam potomkowie, którzy zeszli z bieżni. Nie chcą być ani produktem, ani nawozem historii. Są kosmopolityczni i ahistoryczni, a w konsekwencji nieczuli na mity i symbole, które wszak służą tylko lokalnym wspólnotom snującym przez wieki swoje małe mityczne historie. No bo jak mogą być lokalni i historyczni, skoro żyją w planie całego globu, a z punktu widzenia naszej epoki całe dzieje są jak mizerny ogonek zwisający z wielkiego grzyba współczesności? Kogóż to obchodzi, co w średniowieczu porabiali obdarci poddani polskiego króla, w liczbie podobnej do populacji anonimowego miasta w chińskim interiorze? To chyba rozsądne, że obchodzi odpowiednio mniej niż los owych Chińczyków, czyli mniej niż bardzo mało?

Gdy nie ma sentymentów, to wraz robi się ostro i szorstko. Są potrzeby, interesy i plany, a reszta jest złudzeniem. Kto chce naprawiać świat, niech idzie do psychoterapeuty. A kto ma w dodatku wizje, to od razu do psychiatry.

Krajobraz po złudzeniach i sentymentach jest smutny. Surowość młodych ludzi, którzy wyskoczyli z kolein historii i odrzucili moralny szantaż idealizmu, deprymuje starsze pokolenia. Przecież miało być tak pięknie! Wolni od uprzedzeń, kochający wszystkie stworzenia, solidarni z wykluczonymi i pokrzywdzonymi przez los, bez względu na to, w jak odległym zakątku świata mieszkają, światli, wykształceni i racjonalni. A tymczasem…

Nasze własne sentymenty i nierealne oczekiwania utrudniają nam sprawiedliwy osąd naszych dzieci i wnuków. Trzeba więcej wysiłku i wnikliwości. Gdy ten wysiłek zrobić, to okazuje się – na szczęście – że młodzi mieszczanie świata, a właściwie młodzi obywatele świata wprawdzie nie odziedziczyli naszych sentymentów i złudzeń, lecz nie odziedziczyli też naszych resentymentów i uprzedzeń. Tylko że człowiek bez uprzedzeń po prostu wygląda trochę inaczej, niż nam się zdawało.

JAN HARTMAN

Piotr Pytlakowski nagrodzony

W piątek 26 kwietnia **Piotr Pytlakowski** odebrał tegoroczną Nagrodę specjalną Fundacji Jakubowicza Media i Demokracja za książkę „Strefa niepamięci". Nagroda im. dr. Jerzego Jakubowicza jest przyznawana za wybitne prace naukowe, dotyczące badań demokracji, praw człowieka, etyki medialnej, etyki dziennikarskiej i mediów publicznych. Kapituła przyznaje także nagrodę specjalną dla publikacji o charakterze publicystyczno-popularyzatorskim. I właśnie w tej kategorii wyróżniono naszego redakcyjnego kolegę. Gratulujemy!

Życie w hałasie

Po artykule Agnieszki Kantaruk „Wiele hałasu o hałas" (POLITYKA 17) do redakcji napłynęło wiele listów w tej sprawie. Poniżej kilka z nich.

Moja rodzina również jest ofiarą boiskowego hałasu. Wielofunkcyjny orlik powstał na bazie dawnego niewielkiego przyszkolnego boiska we wsi Nagawczyna (woj. podkarpackie), czynnego kiedyś jedynie w godzinach lekcji (…) oraz przeznaczonego jedynie dla uczniów. Zlokalizowany jest bezpośrednio przy mojej nieruchomości, zbudowany został nielegalnie – co stwierdził NSA, uchylając decyzję o jego budowie, jednakże z uwagi na upływ pięcioletniego terminu (w tym czasie toczyło się postępowanie przed sądami administracyjnymi) nie można było tej decyzji anulować (…). Budując go, gmina Dębica nie poczyniła żadnych (…) zabezpieczeń przed emisją hałasu oraz światła. Od tej pory nasze życie przy tym obiekcie stało się koszmarem. (…)

RYSZARD BRZOSTOWSKI

Niestety, sama zmagam się z opisanymi w artykule problemami: boiskiem, które po modernizacji (…) stało się centrum rozrywkowym wsi (codziennie wiele meczów, imprezy z alkoholem i muzyką), gminą, która nie widzi problemu, oraz ostracyzmem lokalnej społeczności. Funkcjonowanie boiska (…) odbywa się kosztem zdrowia i nerwów mojej rodziny oraz braku możliwości odpoczynku we własnym domu i na własnej działce. Ponieśliśmy również znaczne wydatki, gdyż zmuszeni byliśmy wymienić osiem okien na dźwiękoszczelne (koszt to ponad 20 tys. zł), co niestety dało mierny efekt) (…). Również sam proces sądowy generuje koszty. (…) Z każdym miesiącem czujemy się gorzej i cierpimy bardziej. Gmina cały czas zasłania się „dobrem dzieci" i „oczekiwaniami społeczności lokalnej", ale my nadal wierzymy, że o dobro dzieci można zadbać bez narażania na cierpienie innych ludzi. (…)

JUSTYNA (NAZWISKO DO WIADOMOŚCI REDAKCJI)

Mieszkam w Poznaniu na os. Lecha i również jestem osobą poszkodowaną przez wybudowane tutaj (…) boisko orlik, które od ponad 10 lat zatruwa okolicznym mieszkańcom życie, często uniemożliwiając normalne funkcjonowanie w ich własnych mieszkaniach. Mieszkańcy wielokrotnie pisali skargi (…), które mimo licznych podpisów (…) dały niewielkie rezultaty. W efekcie sprawa prawdopodobnie ostatecznie znajdzie swój finał w sądzie. (…)

JAKUB BRZEŹNIAK

Stypendium im. Leopolda Ungera

Zapraszamy do nadsyłania zgłoszeń do XII edycji ogólnopolskiego programu stypendialnego, uruchomionego w 2013 r. przez Uniwersytet M. Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Program skierowany jest do młodych dziennikarzy i adeptów dziennikarstwa – studentów wszystkich kierunków i stopni kształcenia do 35. roku życia.

Do zdobycia: stypendium w formie nagrody pieniężnej w wysokości 5 tys. zł za utwór publicystyczny spełniający kryteria dziennikarstwa poważnego (dotyczy prac opublikowanych w ostatnim roku kalendarzowym, jak i ukończonych, ale wcześniej niepublikowanych); stypendium w formie dwutygodniowego stażu w redakcji belgijskiego dziennika „Le Soir" w Brukseli; stypendium w formie miesięcznego stażu w redakcji dziennika „Gazeta Wyborcza" w Warszawie; stypendium w formie miesięcznego stażu w redakcji tygodnika POLITYKA w Warszawie; stypendium w formie miesięcznego stażu w biurze prasowym Forum Ekonomicznego w Warszawie. Kryteria oceny: opublikowane w różnych mediach tematy publicystyczne, praca na rzecz mediów studenckich, współpraca z mediami internetowymi, udokumentowane publikacjami efekty staży dziennikarskich.

Nabór wniosków trwa do 31 maja 2024 r. Zgłoszenia drogą mailową: stypendium.unger@umcs.lublin.pl. Szczegóły dotyczące przyznawania Stypendium, w tym Regulamin i Wniosek, znajdują się pod linkiem: www.umcs.pl/pl/stypendium-leopolda-ungera.htm

Marzenie Sawickiej
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci Mamy
Koledzy z POLITYKI

Wojciechowi Lelińskiemu
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci Mamy
Koledzy z POLITYKI

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

Wydawca: POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ul. Słupecka 6
02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35
ODDZIAŁ INTERNETOWY www.polityka.pl
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Joanna Solska, Mariusz Janicki, Wiesław Władyka

Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO
Mariusz Janicki *(Pierwszy Zastępca)*, Witold Pawłowski, Bartek Chaciński, Łukasz Lipiński *(wydania cyfrowe)*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37
e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.)*, Julian Sobiech *(reklama cyfrowa)*

PROJEKTY SPECJALNE *tel. 22 451-61-93*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA NIE PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚCI W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30*,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16*,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BGŻ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Quad/Graf
www.izbapapieru.pl
PBC
Leipa
PRINTED IN POLAND
Nadzór kontrolowany

Do tanga trzeba dwojga

Mówimy nie to, co trzeba, słyszymy to, co chcemy. Najczęstszy problem w relacjach to błędy w komunikacji.

Dlaczego druga połowa, choć mówi, że nas kocha, to i tak „nigdy nic nie rozumie"? Cóż, jeśli bliskość w związku oznacza dla nas umiejętność czytania w myślach drugiej osoby, to mamy problem – ostrzega Joanna Harrison w poradniku „Na zgodę. 5 kłótni, które wzmocnią wasz związek". „Wszyscy wnosimy do komunikacji z partnerem własne doświadczenia: to, jak nas słuchano i jak do nas mówiono (albo otaczano milczeniem); język, którym się posługiwano w naszej obecności; reakcje na konflikt; nawet ramy tego, co jest śmieszne (albo nie)". To, co jest dla nas zwyczajne, dla naszego partnera nie musi takie być. Tylko jak to sobie w emocjach wytłumaczyć? Na szczęście Harrison wpadła na pomysł, by przedstawić dwie wersje tej samej rozmowy: fatalnie rokującą kłótnię zestawia z dialogiem poprowadzonym tak, by drugiej osoby nie urazić, nie poniżyć i nie uruchomić lawiny typowych oskarżeń. Naprawdę pouczające.

Co jeszcze nam umyka? Według dr. Marcina Matycha, znanego w sieci jako dr Nerwica, izolacja społeczna podczas pandemii, a potem wybuch wojny w Ukrainie i pogarszająca się sytuacja ekonomiczna odcisnęły piętno na naszym wspólnym życiu. W wielu relacjach poziom lęku przybrał na sile, zaczęło się to objawiać brakiem empatii, wzajemną agresją, a zwłaszcza odcięciem od emocji, które stały się zbyt trudne do zniesienia. A czy więź i zaburzenia lękowe mogą iść w parze? W poradniku „Bliskość i lęk" Matych opowiada historie pacjentów, którzy próbowali ułożyć sobie zdrowe relacje, ale nie czuli się w nich komfortowo. Przeciwnie, nierzadko dawali się wykorzystywać, nadmiernie się podporządkowywali, unikali konfrontacji i szczerości. Bo się bali. A nie da się zbudować dojrzałych partnerskich więzi będąc pod wpływem nieuświadomionego, najczęściej wyniesionego z rodzinnego domu lęku np. przed porzuceniem czy krytyczną oceną. Ma się wtedy skłonność do ulegania cudzej presji, zaniedbuje własne potrzeby, ukrywa emocje (a często nie umie ich nawet zwerbalizować). Aby pomóc takim ludziom, dr Nerwica podaje przykłady, jak zmienić sposób postępowania z osobami, których się boimy. „Musicie za każdym razem pytać siebie: Okej, a gdybym nie czuła/nie czuł lęku, to co bym zrobiła/zrobił w tej sytuacji?". I uspokaja: za każdym razem, kiedy zrobicie coś w relacji inaczej niż do tej pory, wypowiecie głośno swoje zdanie, postawicie asertywnie granice czy odmówicie robienia czegoś, na co nie macie ochoty, pojawi się dyskomfort. Nie będzie łatwo, jednak warto go przetrzymać, by zmiana mogła się utrwalić.

Statystyki pokazują, że w Polsce rozwodzi się już niemal co trzecia para. O tym, co najczęściej doprowadza do kryzysów w relacjach, opowiedzieli Marcie Szarejko psychoterapeuci. Na tej podstawie powstała kolejna pouczająca lektura („Terapia par"). Płynie z niej wniosek, że wiele da się naprawić, jeśli tylko para jest jeszcze siebie choć trochę ciekawa i przede wszystkim ma dobre intencje. Każda para ma swoją „klapę od sedesu", czyli dyżurny temat kłótni, który przykrywa żal i frustrację wynikającą z poczucia lekceważenia przez partnera. „Ktoś z uporem nie zamyka tej klapy, a ktoś inny się tego domaga. I wokół tego toczy się niesamowita wojna".

Większość kłótni to wołanie o bycie docenionym, zauważonym, szanowanym. Jedna z terapeutek poleca zadać sobie pytanie: „Czy mogę być z kimś, kto nie jest ideałem?". Aż się prosi by zapytać się również o to, czy aby na pewno sam/sama jestem chodzącym ideałem. Jak zauważa inna z rozmówczyń Marty Szarejko, ważna jest reaktywność na drugą osobę, dlatego – jej zdaniem – jako społeczeństwo wszyscy powinniśmy uczyć się tańczyć tango. Bo to szczególny taniec, polegający na improwizacji oraz uważności na ruch partnera. I trzeba do niego dwojga. ■

Grażyna Morek – dziennikarka prasowa, przez lata szefowa działu Zdrowie w miesięczniku „Twój Styl", zajmuje się problematyką zdrowotną, psychospołeczną, pisze o zmianach stylu życia Polaków.

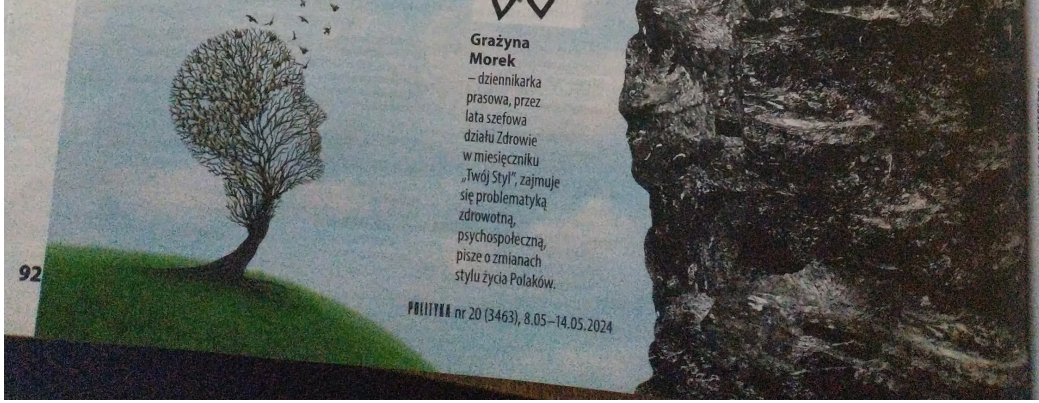

© GETTY IMAGES, LESZEK CZYŻ, MP, SHUTTERSTOCK

Kto się boi Taylor Swift

Premiera nowego albumu Taylor Swift wstrząsnęła memosferą. Nic dziwnego: amerykańska piosenkarka doskonale radzi sobie nie tylko jako kompozytorka i tekściarka, ale i królowa fanowskich serc. Jej znakiem rozpoznawczym stały się enigmatyczne gesty i zagadki zwiastujące przyszłość – podwójny album „The Tortured Poets Department" („Wydział udręczonych poetów", nawiązujący do kultowego „Stowarzyszenia umarłych poetów") zapowiedziała, występując na rozdaniu nagród z koleżanką Laną Del Ray odpowiednio w białej i czarnej sukni.

Można odnieść wrażenie, że media głównego nurtu po zeszłorocznym ogłoszeniu Swift osobą roku nieco się znużyły jej sławą – internet pokazuje natomiast, dlaczego jej twórczość tak dobrze rezonuje z odbiorczyniami. W „I Can Do It With a Broken Heart" Swift śpiewa np. o depresji i złamanym sercu, całości nadając skoczny rytm; użytkowniczki podśpiewują piosenkę, opowiadając o własnych podobnych doświadczeniach.

Fragmenty piosenek z miejsca stały się wiralami na TikToku, głównie dzięki poczuciu humoru. Nawiązujący do „Kto się boi Virginii Woolf?" tekst „Who is afraid of little old me? You should be" („Boicie się… mnie? Powinniście!") pojawia się jako podkład do zdjęć pokazujących dwa oblicza – słodkie i groźne (uroczy piesek nagle wściekle szczerzy kły!). Furorę zrobił wers „You wouldn't last an hour in the asylum where they raised me" („Nie przetrwalibyście godziny w psychiatryku, w którym się wychowałam"). Piosenka jest ironiczna (podmiot liryczny porównuje się do staruszki

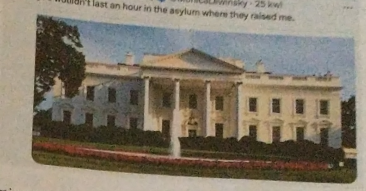

mieszkającej w nawiedzonym domu); ironiczny jest też wiral, w którym ludzie pokazują miejsca, gdzie się wychowali – portale internetowe czy gra „The Sims". Aktora Gillian Anderson wkleiła kadr z serialu „Z archiwum X", ale wszystkich przebiła aktywistka Monica Lewinsky, wrzucając zdjęcie Białego Domu. W latach 90. jako młoda stażystka po romansie z prezydentem Clintonem padła ofiarą mediów i polityków opozycji.

Niechętni Taylor Swift odbierają jej piosenki dosłownie albo wyciągają wersy z kontekstu, tak jak traktujące o toksycznej nostalgii słowa „chciałabym żyć w 1830 roku, ale bez rasizmu"; wpisuje się to po trochu w trwającą od jakiegoś czasu dyskusję o „medialnym analfabetyzmie", czyli nieumiejętności odczytywania tekstów kultury. Znów los gwiazdy okazuje się uniwersalny: kobiecie nie wolno żartować, bo zawsze (zwłaszcza w internecie) jakiś facet to weźmie na poważnie i uzna, że jest głupia.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

Kudosy dla Homera

Czy w państwa firmie już został zaimplementowany system kudosów? Bo pracodawcy nie tylko tworzą wewnętrzne zasady chwalenia i przekazywania pozytywnego feedbacku, ale nawet reklamują je w ogłoszeniach o pracy – właśnie jako „system kudosów". A ponieważ firmy zajmujące się zarządzaniem „zasobami ludzkimi" uczą jego „implementacji", łatwo się domyślić, że kudosy przyszły do nas wraz z całym anglosaskim slangiem korporacyjnym.

Gdybyśmy mieli w Polsce budować systemy motywacyjne, jednostką stałby się raczej głask i zamiast o przyznawaniu kudosów mówilibyśmy o rozdzielaniu głasków. Tak się jednak złożyło, że kudosy (zwykle w liczbie mnogiej, bo wiadomo – pochwał nigdy dość) trafiły do nas także innymi drogami. Używane były (przykłady z platformy X) do komentowania wydarzeń z kręgu popkultury, np. „Nowy »Król Lew« to będzie jakaś porażka, ale kudosy za tekściarza, który w usta Skazy włożył w piosence tekst »Nadchodzi tu czas dobrej zmiany«". Albo do chwalenia techniki składania wieńców przez

naszą głowę państwa: „Szapobasy, ukłony i kudosy". Przede wszystkim jednak znają je użytkownicy jednej z popularnych aplikacji do mierzenia aktywności fizycznej i dzielenia się wynikami ze światem – można w niej dostawać kudosy jako wyraz uznania obserwujących. To jej użytkowanie skończyło się tragicznie dla kapitana rosyjskiego okrętu Krasnodar – został zastrzelony; gdy poszedł pobiegać, udostępniając dane o swojej trasie. Jeden z kudosów napłynął od Kyryła Budanowa, ukraińskiego dowódcy wywiadu wojskowego.

Wszystko wskazuje na to, że kudosy wymyślono na jednej z anglosaskich uczelni z dobrym humanistycznym zapleczem, bo nazwa wzięta została ze starożytnej greki, pochodzi od słowa opisującego chwałę wynikającą z boskiej mocy (stąd ponoć polskie „cudo"). Homer użył terminu *kudos* m.in. w stosunku do Odyseusza (choć chwałę i szacunek częściej opisywał słowem *kleos*) i był to przypadek niezwiązany z systemem motywacji, choć – jak się okazuje – zmotywował do słowotwórstwa działy human resources na całym świecie.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Zabieraj Louis V
Shopping spree, ch…j tam wi
Oki, Wrak, 2024 r.
Shopping spree = szał zakupów (Louis V to zapewne Louis Vuitton)

MODA

Fala poniżej pasa

Długie spódnice mogą tworzyć wokół noszącej aurę tajemnicy, luksusu czy wolności – co kto woli. I pewnie dlatego to najmodniejsza obecnie długość.

W maju jak w raju – głosi polskie przysłowie ludowe i dotyczy to także mody. Jest to z pewnością jej ulubiony sezon. Już nie jest tak zimno i kapryśnie, żeby ubrania przede wszystkim musiały nas chronić przed aurą, a nie robi się jeszcze tak upalnie, żeby myśleć o wszystkim, z wyjątkiem materiału dodatkowo rozgrzewającego ciało. Można nosić się długo, średnio, krótko – różni projektanci podpowiadają różnie, teraz jednak słuchamy przede wszystkim tych, którzy suflują fasony długie. Szczególnie poniżej pasa. Bo długość to jest to, czego chcemy w tym czasie najbardziej, także jeśli chodzi o odpoczynek – wszak sam maj zaczyna się trwającym nawet tydzień weekendem i kończy kolejnym świętem, który czas wolny wydłuża.

Długie spódnice – jak choćby **z kolekcji domu mody Marni**, gdzie proponuje się je w formie kolumny sięgającej kostek – dają poczucie elegancji. Albo nonszalancji oraz tęsknoty za latami 90., bo na wybiegu Marni modelki może i miały spódnice do ziemi, ale nad nimi kilka centymetrów gołego brzucha, zakończonego golfem bez rękawów.

Są też formy luźniejsze i mniej odkrywające. Diane von Furstenberg proponuje np. model, z jakiego jest najbardziej znana od lat 70., czyli kopertowy. Spódnica czy sukienka tak uszyta jest dużo mniej zobowiązująca. Jak podkreślają krytycy mody i autorzy kolumn w tych sprawach doradzających, długość maksi jest też świetna do pracy, oczywiście w bardziej stonowanej kolorystyce, materiałach jedwabnych i wełnianych (to chyba na spotkanie z zimnymi ogrodnikami w drugiej połowie maja…). Kto zaś ma ochotę na zacniejszą kubaturę spódnicy, niech się zainspiruje kolekcją haute couture luksusowej marki Elsa Schiaparelli – tutaj królują modele o linii truskawki, a materiał pewnie trzeba lekko unieść, gdy stawiamy bardziej zamaszysty krok. Trochę jak w bajkach, trochę jak na balach, trochę jak na galach. Wszak maj, moda i maksi to nie tylko wersja codzienna.

W pierwszy poniedziałek tego miesiąca odbyła się słynna Met Gala, nazywana czasami modowymi Oscarami. To jedno z tych wydarzeń, w których przenikają się moda z kulturą, bo wernisaż w nowojorskim Metropolitan Museum of Art poprzedza wielki pokaz wyobraźni i krawiectwa, a modelami przechadzającymi się po schodach budynku są gwiazdy kina, muzyki i mecenasi kultury. Dominująca długość to ta do ziemi, często materiał wzięty do uszycia jednej kreacji starczyłby na kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt strojów codziennego użytku, ale kto by tam liczył. W święta przecież należy sobie dogadzać – to przecież zawsze widać na naszych stołach i po porcji maksi grillowanego obiadu serniczek też się zmieści. Met Gala to także opowiadanie historii przez modę oraz kupowanie dusz followersów na Instagramach i TikTokach, i negując marnotrawstwo i zbytek, można podpatrzeć to i owo. A potem, zgodnie z popularną zasadą mody cyrkularnej, kupić podobną w stylu spódnicę w second handzie lub przytulić podczas koleżeńskiej wymianki ubrań.

Kogo nie interesuje moda karnawałowa, a jedynie wieczorowa, zawsze może poczekać kilka dni na początek festiwalu w Cannes – jedni jadą tam oglądać najnowsze dzieła mistrzów (o palmę pierwszeństwa walczą w tym roku choćby David Cronenberg, Francis Ford Coppola i Andrea Arnold), a inni – żeby to ich oglądano. Przejście się po czerwonym dywanie w drodze na pokaz galowy to często główny powód obecności tej czy innej sławy, a domyślna długość kreacji to właśnie maksi. Jest to też długość najbezpieczniejsza, bo zakrywająca buty – kilka lat temu głośno wszak było o tym, że na czerwony dywan nie wpuszczano kobiet bez obcasów. Decyzja organizatorów spotkała się z ogromną krytyką, na jednej z kolejnych edycji aktorka Kristen Stewart demonstracyjnie zdjęła buty i przespacerowała się przed szpalerem fotografów po domowemu, czyli boso. A kto nie ma jej odwagi oraz agentów prasowych i menedżerów mogących ją wybronić przed konsekwencjami takiego gestu, może włożyć buty, jakie chce, i zakryć co trzeba długą spódnicą właśnie. Bo pod nią to już naprawdę nikt nie zajrzy. ■

Ola Salwa – absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

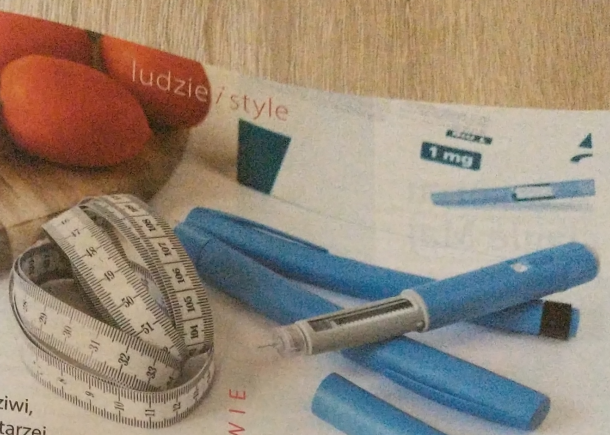

Zastrzyk szczęścia

Najpierw lek na cukrzycę stał się hitem odchudzania. Teraz coraz więcej ludzi się dziwi, dlaczego wyglądają po nim starzej.

ZDROWIE

Znawcy mody wiedzą, że podlega ona ciągłym przemianom. Jednak trendy zmieniają się również w dziedzinach, które nie kojarzą się z przelotnym zamiłowaniem do jakiegoś stylu. Przemijającą popularnością cieszą się na przykład niektóre leki, nazywane oficjalnie *wonder drugs*, które nie są po to, by ratować czyjeś zdrowie, lecz by konsumenci czuli się po nich szczęśliwsi. I nie chodzi tu o następców Prozacu, okrzykniętego kiedyś na wyrost – też na fali mody – pigułką szczęścia. Szczęście ze zdrowiem idzie po prostu w parze, a odkąd Światowa Organizacja – nomen omen – Zdrowia ukuła dla niego postępową definicję społecznego i umysłowego dobrostanu, utwierdziła nas w przekonaniu, że nie tylko brak choroby jest jego gwarantem, lecz właśnie dobre samopoczucie. A czy mogą je mieć mężczyźni, którzy tracą przedwcześnie włosy, skarżący się kiełkiem na seksualną niemoc, albo kobiety, którym w czterdziestce przybywa w pasie?

Popyt na *wonder drugs* wykracza więc poza zapotrzebowanie i tak niemałych grup pacjentów, którzy faktycznie po te leki powinni sięgać z uwagi na uwarunkowania medyczne. Różne przyczyny łysienia, impotencja mężczyzn z cukrzycą, chorobliwa otyłość związana z ryzykiem śmiertelnych zawałów serca – to są stany, w których *wonder drugs* rzeczywiście jest pożytek, niezależnie od działań niepożądanych, na jakie przy każdej terapii trzeba być przygotowanym. Bo przecież nawet tabletki szczęścia, jeśli nie są nic niewartymi suplementami, ingerują w procesy hormonalne (jak finasteryd na porost włosów), naczyniowe (jak sildenafil na zaburzenia potencji) czy metabolizm (jak większość leków odchudzających). I choć przynoszą efekty, to za cenę rozmaitych powikłań, z których konsumenci zaczynają zdawać sobie sprawę dopiero po pewnym czasie.

Tak było dwie dekady temu z orlistatem – nazywanym wówczas młotem na otyłość – którego sprzedaż (pod handlową nazwą Xenical) w 1999 r. dziesięciokrotnie przekroczyła oczekiwania, a w Anglii specyfik ten zdystansował nawet Viagrę. Oba leki nie biją się już o palmę pierwszeństwa w rankingach popularności, gdyż z biegiem lat konsumenci zrozumieli, że to jednak nie są landrynki. Jednak mają następców, którzy mit uszczęśliwiania godnie podtrzymują.

Należy do nich obecnie semaglutyd (Ozempic), będący czymś na miarę Prozacu i Viagry razem wziętych, gdyż jeśli wziąć za wyznacznik jego sukcesu spektakularne efekty odchudzania – napełniają one jego użytkowników poczuciem radości, także z bardziej udanego życia seksualnego. Zapotrzebowanie na taką kurację skutecznie podkręcili celebryci kreujący modę na szczupłą sylwetkę, więc ampułki z Ozempikiem (bo mówimy o zastrzykach!) znikają z aptek, zanim upomną się o nie faktycznie otyli. Ale to się niedługo może skończyć, bo kuracja – która wywołuje czasem nudności i inne problemy z przewodem pokarmowym – ma też niezapowiedziany na ulotce skutek w postaci zwiotczenia skóry twarzy i jej postarzenia. Jak każda zresztą terapia polegająca na szybkiej redukcji tkanki tłuszczowej, co powinna podpowiedzieć entuzjastom takich chemicznych stymulantów zwykła wyobraźnia.

Zdziwieniu, że jak się chudnie, to w każdym miejscu ciała (a więc i na brzuchu, i na policzkach), zaczęła towarzyszyć obawa, czy to ładne – internetowe portale prezentują na wyścigi zdjęcia gwiazdorskich twarzy, nazywane wprost „Ozempic face". Oto dlaczego kampanie reklamowe firm produkujących owe leki były od samego początku tak intensywne. Należało wykorzystać jak najkrótszy czas na sprzedaż swojego preparatu, zanim klienci się zaczną się zastanawiać, czy dalej iść za przykładem Kim Kardashian, która po kuracji dała radę zmieścić się w maleńką sukienkę Marilyn Monroe, za to z wychudzoną twarzą, wyglądającą na wymęczoną i starszą?

Jednak ręce zacierają się już w innej gałęzi medycyny, zajmującej się poprawą estetyki twarzy. Bo na ubytki podskórnej tkanki tłuszczowej są przecież sposoby: biostymulatory tkankowe, kwas hialuronowy i inne zabiegi. W tym biznesie zawsze gdy ktoś traci, mogą zyskać inni: lekarze medycyny estetycznej będą mieli co robić, by poprawiać efekty wizualne u tych, którzy pod dyktando mody chcieli się odchudzić. ■

Paweł Walewski
Od 30 lat pisze w POLITYCE o zdrowiu i innowacjach w medycynie. Lubi popularyzować zdrowy styl życia i demaskować pseudoterapie. Współpracuje z pismami medycznymi i międzynarodowym portalem Cancerworld.

© ERNESTO S. RUSCIO/GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK, LESZEK ZYCH

A w sercu ciągle Maj

PODRÓŻE

Rdzenni mieszkańcy Gwatemali i meksykańskiego stanu Chiapas udowadniają, że najnowsze trendy mogą być odbiciem prastarych obyczajów.

Z perspektywy Europy, gdzie stroje regionalne zachowały się raczej jako relikt, wyciągany z szafy tylko od święta, żywa tradycja majańskich tkanin może przyprawiać o zawrót głowy. Ich bogactwo jest odbiciem różnorodności kulturowej i etnicznej ziem Majów, a zdarza się, że określone połączenie kolorów, motywów i techniki zdobienia występuje tylko w jednej, niedużej miejscowości. W Gwatemali spodnie w wiśniowo-białe pasy noszą wyłącznie mężczyźni z Todos Santos Cuchumatán, motyw ptaków upodobali sobie zaś mieszkańcy Santiago Atitlán. Kobiety z tej miejscowości owijają też wokół głowy wielometrowe taśmy, tworzące coś na kształt grubego ronda kapelusza. Po drugiej stronie jeziora Atitlán, w Santa Catarina Palopó, królują aksamitne zawoje, a w sąsiednim San Antonio Palopó Majanki wplatają we włosy wąskie tkane tasiemki.

Najważniejszym znakiem rozpoznawczym jest jednak zestaw kolorów i wzorów na luźnej bluzce zwanej huipilem i będącej stałym elementem majańskiego stroju – w precyzyjny sposób wskazuje on pochodzenie danej kobiety. A dla niej jest symbolem regionalnej i majańskiej tożsamości. – *Strój łączy mnie z babcią, z mamą, siostrami, sąsiadkami, wszystkimi majańskimi kobietami* – mówi Angelina Aspuac, liderka gwatemalskiego Narodowego Ruchu Tkaczek. – *Jest jak druga skóra* – podkreśla.

Julia Zabrodzka – fotografka i autorka tekstów o miejscach, smakach i ludziach. Od dwóch lat jako wolontariuszka wyprowadza psy w warszawskim schronisku Na Paluchu.

W tkaninę wpisana jest też pamięć pokoleń i majańska wizja świata. – *Spójrz na ten wzór: niby prościutki, pionowa kreseczka i kółko. Ale kółko to słońce, a kreseczka – księżyc. A to otwiera przed nami wiele najróżniejszych opowieści* – Angelina wskazuje na swój huipil i dodaje, że znaczenie symboli poznała dzięki wiekowej sąsiadce. W meksykańskim stanie Chiapas przetrwały huipile, które przypominają te z prekolumbijskich steli. Szczególnie dobrze widać to w San Andrés Larrainzar i w Magdalenas, gdzie głównym motywem jest romb – według amerykańskiego antropologa Waltera Morrisa symbolizujący wszechświat. Gdzie indziej króluje zygzak, czyli uproszczone przedstawienie Pierzastego Węża – boga z panteonu wielu kultur prekolumbijskiej Ameryki. Prekolumbijskie pochodzenie ma też sama technika tkania na przewiązywanych w pasie krosnach, stosowana po dziś dzień.

Pradawne korzenie wielu majańskich strojów nie oznaczają, że ubiór ten się nie zmienia. Mieszkańcy San Juan Chamula w stanie Chiapas pokochali przywiezioną przez Hiszpanów wełnę i uczynili z niej swój znak rozpoznawczy. Kobiety noszą tu ciężkie czarne spódnice z długim włosiem, a mężczyźni – długie kaftany z tego samego materiału. Co ciekawe, mniej więcej do 2000 r. chamulanki nosiły też wełniane narzutki, ale potem porzuciły je na rzecz fabrycznych, kusych swetrów, które zawsze sprawiają wrażenie za małych.

W pobliskim **Zinacantán** rządzą zaś kwiaty. Zestaw kobiecy – huipil, spódnica i narzutka – jest nimi pokryty niemal w całości. U mężczyzn kwiaty pojawiają się zaś na wiązanym pod pachami luźnym poncho, zarzuconym zwykle na koszulę i dżinsy. Róże, chryzantemy, goździki czy lilie nie są motywem przypadkowym – to dzięki ich uprawie w drugiej połowie XX w. miejscowość się wzbogaciła. A jeszcze w latach 70. tradycyjne tkaniny z Zinacantán pozbawione były deseni z wyjątkiem delikatnego prążka! Hafty pojawiły się dopiero na przełomie lat 80. i 90., z początku nieśmiało zdobiąc brzegi materiału, by w kolejnej dekadzie zalać niemal cały strój orgią kontrastowych kolorów, dostępnych dzięki syntetycznym niciom. Około 2000 r. do miasteczka przywieziono pierwsze maszyny do haftowania, co otworzyło przed rękodzielniczkami świat nowych możliwości.

Pojawiły się również wyraziste trendy kolorystyczne. W modzie był już niebieski, który wkrótce ustąpił szafirom, te zaś niewiele później oddały pole fioletom i purpurom. A co teraz jest na topie? Najlepiej sprawdzić to na niedzielnym targu, gdzie nie wypada pokazać się w huipilu z zeszłego sezonu. Te można co najwyżej zaoferować niezorientowanym w trendach turystom. Udowadniając przy okazji, że trendsetting nie jest zjawiskiem zarezerwowanym dla paryskich pokazów mody czy amerykańskich celebrytek. ■

© JULIA ZABROCKA, ALICJA ROKICKA

Jedwabiste lody karmelowe

Konsystencja kokosa, gęsta i odpowiednio tłusta, nadaje się idealnie jako podstawa wegańskich lodów.

Przepisów na wegańskie lody jest sporo, ale nawet najprostsze i najpopularniejsze, jak te z mrożonymi bananami jako bazą, mogą się znudzić. W tradycyjnych lodach za konsystencję i kremowość odpowiada śmietana, w wegańskich lodach domowych rozwiązań jest kilka. Sporą i popularną alternatywą dla śmietany zwierzęcej jest śmietanka kokosowa (*coconut cream*). Kokos idealnie nadaje się do lodów, gdyż jest gęsty i odpowiednio tłusty. Im więcej kokosa w mleczku, tym lepiej. W przepisach na wegańskie lody można też znaleźć namoczone, a następnie zmielone na pastę orzechy nerkowca. Tutaj również trafiłam na prostą alternatywę w postaci gotowego masła orzechowego. To właśnie te dwa składniki, kokos i masło orzechowe, zainspirowały mnie do przygotowania kolejnej prostej receptury.

By lody były idealne, trzeba pamiętać o kilku elementach. Najważniejsza jest odpowiednia kremowość. Przyjemną masę uzyskuje się dzięki maszynce do lodów, która zdecydowanie ułatwia i skraca czas przygotowania masy lodowej, jednak jest to gadżet, którego zapewne większość z nas nie ma. Zamiast niej sprawdzi się także dobry blender kielichowy o wysokiej mocy. Czyli najlepiej taki, który radzi sobie nawet z lodem.

Zblendowana na szybkich obrotach masa z kremu kokosowego i masła orzechowego wychodzi jedwabista i napowietrzona. Tak przygotowana dobrze się mrozi, przemieniając w puchową lodową chmurkę.

Do podstawowej bazy kokosowo-orzechowej można dodać zblendowane owoce, ulubiony dżem, a nawet kawałki ulubionych ciastek.

KUCHNIA

Alicja Rokicka – autorka bloga Wegan Nerd i książek kulinarnych, entuzjastka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.

Ja postawiłam na ulubiony słony karmel. Przygotowanie idealnego karmelu nie jest prostą sprawą i wymaga doświadczenia. Dużym ułatwieniem będzie powolne rozpuszczanie cukru z dodatkiem wody.

Domowe lody to dobry pomysł dla tych osób, które z ostrożnością sprawdzają etykiety produktów spożywczych i zależy im na prostych i krótkich składach. I choć dostęp do wegańskich lodów i sorbetów jest coraz większy, umiejętność samodzielnego przygotowania ulubionych smaków to moim zdaniem jedna z najprzyjemniejszych supermocy, jakie możemy posiąść. ■

Składniki i przygotowanie:

Lody

2 puszki śmietany kokosowej
4 łyżki syropu z agawy lub innego słodzika
1 laska wanilii
200 g dowolnego masła orzechowego (np. z nerkowców, migdałowego itp.)
garść migdałów
domowy słony karmel (ok. ½ szklanki)

Słony karmel

1,5 szklanki cukru
0,5 szklanki wody
4 łyżki śmietanki roślinnej
5 łyżek roślinnego masła lub oleju kokosowego
1 łyżeczka soli morskiej

Przygotuj rondel i trzymaj go na małej temperaturze. Wsyp cukier. Wlej wodę i nie mieszaj. Poczekaj, aż ciecz zacznie się powoli gotować i uzyska pożądaną ciemną karmelową barwę. Może to trwać ok. 20 min. Ściągnij garnek z palnika. Dodaj śmietanę. Uważaj! Może trochę strzelać. Wymieszaj i połóż z powrotem na kuchence. Mieszaj ok. 1 min. Znowu ściągnij garnek na bok. Dodaj margarynę i sól. Wymieszaj, aż uzyskasz gładką konsystencję.

Dwie puszki z kremem kokosowym lub mlekiem przechowuj w lodówce. Przygotuj blender kielichowy. Włóż do kielicha zwartą zawartość obu puszek ze śmietanką kokosową, masło orzechowe i syrop. Wanilię przekrój na pół i nożykiem wydłub nasionka. Blenduj je około minuty, aż uzyskasz jednolitą gęstą masę. Jeśli masz maszynkę do lodów, wlej do niej masę i postępuj według instrukcji.

Spróbuj i ewentualnie dosłodź. Przygotuj foremkę. Najlepiej sprawdzi się plastikowa lub z silikonu. Jeśli używasz metalowej foremki, wyściel ją dodatkowymi paskami papieru do pieczenia.

Przelej połowę masy do foremki. Porcjuj 4 łyżki karmelu w kilku miejscach tak, by zrobił się marmurkowy wzór. Zalej resztką masy lodowej. Od góry znowu rozprowadź karmel. Orzechy przesiekaj i posyp od góry. Górę przykryj kawałkiem papieru do pieczenia lub folią spożywczą tak, by niemal dotykała masy lodowej. Zostaw w lodówce na 4–8 godz. A najlepiej na całą noc, czyli ok. 8–12 godz. Po wyciągnięciu z lodówki porcjuj i polewaj resztką karmelu.

Tobiasz Bocheński, odpowiadając w „Plusie Minusie" na pytanie, co robi w PiS, zapewnia: „Tu jest moje miejsce. Nigdy nie zostałem zmuszony do zrobienia czegoś, co łamałoby moje sumienie. Prawo i Sprawiedliwość jest nawet jeśli czytelnicy mi nie uwierzą". Raczej nie uwierzą, a próbką jakości wspomnianego sumienia jest uwaga z dalszej części wywiadu: „Gdyby to ode mnie zależało, wybrałbym [jako kandydata na prezydenta] Mariusza Błaszczaka, ale to nie ja decyduję". Na szczęście.

Na prośbę „Sieci" poseł PiS Kacper Płażyński wylicza powody utraty władzy przez tę partię: „Źle przygotowany przekaz kampanijny: Tusk odmieniany przez wszystkie przypadki, także w mediach publicznych. To był kolosalny błąd (…). Błędem było też skupienie się na polityce godnościowej bez wskazania, że jest ona środkiem do stania się liderem regionu i kontynentu (…). W relacjach z Unią Europejską też za dużo było mówienia »nie« dla jakichkolwiek zmian bez podkreślania, że mamy własny, pozytywny pomysł na Unię. (…) Za późno reagowano na niektóre oczywiste przykłady nepotyzmu i braku kompetencji". Karnowski broni PiS: „Każda władza na to choruje, na dodatek większość cały czas była krucha, pole do przykładowego ukarania tego czy tamtego bardzo wąskie". Po prostu się nie dało.

W „Rzeczpospolitej" Michał Płociński, odnosząc się do sporu o granice tolerancji, przypomina biblijną przypowieść o źdźble i belce w oku: „Mam poważne wątpliwości, czy ludzie o liberalnych poglądach, uważający siebie za supertolerancyjnych, w ogóle dopuszczają myśl, że sami też mogą dyskryminować, hejtować, być mocno uprzedzonymi. A dobrze by było, żebyśmy wszyscy potrafili też czasem zastanowić się nad sobą i swoimi uprzedzeniami, a nie ciągle szukali nietolerancji tylko u innych". To łatwiejsze.

> Orlen od postkomuny był takim śmierdzącym gównem. Tak się złożyło, że poprzez swoją pracowitość i uczciwość wobec Polski ruszyłem to śmierdzące gówno i dziś mam te podziękowania, które mam – Daniel Obajtek w kanale „Dla pieniędzy" na YouTube.

W „Do Rzeczy" Jan Fiedorczuk pisze: „Ostatecznie mało kto mógł być zadowolony z prac podkomisji [Macierewicza], a audytu z ośmiu lat jej działalności zaczęły domagać się rodziny smoleńskie, w tym te powiązane ze środowiskiem PiS – Magdalena Merta, Małgorzata Wassermann czy Jadwiga Gosiewska. Zresztą sprawa podkomisji, która skompromitowała śledztwo, to tylko jeden z wielu punktów świadczących o tym, że PiS przez lata wodził Polaków za nos w sprawie Smoleńska. (…) zamiast rzetelnego śledztwa i wskazania konkretnych zaniedbań polskich władz wolano zainwestować całą energię w skrajną wersję o zmowie Tuska z Putinem". Wreszcie coś do rzeczy w „Do Rzeczy".

Do grona felietonistów „Tygodnika Solidarność" dołączył Jan Wróbel i postanowił zacząć od samozaorania siebie jako poważnego publicysty poprzez użycie typowego dla komunistycznej propagandy chwytu z nazwiskami: „Nic tak nie podważa władztwa kolejnych Michników, Balcerowiczów, Kaczyńskich, Tusków i Kurskich jak swobodne wykraczanie ze swoich, za przeproszeniem, baniek". Jako nauczyciel historii Wróbel podsumowuje: „Dzieje wiele uczą – uczą, o ile człowiek w ogóle chce się uczyć". Autozachęta?

Robert Walenciak w lewicowym „Przeglądzie" o klęsce wyborczej lewicy pisze bez znieczulenia: „Problemem dzisiejszej lewicy nie jest elektorat – bo on istnieje. Ba! Nawet rośnie. Nie są pieniądze – bo ustawa o partiach politycznych je gwarantuje. Nie jest brak programu (…). Problemem polskiej lewicy są liderzy, którym brakuje ochoty, talentu i wiedzy, by kierować średniej wielkości partią. Którzy ją pchają w dół i na dodatek nie potrafią znaleźć kontaktu z wyborcami. Tak bowiem w Polsce jest, że scena polityczna stanowi arenę walk samców alfa". Nie mają czasu na walkę o elektorat.

W „Newsweeku" nękany za czasów Ziobry sędzia Waldemar Żurek zapowiada: „Będę walczył o uczciwe rozliczenia. Nie domagam się dla krzywdzonych przez system Ziobry nagrody za styropian. Ale domagam się, aby dostrzeżono kompetencje tych, którzy wykazali się silnym charakterem, oparli reżimowi, bo często są to ludzie mądrzy i mający świetną znajomość prawa. Ci zaś, którzy czynnie wspierali reżim, niszcząc konstytucję i czerpiąc z tego korzyści (…), muszą być rozliczeni ku przestrodze". Męczennicy wiary w prezesa.

Nie sposób w tej rubryce pominąć informacji o balandze na terenie Sejmu („Tygodnik Powszechny"): „»O Grzegorz Braun, o Grzegorz Braun, kto zgasić świece tak będzie umiał«: grupa rozweselonych posłów zaśpiewała podczas głośnej imprezy w hotelu sejmowym przeróbkę dawnego przeboju zespołu Myslovitz. Imprezy głośnej w sensie ścisłym: »Mieszkańcy ulicy Frascati, Wiejskiej dzwonią na policję, że nie da się spać, bo ktoś wyje w hotelu poselskim« – potwierdził rewelacje tabloidów marszałek Hołownia". Organizator imprezy poseł Mejza wyjaśniał: „W Sejmie RP przywracamy wieloletnie tradycje (…) wspólnego, chóralnego śpiewania polskich patriotycznych piosenek". No przecież.

CMS
WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
Badania wstępne, okresowe i kontrolne
Orzeczenia sportowo-lekarskie
Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
blokady / neurolizy współczulne
blokady / neurolizy nerwów obwodowych
termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
Dietetyka kliniczna
Dietetyka sportowa
Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
Rehabilitacja ortopedyczna:
- stawów rzepkowo-udowych
- stawów barkowych
- kręgosłupa
- stawów kolanowych
- kontuzji sportowych
- po zwichnięciach stawów
- urazów mięśni
- więzadeł
- po złamaniach

Fizykoterapia
Masaż leczniczy
Diagnostyka funkcjonalna
Rehabilitacja w uroginekologii
Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
Pełny zakres badań

Diagnostyka
RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

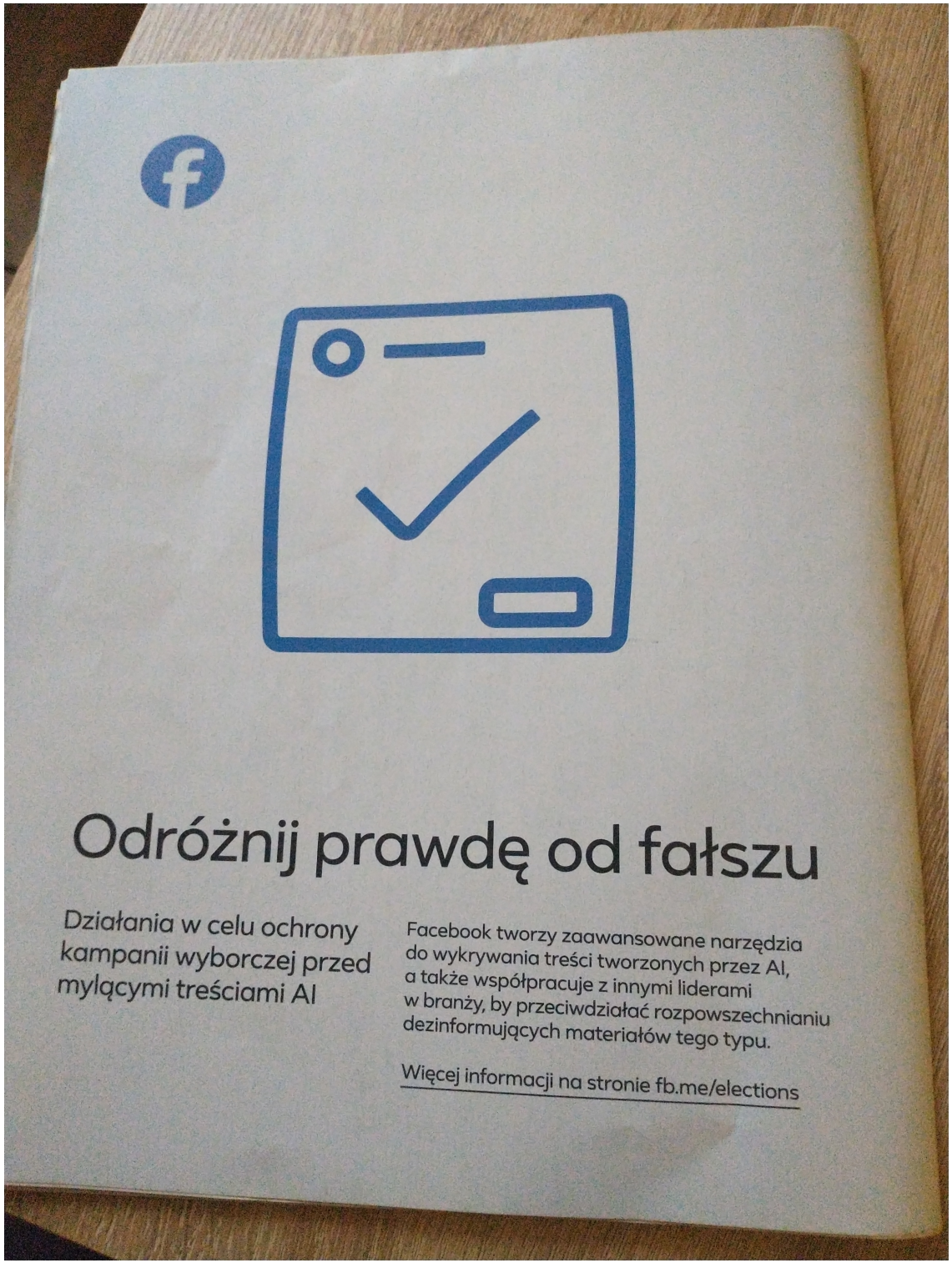

Odróżnij prawdę od fałszu

Działania w celu ochrony kampanii wyborczej przed mylącymi treściami AI

Facebook tworzy zaawansowane narzędzia do wykrywania treści tworzonych przez AI, a także współpracuje z innymi liderami w branży, by przeciwdziałać rozpowszechnianiu dezinformujących materiałów tego typu.

Więcej informacji na stronie fb.me/elections